

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 3/462**

**1986**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

G. HERLING GRUDZIŃSKI: **DZIENNIK PISANY NOCĄ**

M. DE HERNANDEZ-PALUCH: **ONA ŹYJE MITEM...**

W ZAGAŁA: **POLCUL FOUNDATION**

J.M. RYMKIEWICZ: **DO MOICH KOLEGÓW Z IBL**

# SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i> .....	3
Spectator:	<i>Kartki z notesu</i> .....	13
Witold Charłamp:	<i>Dziennik zewnętrzny</i> .....	18
Stanisław Bieniasz:	<i>Ucieczka</i> .....	25
Włodzimierz Odojewski:	<i>O autorze</i> .....	32

## ARCHIWUM POLITYCZNE

Maria de Hernandez-Paluch:	<i>Ona żyje mitem...</i> (Rozmowa z Władysławem Bieńkowskim) .....	35
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i> .....	54
—	<i>Sowiecka ropa</i> .....	60
—	<i>Okupacja finansowa</i> .....	60

## SPRAWY I TROSKI

Wojciech Zagała:	<i>Polcul Foundation</i> (Rozmowa z Jerzym Bonieckim) .....	61
------------------	---	----

## K R A J

Jarosław Marek Rymkiewicz:	<i>Do moich kolegów z IBL</i> .....	69
D. Olejnik:	<i>Akcja „Olejarnia”</i> .....	76
(j.a.):	<i>Notatki z Polski</i> .....	79
—	<i>Pogrzeb Stanisława Matyi</i> .....	85

## SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	87
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	93

## KRONIKA KULTURALNA

—	<i>Piotr Stonimski</i> .....	97
Józef Czapski:	<i>Richard Aeschlimann i wyznanie malarzkie</i> .....	99
Antoni Mestan:	<i>Leopold Staff — syn czeskiego ojca</i> ..	102
(j.):	<i>Nowojorski Kongres PEN-Clubu</i> ....	105
—	<i>Nagrody, nagrody...</i> .....	107

## WOLNA TRYBUNA

Waldemar Kuczyński:	<i>O niektórych postawach w opozycji</i> ..	110
Redakcja:	<i>Komentarz Redakcji</i> .....	121

## KSIĄŻKI

Kamila Chylińska:	<i>Wspomnienia Niemca o okupacji w Polsce</i> .....	125
Jerzy Surdykowski:	<i>Jaka prawica jest Polsce niepotrzebna?</i>	129
Leszek Szaruga:	<i>Kochana prawico</i> .....	139
Renata Gorczyńska:	<i>Bibliofilskie wydanie poezji Miłosa</i> ..	143
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> .....	145



—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki: francuska, kanadyjska, norweska</i> ..	148
---	---	-----



St. Barańczak, M. Ciesielczyk, A. Frajlich-Zajac, H. Freiberg, J. Garliński, A. Hering, St. Kozyr, W. A. Lasocki, L. Mischkowski, J. Mond, T. Piotrowski, W. Wytwyćkyj, B. Zurek:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	156
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....	165

## DOKUMENTY

—	<i>Informacje Biura Rektora Politechniki Warszawskiej</i> .....	167
---	---	-----

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ — Marzec - Mars 1986

INSTYTUT



LITERACKI

## WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

N. Barakoński, Sherman Oaks, Ca. (USA), po raz 17-ty — \$ 40,00	F. 288,00
Inż. Mieczysław Bornet, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 18-ty	F. 570,00
Bob L. Borowicz, Santiago de Chile, po raz 6-ty — DM 168,00	F. 512,00
Bogdana Carpenter, Ann Arbor, MI (USA), po raz 3-ci .....	F. 50,00
A. P. K. Dąbrowski, Pretoria (Afryka Płdn.) .....	F. 14,00
Czesław Deminet, Albuquerque, N.M. (USA), po raz 15-ty — \$ 40,00 .....	F. 288,00
Leon Grobelny, Dearborn, MI (USA), po raz 7-my — \$ 7,00 ..	F. 50,00
Grono Przyjaciół — zamiast kwiatów na grób Leona Epszteina	F. 500,00
J.C. z Latowicza .....	F. 200,00
Józef Jordanowski, Elizabeth, N.J. (USA), po raz 3-ci — \$ 20,00	F. 144,00
Prof. Stanisław Judek, Ottawa, Ont. (Kanada), po raz 7-my ..	F. 271,55
Wiesław Kapturowicz, kpt pilot, Szwecja — Krs 100,00 .....	F. 100,00
Halina Kościuch, Sterling Hts., MI (USA) — dla uczczenia pa- mąci śp. Męża Mieczysława i Syna Henryka — \$ 30,00 ..	F. 216,00
Edmund Kowalewski, Kelowna, B.C. (Kanada), po raz 12-ty — \$ 30,00 .....	F. 216,00
Dr Kazimierz Laski, Wiedeń, po raz 11-ty .....	F. 400,00
Jan F. Morelewski, Evergreen Park, Il (USA), po raz 14-ty — \$ 25,00 .....	F. 180,00
Jerzy Nakashidze, New York, N.Y., po raz 3-ci — \$ 50,00 ..	F. 360,00
Dr Stanisław Naęcz-Korzeniowski, River Forest, Il. (USA), po raz 27-my — \$ 50,00 .....	F. 360,00
Stefan Nędzyński, Genewa, po raz 15-ty — Fr. szwajc. 100,00 ..	F. 362,00
Władysław Pajor, Ottawa, Ont. (Kanada), po raz 2-gi .....	F. 271,55
Jan Pawłowski, Bois-Colombes (Francja), po raz 14-ty — dla uczczenia pierwszej rocznicy śmierci (31 stycznia 1985) Ję- zefa Mackiewicza .....	F1.000,00
Zbigniew A. Pietrzyk, Garching (RFN), po raz 3-ci — \$ 42,00	F. 303,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz 12-ty — \$ 100,00 .....	F. 720,00
Erna Reiferowa oraz Paula i Fryderyk Topolscy, Frankfurt/M., Bad Homburg v.i.H. (RFN) — dla uczczenia pamięci zmar- łego 9 grudnia 1985 roku w Sztokholmie drogiego przyja- ciela i szlachetnego człowieka Mgr. inż. Edmunda Löwen- thala-Lewandowskiego .....	F. 500,00
Stefan Rose, Paryż, po raz 7-my .....	F. 560,00
Janina Rozwada, Szwecja — Krs 100,00 .....	F. 100,00
M. Sienko, South River, N.J. (USA), po raz 10-ty — \$ 10,00	F. 72,00
Dr Alexander M. Schenker, Hamden, CT (USA), po raz 16-ty — zamiast kwiatów na grób Zygmunta Hertza — \$ 60,00	F. 432,00
Anna Skibińska, Edinburgh (Wielka Brytania), po raz 7-my — zamiast kwiatów na grób nieodżałowanego przyjaciela Zygmunta Hertza .....	F. 260,00
Aleksandra Stachelska, Athol (Rep. Afryka Poł.), po raz 13-ty	F. 208,00
L. i M. Stauber (RFN) — zamiast kwiatów na grób Marka Żu- ławskiego — dla uczczenia Jego pamięci — DM 100,00 ..	F. 305,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 171 i następnycy)

1986 N 1359

## Dziennik pisany nocą

Neapol, 2 stycznia 1986

Staliśmy w Noc Noworoczną, ja i mój gość z Wenecji, na dachu kamienicy. Minęła dawno północ. Niebo było nadal powleczone łuną, gwiazdy migotały słabo za smugami dymu, ale coraz rzadziej odzywały się wybuchy petard i trzaski wystrzelanych rac.

W ostatnim dniu starego roku mój gość ciekawy Neapolu poświęcił kilka godzin na wizyty u chiromantów, zwanych u nas także „magami”. Opowiadał rozbawiony o kolorowych kulach ze szkła, o tajemniczych zaklęciach magicznych, o kartach rozkładanych wokół świec, o lekturze dłoni. Obszedł w zaułkach czworo „magów”, nie znajdując żadnych podobieństw między ich wróżbami. „Mój kapryśny los — zakonkludował ze śmiechem — wymyka się najwidoczniej przepowiedniom”.

Słuchałem roztargniony. Nagle z zakamarków mojej pamięci wypełzło zdarzenie w Kalkucie.

W czerwcu 1952 zatrzymałem się tam na dwa dni w drodze z Burmy do Londynu. Był wczesny wieczór, gdy po całodziennym zwiedzaniu miasta wracałem do hotelu. Z rozpróżnionym chodnikiem wzdłuż skweru, na którym bez ruchu leżały — podobne do białych rzeźb — święte krowy, bił żar jak z pieca. Wieczór zapadał i nie zapadał, zmierzch przeświecony był blado-różowym drżeniem powietrza, miałem ostre, niepokojące poczucie zamazanej granicy między dniem i nocą. Wszystko zastygało jakby poza czasem, nigdy dotąd i nigdy potem w życiu nie doświadczyłem takiego wypchnięcia ze strumienia czasu.

Widać już było z daleka hotel, ale zabrakło mi tchu i sił, usiadłem więc obok chodnika, wyciągnąłem się na skrawku tra-

wy i zamknąłem oczy. Musiało to być krótkie półomdlenie. Wytrąciło mnie z niego gwałtowne szarpnięcie. Obok mnie siedział Hindus w łachmanach, młody jeszcze, o zarośniętej i dzikiej trochę twarzy. Mówił powolną i poprawną angielszczyzną, przedstawił się jako *fortuneteller*. Był tak natrętny, że uległem. Wziął w swoje dłonie moje, przenoślił z nich ciągłe wzrok na moją twarz, kłufł swoimi czarnymi oczami moje. Zaraz po jego pierwszych słowach pogłębiło się we mnie jeszcze to dziwne uczucie pozaczasowości, zepchnięcia w jakąś próżnię bez dnia i nocy.

Mówił rzeczy zdumiewająco bliskie mojemu życiu i jego sprawom, mówił jak ktoś znający mnie dobrze od wielu lat. Nie posuwał się jednak poza pewną granicę, przystawał za każdym razem gdy mogłem oczekiwać, że usłyszę jak dobiega do końca ta czy inna „linia” mojego losu. Ogarnął mnie lęk, było w tym coś z daremnego wyławiania, z brzegu urwiska, pełnych kształtów przepływającego w dolinie, zasnuwanego wciąż mgłą, snu. Naraz podniósł się z ziemi, nie zażądał w ogóle zapłaty i odszedł szybkim krokiem. Usiłowałem go dogonić. Zniknął w tłumie koło hotelu, zdaje się że dojrzałem jeszcze jego odwróconą ku mnie twarz, wykrzywioną grymasem gniewu. Piszę „zdaje się”, bo nie jestem po tylu latach pewien czy tak było rzeczywiście. A czy jestem absolutnie pewien, że zdarzenie w Kalkucie odbyło się naprawdę? W hotelowym łóżku budziłem się nocą-nie-nocą wielokrotnie. Budził mnie czyjs znajomy głos, powtarzający z wysoka początek wiersza Trakla: „Sen i śmierć, ciemne orły...”.

7 stycznia

W Paryżu wydano przemyconą z Moskwy porcję ineditów Szałamowa, z przedmową Hellera: długą opowieść autobiograficzną *Czwarta Wołogda*, kilkanaście krótkich opowiadań z dzieciństwa i z łagrów. W *Czwartej Wołogdzie* Szałamow, syn popa, opisał między innymi swój konflikt z ojcem; w dużym stopniu religijny, jak w angielskiej opowieści autobiograficznej Edmunda Gosse *Father and Son*. „Szczycę się (brzmia ostatnie słowa *Czwartej Wołogdy*), że od sześciu do sześćdziesięciu lat nie uciekałem się do pomocy Boga ani w Wołogdzie, ani w Moskwie, ani na Dalekiej Północy”. Umarł w roku 1982, w wieku siedemdziesięciu pięciu lat. „Uciekał się do pomocy Boga” w ciągu ostatnich piętnastu lat swego życia? Trudno o tym cokolwiek powiedzieć, skoro jego opowieść autobiograficzna urywa się w roku 1967. W moim opowiadaniu o śmierci Szałamowa *Piętno* błąka się jakby prześwit końca zwady z Bogiem. Ale nieśmiały, ledwie zarysowany, oparty głównie — choć nie jedynie — na

tym, że Szałamowa pogodono pośmiertnie z Bogiem w prawosławnej uroczystości pogrzebowej. Gdybym był znał tytułowe opowiadanie świeżego tomu paryskiego *Wskreszenie modrzewia*, pozwoliłbym sobie na nieco więcej. Jest to opowiadanie-przypowieść o cudzie zmartwychwstania, o znaku nieśmiertelności wystanym z kołymskiego „królestwa lodu”.

Trzeba jednak trzymać się autobiograficznego wyznania Szałamowa: „Nie uciekałem się do pomocy Boga na Dalekiej Północy”. Kołymę przeżył zbuntowany przeciw Bogu, co nie przeszkodziło mu zauważyć w jednym z opowiadań, że znakomita większość więźniów nie wytrzymała „próby moralnej” łagrów, wśród nielicznych zaś którzy ją wytrzymali większość stanowili ludzie wierzący w Boga. Należał do wyjątków, zawzięcie bronił na Kołymie swej duszy („mojej duszy nie oddam” w opowiadaniu *Protezy*) bez wiary w jej nieśmiertelność. Jeśli u progu śmierci wrócił do Boga, to nie na klęczkach, z błaganem o łaskę ocalenia wiecznego, lecz z dumną świadomością że potrafił w męce „białego piekła” sam ocalić własny ludzki skarb godności, niezależności i wewnętrznej wolności.

Rzym, 10 stycznia

Cudownie słoneczny dzień rzymski, przed umówionymi spotkaniami i wizytami spędziłem cały ranek między Zamkiem Anioła, Piazza Navona i Campo dei Fiori, od złotego Tybru do barwnych straganów wokół pomnika Giordano Bruno. Rzadko do Rzymu przyjeżdżając, mogę za każdym razem dokładniej zmierzyć wahań w jego „temperaturze”.

Są drobne, „normę” uchwycił dobrze Nicola Chiaromonte w zakończeniu swego opowiadania *Jezuita*: „Ulice i place Rzymu, ten rzymski wymiar przestrzeni, tak hojny, pozbawiony wszelkiego przymusu, nie żądający od jednostki niczego z wyjątkiem jednej rzeczy: by nałożyła maskę, odegrała swoją rolę i zapomniała się w niej bez reszty. Aktorów bez liku, scena ciągle ta sama. Jest miejsce dla Fanatyka, jest i dla Cynika. Tylko ten kto chce być samym sobą zostaje wyłączony: heretyk”.

Maska i rola. Jakie są dzisiaj, po tych kilku moich spotkaniach i wizytach? Do dobrego tonu należy podwyższyć dozę antyamerykanizmu, po incydencie w Sigonelli nobilitowanego patriotycznie w imię „zranionej suwerenności narodowej”. I urońwszy najpierw łezkę nad dekadencją zachodniej Europy, a potem dużo łez nad bezradnością w obliczu międzynarodowego terroryzmu, westchnąć do konieczności sowieckiego uczestnictwa w dziele „stabilizacji” basenu śródziemnomorskiego. Pojęcia „stabilizacji” i „destabilizacji” podskoczyły o parę kresek na giełdzie

wśród masek, które posiadają rzymski dar zapominania się bez reszty w różnych rolach odgrywanych na tej samej wciąż scenie.

Europę podzielono, nic się na to nie poradzi, „tamta” odpadła od „tej”, ale jeśli nie da się w żaden sposób uniknąć dopuszczenia Moskwy do wspólnej troski o przyszłość zachodniej części Starego Kontynentu, to „stabilizacja” czy „destabilizacja” tam stają się równie ważne jak tu. Na obiedzie u V. podkreślił to ze szczególnym naciskiem włoski *monsignor* „kurialny” O., zakochany w zwrocie *vogliamo sperare*: „Skończyło się pierwsze pięciolecie obecnego pontyfikatu. Destabilizacyjne, a raczej prowokujące *volens nolens* destabilizację, poczynając od nieszczęśliwej ojczyzny *del nostro Santissimo Padre* (skłonił pokornie głowę). Zamknięty rozdział, *vogliamo sperare*. Za półtora roku Papież odwiedzi po raz trzeci Polskę. Będzie to, *vogliamo sperare*, pielgrzymka stabilizacyjna. I przed Ojcem Świętym otwórz, *vogliamo sperare*, zaryglowane dotąd bramy innych krajów socjalistycznych”. Jeden z biesiadników, publicysta liberalny o zacięciu antyklerykalnym, wykrzyknął z zapałem: *Sacrosante parole!* Gospodarz spojrział na mnie lekko zakłopotany i dolał mi szybko wina. Maski i role rzymskie zbliżyły się do istoty teatru Pirandella, czyli do stopniowego podmywania tożsamości postaci scenicznych. Istnieje w ogóle taka tożsamość? Miał rację Nicola: kto chce w Rzymie pozostać samym sobą, niechaj pogodzi się z góry jako heretyk z wyłączeniem z gry.

Piszę to nocą na Zatybrzu, w górnym pokoiku mieszkania R. Z tarasu nic prawie nie widać. Czyżby ogłoszono ostatnio zaciemnienie Wiecznego Miasta?

11 stycznia

W *Personal Impressions* Isaiah Berlin opisuje swoje spotkanie z Achmatową i Pasternakiem. Znałem ten opis, ale w poprzedniej lekturze umknął mi jeden szczegół. Achmatowa nie zносиła Czechowa: świat Czechowa był dla niej matowy i nudny, pokryty szarą mgłą, monotony, pogrążony w wiecznym półmroku, zaludniony przez więźniów beznadziejnej, „mulistej” codzienności. Przeciwnie Pasternak: kochał Czechowa, widział w nim jedyne pisarza rosyjskiego niezdolnego organicznie do kaznodziejstwa i mentorstwa, czystego artystę, „naszą rosyjską odpowiedź na Flauberta”.

Jestem po stronie Pasternaka. Słyszcy się często, że Rosja czeka na swojego nowego Dostojewskiego. Sam tak długi czas myślałem. Dziś dodałbym: i na swojego nowego Czechowa. Na pisarza, który opowiada spokojnym, przyciszonym i jakby zatroskanym głosem, nikogo nie poucza, nikim nie próbuje wstrząsnąć,

po prostu przechodzi wolno przez rosyjskie życie, ogląda je z ogromną uwagą i smutkiem mądrymi, zmęczonymi trochę oczami, dostrzega błaha niby drobiazgi, umie je odczytać i do głębi przeniknąć. „Twórczość z niczego”, nazwał Szeszow nowele Czechowa. Oby o współczesnym rosyjskim „niczym” mógł i potrafił nareszcie opowiedzieć współczesny spadkobierca Czechowa.

Szałamow w niektórych opowiadaniach bliski jest sposobowi patrzenia i modulacji prozy Czechowa. I Sołżenicyn w *Zagrodzie Matriony*, a także po części w opowieści o Iwanie Denisowiczu, którą przed laty zestawilem z *Opowiadaniem Jegora w Sachalinie* Czechowa. Ten mój szkic, ogłoszony również po rosyjsku, rozgorczył (jak mi mówiono) Sołżenicyna: wydał mu się przykładem polskiej głównie skłonności do szukania analogii między Rosją carską i sowiecką. Jakież nieporozumienie! Był skromnym hołdem, złożonym skromnej i wielkiej zarazem sztuce Czechowa.

Neapol, 17 stycznia

*Persona* i *personaggio*, „osoba” i „postać”. Albo: „życie” i „forma”. Albo: „wielokształtna prawda rzeczywistości” i „jednoznaczna prawda subiektywna”. W pięćdziesięciolecie śmierci Pirandella odżyły trzy gry: gra Pirandella (na scenach teatrów), gra w Pirandella (w artykułach rocznicowych o nim), gra o Pirandella (w odnowionych sporach o jego miejsce w literaturze). Jak u nas w wypadku Gombrowicza.

Dla Pirandella postać, bez wyraźnej tożsamości i bez określonych właściwości; forma, zmienna i zależna od spojrzenia innych i na innych; wielokształtna prawda rzeczywistości, realniejsza od subiektywnej jednoznaczności osoby. *Così è (se vi pare) — Jest tak (jeśli wam się zdaje)*, przeróbka sceniczna noweli wystawiona w roku 1917. Jej przesłanie lepiej oddaje tytuł przekładu francuskiego: *Chacun sa vérité*. Chwiały się dziewiętnastowieczny mit optymistyczny rozumu powszechnego, wspólnego dla wszystkich. Na premierze *Sei personaggi in cerca d'autore* w roku 1921 publiczność gwizdała, tupiała, wrzeszczała „bolszewik” i „wariat”. Dom pod Agrygentem, w którym urodził się Pirandello, nazywano w jego dzieciństwie *Villa del Caso* — Willą Przypadku. On sam nazwał go pod koniec życia, przedstawiając litery, *Villa del Caos* — Willą Chaosu. I tam, zgodnie z testamentem, ustawiono amforę grecką z jego popiołami.

Wybierając „postać” w królestwie Przypadku i Chaosu, nie przestał według mnie tęsknić do „osoby”. Była to zapewne ukryta głęboko tęsknota do bezpowrotnie utraconego. Tęsknota for-

my do nieskażonego źródła życia, tęsknota splecionej prawdy „kościół międzyludzki” do czystej prawdy duszy indywidualnej. Nowa literatura, której był współtwórcą, zaczęła się w roku 1903 listem Kafki do Oskara Pollaka: „Zabłąkani jesteśmy jak dzieci w lesie. Kiedy stoisz przede mną i patrzysz na mnie, co wiesz o moich bólach, a co ja wiem o twoich?”. Mogłaby tak powiedzieć, z nutą *rozpaczy* w głosie, któraś z postaci Pirandella, żegnając wiarę w racjonalny lub boski sens świata.

20 stycznia

W albumie Orvieto przeglądany dziś w księgarni uradowała mnie duża fotografia, obejmująca *Duomo* i „ławkę starców” po drugiej stronie katedralnego placu. Fotografę uderzyło dokładnie to samo, co dla mnie stało się nieodłączną częścią Orvieto od mojej pierwszej wizyty w umbryjskim mieście.

Codziennie wiosną i latem, gdy niebo wróży ładną pogodę, długa kamienna ławka naprzeciw *Duomo* wypełnia się od rana starymi ludźmi. Potrafią tak siedzieć godzinami, rzadko rozmawiając, częściej wpatrując się w milczeniu w fronton katedry. Niekiedy słyszy się ciche westchnienia *Come bello!*, jak słowa modlitwy. Dla starych ludzi w Orvieto, kruchych i oczekujących już tylko śmierci, *Duomo* jest pewnie znakiem i obietnicą trwania. Całe ich życie toczyło się dokoła katedry, teraz gotują się do odejścia uczepieni słabnącym wzrokiem rozety Orcagni. Podobnej kształtem i promieniami małych kolumn to do monstrancji to do słońca, które zapala o świcie pozłotą i gasi o zmierzchu purpurą umbryjskie pagórki, ogrody, winnice, pola u stóp katedralnej Skały.

29 stycznia

Susuke, bohater opowiadania Tanizaki, oślepia się własnością gdy jego ślepa i piękna kochanka Shunkin zostaje oszpecona. Niszczy miłosne odbicie jej urody w imię ocalenia zagrożonej miłości. W zakończeniu opowiadania Tanizaki przytacza opinię kapłana świątyni Tenryu: Susuke postąpił w duchu Zen, zmienił w ciągu jednej chwili swoje życie, obracając szpetotę w piękno; zdobył się na akt prawie świętego.

W *Symfonii pastoralnej* Gide'a ślepa dziewczyna odzyskuje wzrok, odkrywa że kochała nie swego dobroczyńcę pastora, lecz jego syna, i odbiera sobie życie. Obraca dobro w zło. To była jałowa pasja Gide'a. Przekomarzał się kokieteryjnie z Bogiem, święcie przekonany, że pasuje się z Nim jak Dostojewski. Nie

można go dziś czytać, przyprawia tą swoją duchową kokieterią o gęsią skórkę. W dzienniku opisuje odwiedziny Maritaina. „Jestem skłonny wierzyć — powiedziałem do niego z uśmiechem (zamykając rozmowę) — że panu zależy bardziej na zbawieniu mojej duszy, niż mnie samemu”. Wpadł na pomysł zaaranżowania depeszy z zaświatów do Claudela nazajutrz po swojej śmierci: „Piekle nie ma — André Gide”. Takimi „szelmowskimi” przymrużeniami oka wytapetowany jest jego kameralny teatrzyk literacki. No i Bóg z nim, wzrusza się ramionami. Sęk w tym, że we własnym mniemaniu rozgrywał przewleklą partię szachów z Panem Bogiem, torując sobie pracowicie drogę do nieuchronnego mata. Niegdyś — rzecz nie do wiary — brano poważnie, okadzano nawet, te minoderyjne popisy egotysty przed lustrem nie-nasyconej próżności.

1 lutego

Rok temu w drukowanym w *Kulturze* artykule *Przyszłość Janty* Zbigniew Brzeziński pisał: „Gdy reżim wschodniemiecki załamał się w roku 1953, gdy wybuchło powstanie węgierskie w roku 1956, gdy pokojowa emancypacja Czechosłowacji skończyła się inwazją wojsk sowieckich, Stany Zjednoczone zachowały bierną postawę pod maską antysowieckiej retoryki. Czy mogły zrobić więcej, to kwestia sporna, pewne jest natomiast, że zrobiły niewiele”.

Miałem ostatnio okazję przeczytać fragmenty polskie dziariusza Brzezińskiego od sierpnia do grudnia 1980, z okresu końcowej fazy jego urzędowania u boku Cartera i wstępnej fazy wydarzeń w Polsce. Nicią przewodnią notatek w dziariuszu jest „akcja przeciw ewentualnej inwazji sowieckiej”. Przyświecały „akcji” cztery cele. Najistotniejszy był trzeci, według określenia Brzezińskiego „dość paradoksalny”. Należało spowodować „uspokojenie sytuacji w Polsce przez uświadomienie Polakom, że ZSSR może rzeczywiście dokonać inwazji”; Polacy bowiem „nie liczyli się właściwie dotychczas z tą możliwością, co mogło ich nadmiernie ośmielać”. Brzeziński dodaje: „W tym punkcie zachodzi jakby pewna zbieżność interesów naszych i sowieckich, bo przecież Moskwie zależy (przede wszystkim) na zastraszeniu Polaków”.

Cel nie był bynajmniej „dość paradoksalny”, wyrażał zbieżność rzeczywistą, bez „jakby”. Naturalnie przy założeniu, potwierdzonym przez dziariusz Brzezińskiego, że również w roku 1980 Stany Zjednoczone nie zamierzały naruszać *mechanizmu* jałtańskiego, były w praktyce zdecydowane zachować nadal „bierną postawę pod maską (trochę żywszą i sympatyczniejszą niż w la-

tach poprzednich kryzysów) antysowieckiej retoryki". Jeśli do sowieckiej inwazji nie doszło, to nie dlatego że w Moskwie zadreżano się pytaniem, czy aby „bierna postawa” Waszyngtonu zda swój kolejny egzamin i przeważą nad pokusami postawy bardziej czynnej. A dlatego po prostu, że zadawano sobie tam o wiele ważniejsze pytanie, czy reakcja „nadmiernie ośmielonych” Polaków nie nadałaby inwazji cech operacji zanadto ryzykownej i kosztownej. Postanowiono szukać lepszego rozwiązania. I znaleziono je w rok później.

Wyszła właśnie w Londynie (nakładem Polonii) niezmiernie pożyteczna książka *Jałta wczoraj i dziś*, wybór publicystyki autorów polskich i obcych z lat 1944-1985. W zeszlórocznym artykule, włączonym do wyboru, Jean-François Revel wzywał do „odmitologizowania Jałty”. Jałta nie jest według niego traktatem, więc na czczą gadaninę zakrawają postulaty jej „unieważnienia” lub „wyjścia” z niej. Jest odzwierciedleniem układu sił po drugiej wojnie światowej, swego rodzaju samoczynnym już mechanizmem, który Europie zachodniej wpoił lęk przed potęgą Związku Sowieckiego, a w Europie środkowo-wschodniej wprowadził i utrwalił panowanie siły zamiast prawa. „Nie ma żadnej potrzeby (powiada Revel), by Zachód czuł się w jakikolwiek sposób związany Jałtą, gdyż nie była to żadna umowa”. Przypuśćmy, że Zachód posłucha upomnienia Revela, „odmitologizuje” Jałtę, poczuje się wolny nareszcie od jakichkolwiek wobec niej obligacji typu traktatowego: słaba to pociecha, jeśli wprawiony w ruch mechanizm jałtański będzie działał dalej. Nie można go rozbić bez nowej wojny. Nie można go zmienić w drodze łagodnej perswazji. Nie można go wstrzymać za pomocą „akcji”, wpisanych z natury rzeczy w „bierną postawę”. Można go tylko „destabilizować” czy „deregulować”, zakłócać jego działanie ciągłymi uszkodzeniami tam, gdzie siłą zastąpił prawo, czyli w obrębie dominacji sowieckiej. Nie straciła aktualności rada Rousseau, skierowana do Polaków: „Połknęto was, nie dajcie się strawić, to wasz jedyny ratunek”. Rada prawomocna dla wszystkich ofiar mechanizmu jałtańskiego, wbrew zachodnim ostrzeżeniom przed „nadmierną śmiałością”.

4 lutego

Dokładnie czterdzieści lat temu, w lutym 1946 roku, gorliwy i praktykujący katolik Konrad Adenauer wysłał list do pastora Bernharda Custodisa: „W moim przekonaniu na biskupach i klerze ciąży ogromna odpowiedzialność za to, co się działo w obozach koncentracyjnych... Naród niemiecki, a także w dużym stopniu biskupi i kler, dali się uwieść propagandzie narodowo-socja-

listycznej... Obiektywnie więc nie wolno twierdzić, że ludzie nie wiedzieli o stałym gwałceniu elementarnych praw państwa i ludzkości przez rząd hitlerowski i dowództwo wojskowe. Sądzę że biskupi mogliby byli zapobiec wielu rzeczom które się stały, gdyby pewnego dnia, wszyscy razem, wystąpili publicznie z napiętnowaniem i potępieniem. Nie zrobili tego, i dla tej postawy nie ma usprawiedliwienia. Gdyby zaś, protestując, biskupi zostali osadzeni w więzieniach i obozach koncentracyjnych, nie byłoby w tym żadnej szkody; przeciwnie. Wszystko odbyło się inaczej, najlepszą zatem rzeczą jaką można teraz zrobić jest milczeć”.

6 lutego

Coraz częściej w dyskusjach „rozliczeniowych” na temat szesnastu miesięcy Solidarności i czterech następnych lat spotyka się przeciwstawienie „lewica-prawica”. Lewica jest synonimem awanturnictwa politycznego, prawica synonimem gry politycznej. W ogóle koncept Gry wzbił się na niebosiężne wyżyny, Gracz uchodzi za wzór „staroświecko-nowoczesnego” Polaka. Wyjątkowym powodzeniem cieszy się cytat z *Polityki polskiej* Dmowskiego, zakończony zdaniem: „Człowiek, który ryzykuje byt narodu, jest jak gracz, który siada do zielonego stołu z cudzymi pieniędzmi”. Czasem nie wiadomo czy to zdanie odnosić należy do awanturniczego Generała, czy do jego awanturnicznych przeciwników z opozycyjnej lewicy. W razie wybuchu bowiem odpowiedzialność wypadnie rozłożyć na wszystkich graczy ze wszystkich stron zielonego stołu.

O „niektórych postawach w opozycji” mówił Waldemar Kuczyński na londyńskim Kongresie Kultury Polskiej. Miał to być tak zwany „głos zdrowego rozsądku”, wymierzony przeciw „gorące radykalizm” w imię „umiejętnego kombinowania walki ze współistnieniem”; która to „kombinacja”, zrećnie rozgrywana, „może stopniowo wykruszać antyhumanistyczne rogi systemu”. Rozsądne i raczej oczywiste w wystąpieniu Kuczyńskiego wydaje mi się tylko stwierdzenie: „Już w kilka miesięcy po zlikwidowaniu Solidarności można było łatwo przewidzieć, że ogromna rzesza (członków Solidarności), a na pewno jej większość spłynie stopniowo, wolniej lub szybciej, do różnych organizacji oficjalnych; dziś też można przewidzieć, że za parę lat w związkach zawodowych, partii, organizacjach młodzieżowych będzie znacznie więcej członków niż obecnie; to jest proces naturalny, można go powstrzymać, ale nie można go zatrzymać”. W domyśle pytanie: skoro nie można go zatrzymać, czy warto go powstrzymać? Nie warto, odpowiada Kuczyński, lepiej go wy-

korzystać w interesie owego „umiejętnego kombinowania walki ze współistnieniem”. W jaki mianowicie sposób? Dając „odpływającej rzeszy” rozgrzeszenie wraz z poczuciem, że „idzie tam z misją kontynuacji, po to by w nowych cięższych warunkach realizować solidarnościowe *credo*”. I tu wkraczamy w sferę gry dość odległej od zdrowego rozsądku.

Taka już jest psychologia ludzka, zwłaszcza w wypadku procesów masowych, że kto odchodzi szuka na ogół dla swego przymusowego odejścia bardziej namacalnego i przyziemnego uzasadnienia, niż „misja kontynuacji i realizacji ukrytego *credo*” w obozie wroga. I znajduje je na ogół w uczuciach frustracji i zmęczenia, w ciągłych do małej stabilizacji w dużej i wciąż rosnącej beznadziejności. Nigdy nie wierzyłem w „ketmańskie” wybiegi i podstępny na planie czysto indywidualnym, a cóż dopiero w ramach „odpływu ogromnej rzeszy, na pewno większości”. Zgadzam się z Kuczyńskim, że na „odpływ” nie ma rady, że chodzi o „proces naturalny”. Ale oferując odchodzącym rozgrzeszenie *in blanco* i powierzając im w dodatku szczególną „misję”, nadrywa się po pierwsze sens własnej nieustępliwości; po drugie zaś osłabia się i osłabia składnik oporu w rzeczywistej choć częściowej, nie zaplanowanej lecz spontanicznej, osmozie „walki ze współistnieniem”. Kto odchodzi, odchodzi; kto zostaje, zostaje. Nie ma potrzeby, ani nawet sposobu, uprawiania „umiejętnej” gry „pomiędzy”. Historia nie kończy się dzisiaj. W zmienionych okolicznościach zmieni się również kierunek „odpływu”.

Gracze, jeżeli koniecznie już chcą grać, powinni w grze okazać więcej dalekowzroczności, przezorności, wytrwałości i cierpliwości. Opozycji wyleczonej według recepty Kuczyńskiego z „gorączki radykalizmu” groziłoby „stopniowe wykruszanie jej humanistycznych rogów”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## Kartki z notesu\*

Od końca czerwca do końca września 1984 wynotowałem ponad 100 tytułów wydanych w podziemiu książek. Nie liczę przy tym wszelkiego rodzaju periodyków. To ogromna ilość i nie sądzę, by można to było zablokować przy pomocy najstaranniej przygotowanej i przeprowadzonej akcji policyjnej. To już zostanie. A przecież musi tu działać wielka armia ludzi — redaktorów, drukarzy, składaczy, kolporterów. Zjawisko o tyle ważne, iż stanowi swoisty system nerwowy opozycji. Zresztą — tak szybki rozwój „Solidarności”, jaki nastąpił po Sierpniu nie byłby możliwy bez uprzedniego przygotowania sporej kadry ludzi, którzy natychmiast uruchomili rozrastającą się błyskawicznie sieć informacyjno-prasową.

W „Dzienniku” Herlinga-Grudzińskiego odnajduję smutne uwagi o Wielkim Dziecku polskiej literatury i polityki — Jerzym Zawieyskim. Zapewne — zwłaszcza w politycznej sferze działalności — tytuł ten, wraz ze wszystkimi jego cieniami i blaskami, jest najbardziej odpowiedni. Tak — był Zawieyski Wielkim Dzieckiem z całą naiwnością i bezradnością dziecięctwa, z niezdolnością uznania „twardych praw polityki”, z właśnie dziecienną wiarą, iż jednak można coś w porozumieniu z komunistami zrobić. Był zresztą bohaterem własnej literatury, w której „Konrad nie chce zejść ze sceny”. Znajduję jednak u Herlinga pewną kąśliwość i zastanawiam się jak dalece kąśliwość ta jest usprawiedliwiona.

Herling jest świetnym pisarzem, jego „Wieża” to bez wątpienia arcydzieło. Jest też znakomitym eseistą. Jednakże boję się, że cień „Innego świata” przesłonił pewne obszary wrażliwości, bez których nie sposób żyć i myśleć normalnie. Ja wiem, że TAM jest siedziba szatana i każdy, kto pozwala sobie na moment nieuwagi, na odwrócenie wzroku, ryzykuje, zwłaszcza w po-

\* *Wezwanie* nr 8, marzec 1985.



lityce, życiem. Ale też czasami warto życiem ryzykować. Nie można bowiem nieustannie wpatrywać się w ten jeden jedyny punkt. Wyłania się, rzecz jasna, pytanie o to, czy swym postępowaniem nie stwarzał Zawieyski alibi złu. Gdy dziś na to patrzymy, możemy twierdzić, że takie alibi stwarzał. Ale wówczas? W końcu dla Zawieyskiego sprawdzianem był rok 1968. I Zawieyski egzamin zdał.

Wiem — w gruncie rzeczy Herling ma sporo racji. Szkoda mi jednak Zawieyskiego — postaci w końcu pięknej i tragicznej. Rzeczywiście — był Wielkim Dzieckiem. Bronię tej dziecięcej ufności, która w nim była, choć pamiętam, że jest to luksus, na który nawet dzieci nie mogą tu sobie pozwolić.

Inne Wielkie Dziecko — Kazimierz Brandys. Ale — choć nie uczestniczy w polityce — jest to dziecko rozkapryszone i denerwujące. Czytam kolejne partie „Miesiący” i nie wiem, czy śmiać się, czy płakać. Bo rozumiem „męczarnie emigranta”, ale wkurza mnie ich namaszczone i upozowane podawanie wtedy, gdy tu w więzieniach siedzą skatowani ludzie. Rozumiem, że można tęsknić do kulawego stołka pozostawionego w opanowanej przez — jak pisze niemal dosłownie Pan Kazimierz — hordy barbarzyńców zaśniezonej Warszawie, ale śmieszają mnie deklaracje mówiące o tym, że nie można do Warszawy wrócić, póki Adaś (czytaj: Michnik) w Mokotowie zza krat świat ogląda. Po prostu strach wracać do Warszawy — ot i wszystko. Warto ten strach opisać.

Przy tym lubię Brandysa. W tym emigracyjnym kołomęcie coś się z nim jednak stało nieznośnego, coś w tym pisaniu jest potwornie fałszywego. Co? Otóż chyba na siłę wciskanie się w „rolę emigranta”. Bo to tak — być emigrantem: niedobrze. Wracać: też niedobrze. No i właśnie — o tym bym z chęcią poczytał. Dlaczego niedobrze jest wracać? No, Panie Kazimierzu, dlaczego? To trzeba opisać po ludzku i do końca. Albo pisać o czymś zupełnie innym. Słowo daję, że nie tylko ja tak myślę. Ale — sam Pan wie — przyjęło się u nas źle raczej o umarłych niż o „naszych ludziach” mówić. Głupie to i niemoralne.

Rozmowa dość dla mnie nieprzyjemna ze starszym kolegą, znanym pisarzem, człowiekiem o temperamencie politycznym. W pewnym momencie powiada on: rozczarowała mnie w Grudniu postawa społeczeństwa — większość robotników uznała, że nie warto umierać za idee „Solidarności”. Zareagowałem dość ostro: z czym w rękę mieli umierać? Odpowiedź: tak może to widzieć tylko pana pokolenie — myśmy w Powstaniu szli z gołymi rękami na czołgi. Smutna to demagogia, myślę, i to okropne, że właśnie ten człowiek to mówi. Przecież Powstanie było przygotowane przez działającą kilka lat organizację, miało swoje kadry oficerskie, miało długo szkolone, wykwalifikowane służby specjalne (łączności, sanitarne itp.) i — jakby na to nie patrzeć — jednak powstańcy broń mieli. Trwała wojna. Tymczasem w Grudniu izolowane od siebie zakłady, aresztowani przy-

wódcy, kompletny szok, zaś jako broń kilka zdezelowanych powielaczy. W Powstaniu zaskoczenie po stronie niemieckiej. Tu: nikt serio nie myślał (poza komunistami) o wojnie domowej. Tam: jednak to byli Niemcy po drugiej stronie. Cóż — długo jeszcze pewnie będziemy analizować to, co się stało 13 grudnia, ale przecież nie wolno myśleć takimi kategoriami. Myśląc nimi pozbawiamy sensu to, co się w Polsce dzieje. Jeszcze kilka takich wypowiedzi, a przestaniemy w ogóle rozumieć, o co tu chodzi. I jeszcze jedno: niezależnie od tego czy warto, czy nie warto umierać za jakieś idee (co w tym wypadku nie jest jednak problemem abstrakcyjnym: kilkudziesięciu ludzi jednak za „Solidarność” zginęło) — otóż niezależnie od tego, ci sami robotnicy zrobili więcej, niż można się było spodziewać, by nie umarła sama „Solidarność”. Nie tylko zresztą oni.

Cóż za pogardę trzeba żywić dla ludzi, jakże trzeba być pozbawionym wszelkiej pokory i chęci rozumienia, by wygłaszać podobne do przytoczonych sądy?

Konduktor sprawdzający w pociągu bilety widząc, że jeden z pasażerów ma bilet zniżkowy, zwraca się o okazanie legitymacji. Facet podaje dokument. Konduktor otwiera, przegląda, po czym odczytuje na głos: „Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, dziękuję panu” — po czym zwraca legitymację i bilet. Współpasażerowie wstają po chwili i w milczeniu opuszczają przedział.



Sprawa zamordowania księdza Jerzego Popiełuszki ma również — obok tragicznego — swój wymiar komiczny. Otóż jeden z wrocławskich księży, człowiek już starszy i reagujący bardzo emocjonalnie, w kazaniu poświęconym osobie zabitego — a działo się to w przepelnionym kościele — stopniując napięcie wygłoszonej homilii zwrócił się do wiernych w następujące słowa: „I mnie zamordują. I pochowają albo na wsi, albo tutaj”. W tym momencie przerwał kapłanowi dramatyczny okrzyk wiernych: „Tutaj, tutaj”.

Rozmowa — kolejna — na temat współzależności między Kościołem a kulturą w Polsce. Czy mianowicie zagraża nam zdominowanie kultury przez instytucję Kościoła? Jaki ma być stosunek ludzi kultury do takich zjawisk jak „indeks dzieł zakazanych” tworzonych przez Kościół? Czy z czasem nie zagraża Polsce fala nietolerancji religijnej? Jak czuje się niewierzący, zgadzając się na udział w kościelnych imprezach kulturalnych? Cóż — jeszcze pół roku temu, gdy wyrażałem podobne wątpliwości, budziło to w najlepszym wypadku odruchy zniecierpliwienia. Czego ty właściwie chcesz? O co ci chodzi? Teraz te problemy coraz częściej stają się widoczne.

Nie ma oczywiście wątpliwości, iż wierność zasadom kultury chrześcijańskiej nie oznacza konieczności pozostawania wiernym instytucji Kościoła. Ale to tylko wstęp do szeregu dalszych rozróżnień i ustaleń. Czy bowiem może niewierzący pisarz trak-

tować przestrzeń kościelną jak „każde inne” miejsce prezentacji swej twórczości? Czy w niczym nie ogranicza to jego wolności? Pytania delikatne, ale w pewnym momencie mogące przybrać postać niezwykle brutalną.

Nie wiem, jak o tym pisać. Widzę jednak, że tego rodzaju problemy, dotąd zupełnie nieobecne, zaczynają nurtować coraz większe grono moich znajomych. Dla wierzących te zagadnienia nie istnieją. Nie znaczy to, że nie istnieją w ogóle.

◆

Obserwując powstającą obecnie literaturę zauważam, iż — zwłaszcza jeśli chodzi o prozę — zatraciła ona poczucie gatunkowej stabilności, weszła w stan, który chętnie określiłbym, jako proces „stawania się”; te różne dzienniki, strzępy, notatki, fragmenty, fabularyzowane eseje... Wiele na ten temat rozmawiam i wszyscy — chcąc wreszcie zobaczyć TO WIELKIE DZIEŁO, a nie chcąc jednocześnie do końca odmówić wartości temu, co powstaje — otóż wszyscy mówią o naszej prozie jakby się jąkają, czegoś nie potrafią dopowiedzieć. Atakują tę prozę, by zaraz w pół zdania się zatrzymać. Być może nie dostrzegamy tego, co mamy w zasięgu ręki, co stoi już na półce i czeka na — ponowne odczytanie. A może rzeczywiście nic tu nie ma i ci wszyscy którzy bronią wartości np. „Rozmów polskich” Rymkiewiczza, dokonują jakiejś dziwacznej ekwilibrystyki, wpisując w te książki coś, co sami wymyślili. Nie wiem. Mam jednak dojmujące poczucie, iż powstająca obecnie proza świadczy o jakimś przesileniu, które się w tym gatunku w nas dokonuje, a które — być może — nie dokona się do końca nigdy.

◆

I oto nagle do tego domu wariatów zaczynają przyjeżdżać z Europy premierzy i ministrowie: jak gdyby nigdy nic. Słowo daję, że niewiele z tego, co się nazywa kulturą europejską, ocalało po drugiej wojnie. Teraz to widać. I mają rację ci, którzy od lat głoszą — jak Michał Heller — iż następuje powolna sowietyzacja Zachodu.

◆

Fenomen Urbana. Gdyby udało się przezwyciężyć obrzydzenie, jakie ta postać wywołuje, byłby to świetny model postaci współczesnej prozy. Jest to bowiem osobnik, który po równi gardzi społeczeństwem i ekipą władzy, której jest rzecznikiem. Przy tym — co można stwierdzić śledząc jego karierę dziennikarską — jest to unikalny przykład człowieka pozbawionego zdolności rozróżniania między złem i dobrem, żyjącego w ogóle poza jakimkolwiek systemem wartości. Być może, iż jest to jakaś choro-  
 ba, być może idealny wytwór systemu. Urban jest doskonale aideologiczny w tym sensie, iż może bez oporów funkcjonować w każdej ideologii. Jest jak automat zaprogramowany do gry — tylko gra się liczy. Jeszcze przed wprowadzeniem stanu wo-

jennego publiczność nazywała Urbana Plastusiem, oczywiście ze względu na zewnętrzne podobieństwo do plastelinowego ludzika z książek dla dzieci. Ale ta nazwa okazuje się trafna ze względu na swe etymologiczne skojarzenia: Urban jest doskonale plastyczny, stąd jego funkcjonalność niezależnie od układu, w jakim się znajduje. Jest na swój sposób doskonały — doskonale odczłowieczony. Widać to bardzo dobrze w jego sposobie komentowania zabójstwa ks. Popiełuszki. Tu nie chodzi już — jak chcą liczni — o przekroczenie zasad przyzwoitości. By je przekraczać, trzeba je najpierw widzieć.

Dzień później: ktoś ze znajomych powiada, iż nie byłby zdziwiony, gdyby za rok Urban znalazł się w USA jako jeden z doradców w sprawach Europy Wschodniej.

◆

Pisze gdzieś Simone Weil, że każda twórcza kultura rozbudowana jest wokół centrum przeznaczonego dla „czystego pierwiastka metafizycznego”. W kulturze współczesnej miejsce to zajmuje polityka. Zławsza w systemie komunistycznym. I to chyba jest główną przyczyną, dla której kultura tutaj musi ulegać redukcji.

Odzyskanie owego metafizycznego pierwiastka jest bodaj podstawowym mechanizmem przemian zachodzących w Polsce w ciągu ostatnich lat. Można to zaobserwować w literaturze. Zławsza w ewolucji pewnych postaw poetyckich — chodzi mi przede wszystkim o twórczość „pokolenia 68”: Krynickiego, Barańczaka, Zagajewskiego czy Karaska. Mieliśmy tu w połowie lat 70-tych do czynienia z dość interesującym zwrotem. Poezja ta przed rokiem 1975 nie bez pewnych racji oskarżana była o tendencje publicystyczne. I oto w momencie, w którym ciśnienie mechanizmów politycznych zepchnęło autorów tych wierszy do opozycji, ich poezja — paradoksalnie — zaczęła się od owej tendencji publicystycznej odwracać, zaczęła właśnie odzyskiwać wymiar metafizyczny: widać to szczególnie w pisarstwie Krynickiego i Zagajewskiego. Punktem zwrotnym w rozwoju tej grupy pokoleniowej była dyskusja sprowokowana artykułem Barańczaka „Zmieniony głos Settembriniego” — wzięli w niej udział Karasek i Zagajewski, towarzyszyło im kilka innych głosów. Tu właśnie owe ambicje metafizyczne zostały wyartykułowane. Przy czym nie oznacza to „oderwania od rzeczywistości”, rezygnacji z rozpoznania świata, w którym żyjemy, odrzucenia realiów. Utrzymana została równowaga, harmonia między nakazem dawania świadectwa a powinnością dociekania czy nawet wyrażania Tajemnicy. Owa harmonia zakłócona została przez wprowadzenie stanu wojennego — wydarzenie to zepchnęło poezję, również tej grupy generacyjnej, ku publicystyce. W miarę upływu czasu — o czym świadczą choćby nowe szkice i wiersze Zagajewskiego, z młodszymi zaś utwory Polkowskiego, Tomasza Jastruna — twórczość ta odzyskuje utraconą równowagę.

## Dziennik zewnętrzny\*

Kolejki. Tam rodzi się bunt i tam uczymy się pokory. Tam również uczymy się nienawiści do staruszek, kalek i kobiet ciężarnych. Kolejki przeorują naszą świadomość. Kolejki budują rurociąg przyjaźni ze Związkiem Radzieckim i można już nawet powiedzieć, że radzieckie kolejki połączyły się z naszymi. I płynnie tym „rurociągiem” sowietyzacja.

Wczoraj postanowiłem nie wiadomo dlaczego sprzedać butelki w pobliskim skupie. Tych po wódce nagromadziło się podejrzanie dużo. Stałem prawie godzinę. Byłem już blisko szczęścia w postaci 150 złotych, gdy podeszła kobieta w zaawansowanej ciąży. Na jej twarzy malowała się dramatyczna stanowczość. Wiedziała, na co się naraża. Popatrzyła na mnie niepewnie. Stałem już blisko okienka, byłem więc nastrojony pogodnie. Bunt bowiem po godzinie znika, rodzi się pokora.

— Proszę bardzo — rzekłem tak uprzejmie i ciepło jak pozwolił mi na to przemarznięty organizm.

Kolejka zavrzała. Najbardziej agresywne były kobiety, które powoływały się na swoje urodzone dzieci i na przecierpiane z brzuchem kolejki. Stanąłem dzielnie w obronie ciężarnej.

— Patrzcie państwo, do czego nas doprowadzili komuniści.

Ludzie umilkli i przez chwilę patrzyli na mnie podejrzliwie. Po czym wszyscy zaczęli narzekać na ustrój. I pewien jestem, że gdybym winą za mróz obarczył tenże ustrój, uzyskałbym nie mniejszą aprobatę.

Kim jest Lech Wałęsa? Wytrawnym politykiem czy nagim królem z baśni Andersena? Człowiekiem wielkiej odwagi i uczciwości, czy przesadnie ostrożnym i moralnie wątpliwym? Czy w ogóle mam prawo się nad tym publicznie zastanawiać? Przecież

jest nam tak bardzo potrzebny, więc musi być dobry na miarę naszych potrzeb. Miliony ludzi w Polsce uwielbiają go, znam jednak wielu, którzy Wałęsy nie znoszą. Najbardziej nie lubią go działacze z Gdańska... Walentynowicz, Gwiazda i nie tylko oni.

Kiedy istniała „Solidarność”, Wałęsa odsunął niemal wszystkich, którzy pomogli mu zejść tak daleko. „Rewolucja zawsze pożera własne dzieci” — mówi się. A ja pozwolę sobie teraz dodać, że ta rewolucja nie miała u nas warunków i czasu, by swoje dzieci strawić... na szczęście... niestety.

Kim więc w końcu jest ten nasz Lech? Czy tylko jedną z narodowych świętości, których dotykać nie wolno? Ja sam nie wiem. Chwilami widzę go jak Szwejką. Kim był Szwejk? Na tym polega wielkość tej postaci, że w gruncie rzeczy nie wiadomo. Ale na pewno wychodził obronną ręką z każdej opresji.

Ofiary stanu wojennego! Kto je policzy?

Miliony ludzi w Polsce straciły nadzieje na lepsze życie, a więc na przyszłość. Miliony ofiar. I jak po wybuchu bomby atomowej dopiero po wielu latach ujawnią się wszystkie skutki „wybuchu”. Ci, którzy ponoszą za to odpowiedzialność, pokazują uparcie swoje ręce i krzyczą, że ręce te są czyste. „Stan wojenny został przeprowadzony w rękawiczkach” — powtarza Rakowski. Mógłbym się nawet z tym zgodzić, ale na tych rękawiczkach są duże plamy krwi. To krew górników ze Śląska, z Zagłębia Miedziowego, z komisariatów MO. Rakowski zdejmując jednak rękawiczki i pokazuje swoje czyste ręce, a przy okazji nieznaczny ruchem głowy wskazuje na wschód i puszcza oko... rozumiecie?!

Ja nie rozumiem. Sami są przecież częścią tej lodowej ściany. A ich duma, że stan wojenny został przeprowadzony sprawnie, że było mniej krwi, niż mogło być, to duma namiestników obcego mocarstwa,

Inny rodzaj dumy obnażają na przesłuchaniach funkcjonariusze SB. Chwalą się, że nie stosują tortur.

— To już nie te czasy — mówią, jedni ze smutkiem, inni z oddechem ulgi. I dodają z żalem: — A wy nie chcecie z nami rozmawiać, chociaż jest tak miło.

Można by jeszcze odnaleźć inne rodzaje dumy w różnych organach tak zwanej władzy ludowej. Jesteśmy skłonni tą dumą gardzić lub ją lekceważyć. A przecież jest to miara postępu, jaki się u nas dokonał w ramach systemu. No, może nie postępu, ale zaawansowania procesów gnilych.

Wczoraj odwiedziła mnie G... bardzo smutna. Straciła poczucie sensu swojej pracy i nie chce się jej żyć. Jest psychoterapeutką. A ja myślałem, że lekarze duszy nie mają w Polsce czasu na smutek, są przecież potrzebni jak chirurdzy podczas wojny. G. zajmuje się młodzieżą. I nie ma już sił. Mówi, że

\* *Wzwanie* nr 8, marzec 1985.

u źródeł niemal wszystkich problemów jej pacjentów jest brak przyszłości, mieszkań, pieniędzy, autorytetów... itd.

— I co ja mam im mówić, przecież ja czuję to samo co oni — narzeka.

Kiedy rozglądam się wokół, widzę, że rozsypują się ludzie. Ale człowiek, w przeciwieństwie do rozpadającego się domu, ma to do siebie, że w ruinie człowieka nadal mieszka człowiek. Uparcie i do końca.

Pewien ksiądz w poznańskim kościele powiedział do wiernych z ambony: — Do diabła należy mówić w jego ojczystym języku: poszół won!!!

Zgadzam się w pełni z poznańskim księdzem, gdy chodzi o geograficzną lokalizację pobytu diabła, nie wierzę tylko w skuteczność okrzyku.

Rewizje stały się równie trwałą i nieuchronnym elementem naszego codziennego życia jak kradzieże i wypadki samochodowe. Warszawskie rewizje nie są brutalne, na ogół funkcjonariusze zachowują się poprawnie. Gospodarze „gwałconych” mieszkań twierdzą nawet, że „goście” robią wrażenie zmęczonych i nie dbałych jak przed Sierpniem. Regułą jest, że nie zabierają książek wydanych przed 13 grudnia. Jeżeli jest kilka egzemplarzy tego samego tytułu, zwykle brany jest tylko jeden, a reszta zostaje dyskretnie odłożona na półkę.

Na prowincji wygląda to gorzej. Kolega, który przyjechał ze Śląska opowiada, że tam zabierają także książki wydane przed 13 grudnia.

W eleganckim hotelu spotkanie z eleganckim przybyszem ze Stanów Zjednoczonych. Przybysz jest artystą, my też artyści. On opowiada o swoich wrażeniach:

— Widzę, że nie połamano wam kręgosłupów, bo jest w was wielka dusza.

A my milczymy, czekając aż kelner poda w końcu na srebrnych tacach pachnące steki i reńskie wino rozchwybotane w kieliszkach. Nasza wielka dusza potrzebuje bowiem tamtego lepszego świata. Chwilami czuję, że nasza wielkość jest nie dla nas samych, tylko dla świata. „Niechaj nas przecie widzą — gdy konamy!” (J. Słowacki).

Kocham ten kraj i nienawidzę go. Chcę tu żyć i jak najszybciej stąd wyjechać, na zawsze, na chwilę. Miliony rodaków myśli podobnie jak ja, to znaczy szarpia się i wykonują ten nasz narodowy taniec miłości i nienawiści jak po ukąszeniu tarantuli. W takim kraju właściwie każdy powinien być artystą i robić ze swojego „rozdarcia” temat. Ale sztuką zajmuje się niewielu. Dlatego tak niezbędna do życia jest wódka.

W 40-lecie PRL zagrały fanfary i rozwiązał się worek z prze-

różnymi kolorowymi odznaczeniami. Otrzymują je nie tylko za służeni, ale również obojętni. „Kto nie jest przeciwko nam, ten jest z nami” — powiedział kiedyś Rakowski, małpując — jeśli się nie mylę — Kadara. Otwarto w ten sposób nową epokę zmierzchu ideologii. Nic więc dziwnego, że wśród odznaczonych, obok tuzów porozumienia narodowego jak Sandauer i S. R. Dobrowski znalazł się niewielki wzrostem Różewicz. Można by zapytać: co ty tam robisz w tym towarzystwie, wybitny poeto, moralisto?

Ordery otrzymują również fabryki i miasta, np. Lublin. Ostatnio zaś krzyż komandorski przyznano Muzeum Lenina w Poroninie. Podobno Lenin w ogóle nie mieszkał w Poroninie, tylko w Białym Dunajcu. To przykre nieporozumienie jest jednak utrzymywane w tajemnicy. Możliwe zresztą, że Lenina w ogóle nie było na świecie, że wymyślił go ktoś złośliwy i rozgorączony.

To nie lada wyczyn dla kobiety ukończyć 80 lat i zostać... wstyd powiedzieć kim. Udała się ta sztuka Halinie Auderskiej. Podczas okupacji prezeska „fałszywego” (kradzież nazwy!) Związku Literatów Polskich była w AK i zachowywała się dzielnie. — No cóż, ciężko jest przeżyć godnie aż dwie okupacje — powiedział o niej pewien stary żołnierz, któremu się to jednak udało. Książki Auderskiej są obecnie szeroko reklamowane. Nic to im jednak nie pomoże. Nie wejdą ubeckimi drzwiami do historii literatury. Już większe szanse mają na to drzwi jej mieszkania na Kopernika. Te drzwi ktoś nieprzychylny obsmarował podejrzaną substancją (jaką — dokładnie nie wiadomo, chociaż można się spodziewać najgorszego). Auderska zażądała ochrony. Na klatce schodowej zamontowano kamerę telewizyjną i reflektor. Zaś na półpiętrze śpią tajniacy. No cóż, można tylko życzyć tym panom miłych snów.

Afganistan nadal walczy. Dzielni górale od tylu lat opierają się armiom Imperium. (Pomyślmy z bólem również o tych żołnierzach Imperium). Wiadomość w Głosie Ameryki, że „z Afganistanu wywieziono 1.000 małych dzieci do ZSSR, gdzie przebywać będą przez wiele lat. Dzieci żegnali płaczący rodzice i żona namiestnika Babraka Karmala”. Afganistan — wrzód na sumieniu zachodniego świata. Szkoda tylko, że te wrzody umiejscawiają się gdzieś na plecach, a nie w miejscu, na którym się siada.

Co z cenzurą? Najważniejsza wiadomość — nadal nie ma czarnych list. I nawet autorzy drukujący uporczywie poza cenzurą wydawani są w państwowych wydawnictwach. Ten brak czarnych list jest czymś niezwykłym, niezwykła jest trwałość tego zjawiska. Przecież dzieje się to wbrew prawom systemu. I tylko nieśmiało czyniona jest próba przerwania obowiązków kontroli na redaktorów. Ci biedacy są na ogół zupełnie zdezorientowani. Odważni puszczają więc wszystkie nazwiska, zaś ostrożni uciekają przed własnym cieniem.

Kiedyś było zupełnie oczywiste, że za pewne grzechy będzie wiadoma pokuta. Teraz zdarza się, że bardziej podpadnięci dostają paszporty łatwiej niż podpadnięci średnio.

Coraz większa jest grupa pisarzy drukujących poza cenzurą pod własnym nazwiskiem. Ale jednocześnie pomału zacierają się granice — wyraźne w stanie wojennym — pomiędzy tym, co można nazwać kolaboracją, zdradą, godzeniem się z przemocą — a zwykłą koniecznością życia tutaj. Boję się, że w miarę upływu czasu znacznie się powiększą przepaść pomiędzy tymi, którzy otwarcie podejmują walkę z kłamstwem, a ludźmi, którzy chcą tu żyć w miarę możliwości przyzwyczajając się do własnej skóry. Ta szczelina, którą może zbyt śmiało nazwałem przepaścią, zapełniać się będzie materiałem gnilnym. Dojdzie wtedy do ostrych starć i zaburzeń w kontaktach pomiędzy ludźmi myślącymi przecież podobnie, ale którym predyspozycje psychiczne lub po prostu przypadek wyznaczyły różne drogi. Widzę już takie zjawisko w środowisku literackim, gdzie radykalni zaczynają mieć pretensje do tych co drukują pod pseudonimem. Żeby ocalić w sobie światło, trzeba wymagać od siebie więcej niż od innych. Ale nie wolno robić z tego światła triumfalnej pochodni.

Według ostatnich — pewnie niezbyt dokładnych i optymistycznych — obliczeń ponad 44% dawnej Komisji Krajowej „Solidarności” wyemigrowało z Polski. I jak wyglądałaby dzisiaj sala gdańskiej Olivii, gdyby odbyła się trzecia tura Zjazdu „Solidarności”? Czy patrząc wtedy na tę kipiącą życiem salę, pełną sporów i werwy, gdzie zebrali się prawdziwi, a nie mianowani przedstawiciele narodu, przypuszczałem, że wkrótce prawie wszyscy zamienią się w duchy, które snuć się będą po Polach Elizejskich Paryża i innych miast już nie „naszego” świata? Nie wiedziałem tego, ale patrząc na tę salę czułem ucisk w okolicy serca, bo jako zawodowy pesymista czułem, że to musi się źle skończyć. Nie potrafiłem, nie chciałem sobie tego wyobrazić. I tylko czasem w nagłym błysku widziałem oczami wyobraźni szczury i karaluchy, które wypełzną z ukrytych szczelin. Nie myślałem o naszej własnej słabości.

Po przegranych powstaniach uciekali Polacy z kraju, by ratować głowy. Dzisiaj wyjeżdżają, by wygodniej żyć. Nie potrafie mieć o to pretensji, czuję tylko smutek.

Pewien ksiądz zwierza mi się, że ma coraz większe kłopoty z wiernymi z powodu Prymasa. Opowiada:

— Przychodzi kobiecina do spowiedzi i szeptem mi w ucho: „Klnę proszę księdza na Jaruzelskiego, na naszą władzę i na tego naszego Glempa też klnę, proszę księdza”. A ja na to każe babie trzy razy „Zdrowaś Mario” odmówić za pokutę. A przecież myślę tak samo jak ona. Przychodzą poza tym po Mszy baby i mówią: „Cóż ten nasz Prymas wyrabia!”. A ja krzyczę: Baby, diabeł w was wszedł! Modlić się, a nie myśleć źle o Prymasie! A przecież myślę jak one. Co za rozdarcie! — skarży się ksiądz.

Mówi się o strukturach poziomych wyrastających w Kościele. Wygląda to na dowcip, ale niejedyn dowcip w ostatnich latach stał się faktem, a wtedy jakoś trudno było o śmiech.

R. jest asystentem na polonistyce. Wykrzykuje:

— Boże, co za pustynia na tej mojej polonistyce. A na tej pustyni jak smutny i brzydki kaktus stoi Sandauer.

Potem R. skarży się cicho i spokojnie na studentów. Skargi prowadzących zajęcia na swoich uczniach są również stare jak wyższe uczelnie, ale w skargach obecnych jest nowy, ciekawy element. Otóż podobno studenci polonistyki czytają obecnie niemal wyłącznie książki wychodzące poza cenzurą. Można by się z tego nawet cieszyć, ale męczy mnie myśl, że źródła podziemne, chociaż czyste, bywają dosyć „ubogie” w składniki.

Wracając do Sandauera. Zadebiutował ostatnio w „Nowych Drogach”. Idzie tą swoją nową drogą pod rękę z Putramentem i podpierają się nawzajem, starzy i chorzy obaj.

Od tygodni wszystkie rozmowy zamieniają się w spekulacje na temat zabójstwa księdza Popiełuszki. Plotki tworzą przedziwne sploty, gdzie możliwe jest wszystko, co źle świadczy o władzy. Teorie umiarkowane tworzą tylko intelektualiści. Lud myśli prosto. Zabili go oni: Urban, Rakowski, Generał. A przed śmiercią długo męczyli.

Narodowy piec pod kościołem. Upał od świec i zniczy bije pod niebo. Czerwienią się sztandary Solidarności, wzruszają plakaty z pozdrowieniami od Węgrów. Na pogrzebie jest pół miliona ludzi. A opustoszałe miasto wzdęte od ukrytych przed okiem przechodnia szwadronów milicji, wozów opancerzonych, armatek wodnych. Strach władzy ludowej przed ludem staje się dotykalny.

A tu tylko modlitwa, wzniesione do góry ręce i okrzyk „Solidarności”. Gdybyż krzykiem można obalić mury.

A więc znów spotkaliśmy się wszyscy, jak podczas sierpniowego strajku. Są w tym tłumie również zabiści górnicy, zamordowani podczas demonstracji ulicznych, zakatowani na komendach. Słychać też zbiorowy oddech tych, którzy z Polski wyjechali.

Czy naprawdę będziemy się spotykać już tylko pod skrzydłami śmierci?

Tragedia księdza Popiełuszki obnażyła nie tylko zbrodnię, ale również sumę niekompetencji naszej strony. Prymas zachowuje się jak prowincjonalny proboszcz, który przyjechał do dużego miasta i nie może odnaleźć kościoła. Lech Wałęsa też skorzystał z okazji, żeby nagadać głupstw. Mówił o możliwości porozumienia narodowego. Zaś Walentynowicz i Gwiazda nawołują do strajku. W wolną sobotę! Warszawskie podziemie ma swoje pomysły. Bodajże minutę ciszy w południe. Czy naprawdę otoczeni jesteśmy narodowymi sztandarami, za którymi nie ma myśli? A może po prostu w naszej historii, jak zwykle od 200 lat cokolwiek się zrobi — jest błędem?

Toniemy. W tych dniach setki pasażerów „Batorego” i promu „Rogalin” ratowało się ucieczką na zachodni brzeg. Smutną ironią historii jest, że to brzeg niemiecki. Od grudniowych dni roku 1981 nie było jeszcze tak masowych ucieczek. Woda podchodzi do ust. Kiedy budzę się rano, wypływam ją w nadziei, że wcieluję w oko Imperium.

Grudzień 1984

Witold CHARŁAMP

## POLONIA

- 13 miesięcy i 13 dni „Gazety Krakowskiej”. — ISBN 0 902352 36 9. 80 str. Cena: £ 3.75.
- Nowo-mowa. Materiały z sesji naukowej poświęconej problemom współczesnego języka polskiego. — ISBN 0 902352 37 7. 192 str. Cena: £ 5.25.
- Tadeusz Nyczek: *Powiedz tylko słowo*. Szkice literackie wokół „pokolenia 68”. — ISBN 0 902352 38 5. 150 str. Cena: £ 6.00.
- Leopold Tyrmand: *Dziennik 1954*. — ISBN 0 902352 15 6. 378 str. Cena: £ 8.50.
- Jaśta wczoraj i dziś. Wybór publicystyki 1944-1985. — ISBN 0 902352 46 6. 232 str. Cena: £ 6.00.
- Jan Prokop: *Szczególna przygoda życia nad Wisłą*. Szkice i studia literackie. — ISBN 0 902352 44 X. 176 str. Cena: £ 6.00.
- Włodzimierz Wojnowicz: *Życie i niezwykle przygody żołnierza Iwana Czorkina*. — ISBN 0 902352 43 1. 168 str. Cena: £ 5.00.
- Michał Heller i Aleksander Niekricz: *Utopia u władzy*. Historia Związku Sowieckiego (tom I). — ISBN 0 902352 30 7. 304 str. Cena: £ 6.50.
- Jakub Karpiński: *Polska, komunizm, opozycja*. Słownik. — ISBN 0 902352 45 8. 352 str. Cena: £ 9.00.
- „Niepodległość”. Wybór z pierwszych 28 numerów. — ISBN 0 902352 35 2. 232 str. Cena: £ 6.0.
- Aleksander Wat: *Świat na haku i pod kluczem*. Eseje polityczne. (Pisma wybrane — tom I). — ISBN 0 902352 47 4. 256 str. Cena: £ 7.50.

POLONIA BOOK FUND

8 Queen Anne's Gardens, London W4 1TU

## Uciezka

(Fragment powieści)

Przeczuwał — że to tylko sen. Lecz wszystko jest snem, więc to był sen we śnie, z którego można przejść jedynie do innej przestrzeni snu.

Na placu przed cechownią stała karetka pogotowia. Sanitariusz wsunął go na noszach do środka i jeden z nich usiadł za kierownicą, a drugi z tyłu, na krzeselku obok niego. Lekarz odwrócił się do niego twarzą.

— Dobrze zrobione — powiedziała. — Wiedziałem, że pan będzie się nadawał do tej pracy.

Ryszard spostrzegł, że to nie lekarz, lecz przebrany w biały kitel pułkownik, zastępca komendanta. Nie wiedział, na czym polegało zadanie, które właśnie wykonał, wiedział tylko, że było to podłe i niewybaczalne, ale wbrew woli poczuł coś w rodzaju zadowolenia... Zauważył teraz dopiero, że sanitariusze też mają milicyjne mundury pod białymi fartuchami.

— Do komendy — powiedział pułkownik.

I nagle Ryszard zaczął się dusić. Nie potrafił złapać powietrza i to już nie był sen, lecz rzeczywistość. Rzeczywistość śmierci. Zaczął krzyczeć, lecz nikt go nie słyszał, bo jego krzyk uwiązł w gardle...

Zbudził się mokry od potu i przez dłuższą chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Metalowe łóżko, szafa majacząca w kącie, kwadratowy stół pod oknem, za którym świeciła uliczna latarnia. Uzmysłował sobie, że jest w hotelowej izolatce, urządzonej na wypadek, gdyby któryś z mieszkańców dostał zakaźnej choroby, a zabrakłoby miejsc w szpitalach. Izolatka była wykorzystywana jako pokój gościnny. Ryszard posiadał klucz od tego pomieszcze-

nia i zdarzyło mu się tu już raz nocować, kiedy wrócili z przeglądu zespołów teatralnych z Wodzisławia o pierwszej w nocy i nie chciało mu się już jechać do domu.

Nie zastanawiał się nawet, jak się tu znalazł. Czy przyszedł sam, czy ktoś go przyprowadził... Chyba przyszedł sam. Zazwyczaj, gdy urywał mu się film, zachowywał się prawie zupełnie normalnie, tylko później kompletnie nic nie pamiętał. Ci, którzy widzieli go w tym stanie, nie chcieli wierzyć, że ma dziurę w pamięci.

Obudził się więc w izolatce domu górnik i suszyło go, jakby zjadł torebkę soli. Podniósł się ostrożnie, żeby nie zakreśliło mu się w głowie, usiadł na łóżku i, spuszczać nogi na podłogę, omal nie przewrócił butelki. Podniósł ją i chwiejnym krokiem podszedł do wyłącznika, a kiedy go nacisnął, światło boleśnie uderzyło go po oczach. Długo nie potrafił ich otworzyć.

Później, kiedy nareszcie przyzwyczał się do światła, stwierdził, że butelka zawiera „starowin”. Skąd taka wódka? Normalnie pił czystą albo żytnią.

Spojrzał na zegarek: było dopiero wpół do dwunastej... Koło łóżka stały dwie szklanki: jedna z wodą i druga z wódką. Pokiwał głową z podziwem dla swego daru przewidywania w stanie głębokiej nieświadomości. Podniósł szklankę z wódką, powąchał i poczuł, że robi mu się niedobrze. Musiał się wziąć na sposób: napił się wody i popił ją alkoholem. Przeszło gładko.

Sięgnął po marynarke, leżącą na podłodze. Wyjmując papiery, wyczuł zwitek pieniędzy. Przeliczył je. Miał jeszcze trzy i pół tysiąca złotych. Nie było więc tak źle.

Był jeszcze roztrzęsiony i nie miał pewności, czy stan ten został wywołany przez wódkę, czy przez ten idiotyczny sen, który go obudził. Pomyślał, że jest z nim niedobrze, jeśli nawet we śnie nie potrafi zapomnieć o gnębiącej go sprawie, która wisi jak topór nad jego głową. Ręce trzęsły mu się tak, że miał trudności z zapaleniem papierosa. Znow złamał kilka zapalek, zanim dokonał tej sztuki.

Wypalił papierosa do połowy i doszedł do wniosku, że czas na następną dawkę. Usiadł i sięgnął po wódkę. Wypił mniej więcej setkę na dwa razy.

Wciąż miał przed oczyma obrazy z kopalni, z baru „Elektryk”, który od dawna nie istniał, widział jakąś Cyganke, drukowanie „Wronowiska”... Nie był pewny, co było snem, a co zdarzyło się naprawdę. W którym miejscu jego wspomnień przebiegała granica. To było podobne uczucie jak wtedy, gdy śniło mu się, że zabił człowieka. Przez tydzień próbował wówczas zrekonstruować przebieg wydarzeń, zanim zdobył pewność, że to był tylko sen. Kiedy się budził po urwaniu filmu, nie mógł przecież wie-

dzieć, co było rzeczywiste, a co należało tylko do sfery zakłóceń elektryczno-chemicznych w jego głowie. Skąd miałby to wiedzieć?... Czy zresztą było to aż tak ważne, skoro wszystko było snem? Tylko głupim, koszmarnym, śmieszniejszym, tragicznym snem.

...Pamiętał na przykład wciąż taki koszmarny, którego akcja działa się częściowo właśnie tu, w izolatce. To było tak: przyjechał do pracy po dziewiątej, bo tramwaje mimo „zmilitaryzowania” komunikacji miały spóźnienia. Kiedy stał na przystanku koło „Stylowej”, a trwało to niesamowicie długo na tym mrozie, który nie był jednak zdrowym mrozem, trzaskającym z bicza pod wtór góralskich dzwonek, lecz mrozem podstępny, ścinającym krew w żyłach i łamiącym kości; więc kiedy tam stał, przejechały dwie kolumny czołgów i co najmniej dwadzieścia innych pojazdów milicyjnych i wojskowych, a ponadto przeszły trzy sześciuosobowe patrole po trzech milicjantów z psami i trzech żołnierzy z bronią na piersiach, gotową do strzału. Czekający na tramwaj wstrzymywali oddech, widać było, że najchętniej wtopiliby się w mur, albo zapadli pod ziemię. Ryszard czuł się tak samo. Gdyby mógł, gdyby nie groziło to karą śmierci za dezercję ze stanowiska pracy, jak ogłoszono w niedzielę, to wróciłby do domu, byle na to nie patrzeć.

To był dopiero trzeci dzień wojny. W niedzielę dowiedział się o internowaniu teścia, wczoraj był w Urzędzie Miejskim u wiceprezydenta Burzyńskiego, który powiedział mu, że niestety nie udało mu się uzyskać żadnych informacji na temat jego miejsca pobytu. Mrugnął przy tym, jakby wiedział, lecz bał się mówić. A potem zaczął wygłaszać przemówienie, jakby stały przed nim mikrofony radia Moskwa albo Erewań: „Jasiu sam sobie jest winny, ale jeśli zrozumie swoje błędy i podpisze, że wyrzeka się antypolskiej i antysocjalistycznej działalności, to będzie mógł wrócić do normalnego życia”. A wieczorem przyszła żona Burzyńskiego i powiedziała Magdalenie, że jej ojciec był przez jeden dzień w obozie na Zaborzu, ale został wywieziony do jakiegoś wojskowego ośrodka wypoczynkowego, lecz nie wiadomo jeszcze dokładnie gdzie; że nic mu nie grozi i żeby być dobrej myśli. „Ale proszę nikomu nie mówić, że wie to pani od nas. Mój mąż...” powiedziała i powtórzyła: „Bardzo o to proszę”.

Tego samego dnia rano, zanim Ryszard pojechał do Burzyńskiego, coś się u kopalni działo. Podobno ktoś strajkował, ale informacje były sprzeczne. Raz miał to być strajk w warsztacie mechanicznym na powierzchni, drugi raz — w oddziałach wydobywczych. Podobno milicja zaatakowała strajkujących. Podobno było kilkanaście trupów, kilka trupów, tylko jeden zabity, potem — że na szczęście nikt nie zginął, lecz było kilkunastu rannych po obu stronach, wreszcie — że nie było żadnego strajku i milicja zablokowała wszystkie dojścia do zakładu wyłącznie w ce-

lach profilaktycznych. Nieco później ktoś powiedział, że jednak strajkują, że cała dzienna zmiana została pod ziemią, i wreszcie — że nic się nie dzieje oprócz tego, że ludzie klną, jak szewcy...

Wieczorem Ryszard próbował złapać Wolną Europę, ale niczego nie było słycać przez warkot zagłuszonek. Nawet BBC i Głos Ameryki zagłuszali, choć nie robili tego już od dobrych kilku lat. Obowiązywała pełna blokada informacyjna.

Magdalena, milcząc ponuro, siedziała na złożonej wersalce. Przedtem płakała i jeszcze teraz miała zaczerwienione oczy. Ryszard chodził z kąta w kąt i palił kartkowe papierosy, odpalając jednego od drugiego. Na szczęście jego rodzice nie palili, więc on i Magdalena dostawali ich przydział...

(To było wręcz niesamowite, ale świadomość tych wszystkich drobnych szczegółów istniała w jego śnie dokładnie i w sposób wyczerpujący).

A we wtorek rano po nocy, przedrzemanej byle jak, po odprowadzeniu Iwonki do przedszkola i po długim czekaniu na mrozie na tramwaj, zaczął się koszmar... Nie, to zaczęło się jeszcze później. Właściwie cały ten sen, od przebudzenia w niedzielę, kiedy Magdalena potrząsała go za ramię, bo coś się chyba stało — na ulicy pojawiły się czołgi — był koszmarny, lecz groza podnosiła się, jak lawa w wulkanie tuż przed wybuchem.

Przyjechał do pracy, lecz co można było robić w tej sytuacji? Wypożyczać książki? Zrobić próbę zespołu teatralnego? Zorganizować czyn społeczny? Wczoraj wszyscy biegali podnieceni, dzieląc się ułamkami zasłyszanych gdzieś informacji i pogłosek. Dzisiaj snuli się po hotelu, jak marcowe muchy — bez energii i bez chęci do życia.

Świata siedział w swoim pokoju i podobno z nikim nie chciał rozmawiać. Mimo to Ryszard poszedł do niego.

— Daj mi pan spokój — powiedział szef, widząc go w drzwiach. — Idź pan do siebie czytać coś albo dłużyć w nosie!

— Co w kopalni? — spytał Ryszard.

— Nic nie wiem — powiedział Świata. — Niech pan nawet nie pyta, bo i tak nie powiem ani słowa. Nie wiem, słyszy pan? Nie wiem i już.

— Co z tym strajkiem? — Ryszard nie dawał za wygraną. — Jest, albo go nie ma?... Wczoraj był może?

— Nic nie wiem — powtórzył Świata. — Nic nie wiem i nie chcę wiedzieć. Wypieprzaj pan!

Ryszard poszedł nieco obrażony. Usiadł w swoim pokoju i nic nie robił przez cały dzień. Nie można było nic robić, można było tylko czekać nie wiadomo na co. Na przebudzenie?

O czwartej usłyszał jakiś ruch na dworze. Przed domem górnik zatrzymały się trzy budy, z których wysypała się chyba

setka zomowców. Świata wybiegł na zewnątrz i mówił coś, gestykulując gwałtownie. Ryszard uchylił okno.

— ... ostatecznie jestem odpowiedzialny i nie widzę powodu, żeby się ktoś pakował na moje podwórko! Jeżeli chcecie — proszę bardzo: nakaz na piśmie! Jeżeli nie, to do widzenia! Zaraz połączę się z komendantem!

Poruczniczyna, którego zaatakował Świata, nie bardzo wiedział jak się zachować. Nagle, jakby spod ziemi wyrósł, zjawił się jakiś pułkownik.

— Baczość! — warknął, lecz Świata wzruszył ramionami.

— Co to ma znaczyć!? — wrzeszczał pułkownik. — Od kiedy to ORMO przeszkadza nam w wykonywaniu zadań?

— Ja właśnie chciałem powiedzieć... — zaczął Świata, nadal tym samym agresywnym tonem, ale urwał nagle, jakby teraz dopiero dotarło do niego, że porwał się na zbyt wysoką szarżę.

— Zjeżdżaj! — powiedział pułkownik przez zęby i Świata odruchowo zsalutował i wykonał zwrot w tył, przez prawe ramię zresztą, po czym, przygarbiony nagle i postarzały o dziesięć lat, wszedł do budynku. Po chwili otworzył drzwi do pokoju Ryszarda.

— Chodź do mnie — powiedział i dodał, jakby do siebie. — Cholera, co tu się będzie działo!

Siedzieli w pokoju szefa. Świata był jeszcze blejszy i jeszcze bardziej wściekły niż wtedy, gdy jego córka uciekła z jakimś narkomanem. Później był w podobnym stanie tylko wówczas, gdy sekretarz Kwieciński został zadraśnięty przez psa.

Było cicho. W tej części hotelu zawsze było cicho, o ile ormowcy nie hałasowali w swojej świetlicy. Było więc cicho, lecz cisza ta była przerażająca. Ryszard nie potrafił sobie wyobrazić, co tamci robią, czego lub kogo szukają, czy w ogóle jeszcze znajdują się w domu górnik... Lecz byli. Świadczyły o tym budy, stojące przed wejściem.

„Co on sobie wyobraża?“, myślał Ryszard, patrząc na szefa, wykręcającego sobie palce. „Dlaczego tam nie idzie?“

A Świata siedział, jak na szpilkach, lecz siedział. Nie ruszył się z miejsca. Wykręcał sobie palce, aż strzelały, zapalał papierosa, gasił go, znów zapalał, oblizywał spieczone wargi.

— Mojego teścia internowali — powiedział Ryszard.

— Tak? To dobrze — powiedział Świata i zaraz zapytał: — Co pan mówił? Nie dosłyszałem.

— Nic — mruknął Ryszard. — Nieważne.

Trwało to wszystko niesamowicie długo. Ryszard wstał i uchylił drzwi na korytarz. Z daleka, chyba z pierwszej albo z drugiej klatki schodowej słychać było jakieś wrzaski.

— Do diabła — powiedział Ryszard — należałoby chyba wezwać milicję.



Świtała zaśmiała się krótko, ale jego oczy pozostały poważne.

— Banda! — powiedział. — Banda!

Ryszard czuł się, jak przekłuty balon.

— Co, zagramy w szachy? — zapytał; zabrzmiało to agresywnie, jak zgrzyt żelaza po szkle.

— Kurwa, nie wytrzymam! — powiedział Świtała. — Będą mi się tu rządzić!

Wstał, zaczerpnął powietrza, jakby miał za chwilę nurkować, i ruszył do drzwi.

— Siedz pan tu! — powiedział. — Najlepiej zamknij się pan na klucz. Albo lepiej nie, bo wywalą drzwi.

Poszedł w stronę portierni. Ryszard usiadł za jego biurkiem i zapalił papierosa. Dym był ciężki i duszący, jak z milicyjnego koksiaka — z odrzuconej ofiary Kaina... Widział przedtem twarze zomowców, wysiadających z aut. Wszyscy byli pijani. Jeśli któryś z mieszkańców zachowa się inaczej, niż oni sobie wyobrażają, to... I co, do diabła, stało się w kopalni, jeśli napadli na hotel? „W tym domu są gwałciciele i podpalacze”, pomyślał. „Dlaczego wszyscy zachowujemy się, jak Biedermann?”

Nagle drzwi otworzyły się i wszedł pułkownik. Ten sam, który zmieszał z błotem Świtałę, a może inny. Wszyscy oni wyglądali tak samo.

— Gdzie kierownik? — spytał.

— Jeśli dobrze wiem — powiedział Ryszard, podnosząc się odruchowo — to szuka właśnie pana.

Pułkownik zmełł w ustach przekleństwo i wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami. Ryszard ponownie uchylił je i wtedy usłyszał piekielne wrzaski gdzieś blisko, chyba w tej samej klatce. Krzyczeli niesamowicie, zdierali gardła do chrypki, jak filmowi SS-mani ze służb obozowych. Ryszard nigdy nie wierzył, że to może być prawda, że człowiek może się tak zachowywać. A teraz słyszał ryczących zomowców i wiedział już, że to możliwe.

Stał obok drzwi, jakby nogi wrosły mu do podłogi, i czuł, że tętno pulsuje mu w skroniach. Zdawało mu się, że każde uderzenie serca wstrząsa nim całym, a równocześnie dygotał w innym, jeszcze szybszym rytmie napiętych ze strachu mięśni... Oni byli już w tej klatce i niedługo zejda na dół! Upadną tutaj! Tylko się nie denerwować! Zwierzę atakuje tylko wtedy, jeśli widzi, że się go boisz...

Wreszcie zamknął drzwi, lecz te wrzaski nadal było słychać. Zrobił dwa kroki w stronę biurka, i w tej chwili usłyszał brzęk rozbitej szwy. Dźwięk ten dobiegł równocześnie z dwóch stron — od klatki schodowej i od uchylonego okna, a potem, po sekundzie lub nawet po niecałej sekundzie, ujrzał przez okno spadającego człowieka, który leciał, jak worek. To trwało tak długo, jak film puszczony w bardzo zwolnionym tempie, kiedy można

już dostrzec, że składa się z pojedynczych obrazów, i Ryszard ze zdziwieniem zdążył pomyśleć, że to, co uważał za chwyt literacki — że ważne zdarzenia rozgrywają się w czasie rozciągniętym — jest prawdą. Widział oczy tego człowieka i ręce wyciągnięte do ziemi, jakby w ostatniej próbie odepchnięcia jej, a potem usłyszał głucho stęknienie, tak, jakby istotnie spadł worek kartofli. Podbiegł do okna. Tamten leżał na śniegu, przykrywającym trawnik, jak łachman. Nie ruszał się, a śnieg w okolicach jego otwartych ust zaczął barwić się na czerwono...

Zanim Ryszard zdążył podbiec do drzwi, usłyszał w klatce schodowej łomot ciężkich butów. Biegli, skacząc po kilka stopni. Więc usiadł przy biurku, a potem znów wstał i podszedł do okna. Zomowcy podnieśli leżącego i ruszyli z nim w stronę wejścia do hotelu, trzymając go pod pachami i za nogi tak, że gdyby odniósł uraz kręgosłupa, to to niesienie musiałyby go wykończyć. A kiedy wychylił się, zobaczył Świtałę i pułkownika, biegnących w stronę zomowców...

Wnieśli go do izolatki. Nie żył już, kiedy zbiegli do niego na dół. Pułkownik usiadł przy biurku Świtały i pisał protokół.

— To może ja pójde do siebie — zaproponował Ryszard.

— Zostańcie! — rozkazał pułkownik.

„Podczas zarządzanego przeszukania w DG nr 3 funkcjonariusze Ireneusz K. i Zdzisław N. zażądali otwarcia pokoju, w którym przebywał niezameldowany w hotelu ekstremista 'Solidarności' Stefan R... ('też Stefan', pomyślał Ryszard. 'Tak, jak brat dziadka'). Wyżej wymieniony odmówił otwarcia drzwi, a kiedy wyżej wymienieni funkcjonariusze próbowali sforsować drzwi przy użyciu siły, rzucił się przez okno z wysokości drugiego piętra, wskutek czego zmarł na miejscu. Świadcami zdarzenia byli...”

— Jak wasze nazwisko? — spytał pułkownik.

— Moje? — zapytał Ryszard. — Ale ja nic nie widziałem.

Ja byłem na dole.

— Nazwisko!

— Szyma. Ryszard Szyma. Instruktor kulturalno-oświatowy.

— Podpiszcie tu.

— Ale ja naprawdę nic...

— Podpiszecie?

To był sen, który powtarzał się najczęściej. Zawsze podpisywał. We śnie tak samo, jak wtedy, gdy zdarzyło się to naprawdę... A może tylko — przyśniło mu się po raz pierwszy?... Brał do ręki długopis i pisał „Ryszard Szyma” wiedząc, że w ten sposób zatwierdza wyrok na siebie.

Dzisiejszy sen o kopalni był odmianą tamtego snu, bo w snach wszystko wiąże się z sobą, wynika jedno z drugiego tak samo, jak w rzeczywistości, a może nawet lepiej.

Zanim wyrzucił niedopałek, wiedział już, że wraca do normy. Zawroty głowy minęły, serce biło mu mocno i szybko, ale nie waliło już, jakby chciało wyskoczyć z piersi, ustało drętwienie dłoni i stóp. Mógł zaczynać od nowa. Splunął na podłogę, jakby chciał w ten — magiczny — sposób pozbyć się niewygodnych myśli i chwilowo poskutkowało.

Włożył marynarkę, włożył w rozczłapane buty i wyszedł z izolatki, zatrzaszkując za sobą drzwi. Zaniósł resztę wódki do swojego pokoju i schował butelkę za segregatorami z wynikami współzawodnictwa.

Stanisław BIENIASZ

## O AUTORZE

Stanisław Bieniasz w latach siedemdziesiątych napisał w kraju kilka sztuk teatralnych, z których trzy albo cztery przeszły udaną próbę sceny; w latach osiemdziesiątych, już na emigracji, przedstawił się na prozę. Wyborem z wielu — z dużym nerwem dramatycznym napisanych opowiadań, rozrzuconych na łamach różnych emigracyjnych czasopism był wydany przed dwoma laty w Londynie zbiór pod tytułem „Ostry dyżur”. Jego powieść, powstała niedawno, trzeba uznać za następny konsekwentny krok w zdobywaniu nowych terenów literackich. Ale jeszcze bardziej za konsekwentną kontynuację dotychczasowych wątków wpisanych w tamtą wcześniejszą twórczość dla sceny i nieco późniejszą, nowelistyczną. Dwa z nich, najważniejsze, to wątek śląski i wątek alkoholizmu. Najczęściej zresztą sprzężone z sobą, bo akcja większości utworów Bieniasza rozgrywa się na linii Sosnowiec, Katowice, Gliwice, Bytom, postacią zaś spotkaną niemal w każdym z nich, jeżeli już nie w planie pierwszym, to w każdym razie w tle — jest przedstawiciel tak zwanej „Polski pijanej”, staczający się na dno lub z tego dna usiłujący się podźwignąć.

Z tejsze materii zbudowana jest powieść „Ucieczka”. Rozgrywa się na terenie, przez który w dwudziestoleciu międzywojennym biegła granica polsko-niemiecka i występujące w niej postacie urodziły się i żyły już to po jednej, już to po drugiej stronie. Często zresztą poszczególni członkowie jednej rodziny mieszkali po obu stronach i tak samo często ta inna granica, nie geograficzna, ale opcji narodowościowej, wdzierają się do wnętrza rodzin. Tak więc dość często mają polskie nazwiska i niemieckie imiona, albo odwrotnie, i równie często skomplikowane życiorysy, podobnie jak skomplikowane były dzieje tej ziemi. Uczestnictwo w powstaniach śląskich i służba dwadzieścia lat później w Wehrmachcie, czy też służba w tymże Wehrmachcie i takie czy inne uczestnictwo w polskim ruchu oporu należą często do życiorysu tego samego człowieka. A po wojnie, po wszystkim tym co się przetoczyło przez ich ziemię i przez nich, przez ich rodzi-

ny, najczęściej czują się przede wszystkim Ślązakami, tę swoją „śląskość” traktując niemal jak narodowość, i równą niechęcią darzą Niemców, jak Polaków z innych dzielnic Polski, pamiętając długie lata traktowania jako obywateli drugiej kategorii.

Ale też ta powieść „śląska” jest równocześnie klinicznym studium staczania się człowieka pod wpływem alkoholu, auto-degradacji człowieka, społecznego unicestwiania, wyniszczania duchowego i fizycznego. Jest analizą tych stanów, w których kieliszek wódki lub kufel piwa staje się dla człowieka środkiem pomocniczym w przewycięzaniu codziennych trudności, łagodzącym ostrość kantów otaczającej go rzeczywistości, ułatwiającym przystosowanie się do niej. Jest to powieść o człowieku, który — jak zwykle się potocznie w kraju nazywać — „poszedł w kurs”, albo „ma trzydniówkę”.

Bohater „Ucieczki” Bieniasza ma właśnie swą „trzydniówkę” i ucieka. Od obowiązków rodzinnych, społecznych, zawodowych, od możliwości zmiany swej sytuacji na lepsze i od możliwości zmiany na gorsze, od kolaboracji i od zdeklarowania się po stronie opozycji, przede wszystkim jednak od samego siebie, od własnej słabości, własnej niemożności zdobycia się na czyn. „Trzydniówka” Ryszarda Szmy została przez autora ulokowana nie tylko w centrum węglowego zagłębia śląskiego i w centrum skomplikowanej problematyki tego regionu (dziś bardziej jeszcze niż dawniej), ale i w dniach od 1 do 3 maja 1982 roku. We wrześniu pierwszych większych manifestacji robotniczych, które wstrząsnęły wtedy Polską od czasu wprowadzenia stanu wojennego, w smrodzie petard gazowych unoszącym się nad ulicami, w wyciu syren samochodów milicyjnych.

Czy w związku z tym należałoby tu dodawać, że jest to także powieść polityczna? Myślę, że nie. Po prostu — dobrze osadzona w rzeczywistości, którą opisuje.

Włodzimierz ODOJEWSKI

## MINIATURY „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH”

Ze względu na wielkie zainteresowanie w Kraju wszystkie wy-czerpane numery *Zeszytów Historycznych* zostały wydane w formie zminiaturyzowanej. Są to numery: 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57, 68.

Czytelnicy którzy chcieliby te *Zeszyty* przesłać do Polski lub uzupełnić własne braki mogą zamawiać je w Administracji Kultury w cenie po F. 10,00 za *Zeszyt* plus koszty porta.

## BBC — POLISH SECTION

The BBC requires a Programme Assistant (journalist-translator) for its Polish Section in London. Applicants with perfect Polish must have: — A degree level education, a thorough knowledge of English, the ability to translate quickly and accurately, a good microphone voice, an interest in current affairs. Journalistic and/or broadcasting experience would be an advantage.

Write, giving brief c.v., within 14 days to:

Recruitment Officer Language Services,  
BBC, P.O. Box 76, Bush House, Strand,  
London WC2B 4PH, England.

Please quote reference X9315/KU and enclose an addressed envelope for reply.

### WYDAWNICTWO EDITIONS DU DIALOGUE W PARYŻU

przygotowuje specjalne, luksusowe wydanie

#### „KSIĘGI APOKALIPSY”

w tłumaczeniu z języka greckiego przez  
Czesława MIŁOSZA.

Zawierać ona będzie 16 kolorowych reprodukcji obrazów  
Jana LEBENSTEINA,  
specjalnie do tej Księgi wykonanych.

Format duży, albumowy, oprawa twarda, imitacja skóry.  
Nakład ograniczony, egzemplarze numerowane.

Termin wydania Księgi: lato 1986.

Cena egzemplarza w subskrypcji:

F. 800; \$ US 120; DM 270; £ 75.

Cena egzemplarza w sprzedaży poza subskrypcją będzie  
wyższa o 25 %.

Subskrypcję można zgłaszać do dnia 15 czerwca 1986.

Prosimy podać nam imię, nazwisko, dokładny adres.

Wpłacanie należności dopiero po otrzymaniu od nas  
imiennego listu.

EDITIONS DU DIALOGUE  
25, rue Surcouf, 75007 Paris, France.

## Archiwum polityczne

### Ona żyje mitem...

#### ROZMOWA Z WŁADYSŁAWEM BIENKOWSKIM

— *Jak Pan ocenia amerykańską, czy reaganowską politykę w stosunku do Polski?*

— Reagan i Polska to sprawa nazbyt brutalna. Nikt mi nie dowiedzie, że Amerykę, a zwłaszcza w jej reaganowskim wydaniu, cokolwiek Polska obchodziła, że cokolwiek dla niej zrobiono.

— *Proszę to udowodnić.*

— A może na odwrót. Proszę mi wykazać, że Ameryka dla tego kraju w ogóle ma coś pożytecznego do zrobienia, poza wydalaniem stąd Sowieców...

— *Chwileczkę... nie rozpędzajmy się nadto daleko.*

— Póki co, wystarczy Reaganowi stworzenie tutaj kociółka, w którym się będzie gotowało. To jest bardzo wygodne.

— *Ale to przecież nie Reagan stworzył polski kociółek. „Solidarność” też zrodziła się bez jego udziału. Niezadowolone od 1944 począwszy także było bez udziału Reagana.*

— Ale teraz oddał Polskę Sowiecom. Proszę zwrócić uwagę że procesy, jakie zachodzą od 1981 roku są nieodwracalne. Do sytuacji, jaką mieliśmy wobec Zachodu w poprzednich okresach już nie dojdziemy. Pod względem politycznym byliśmy bardziej Zachodem niż pozostałe kraje socjalistyczne. Otóż to się skoń-

czyło raz na zawsze. Jeżeli w tej chwili coś od Zachodu dostaniemy, to tylko via Sowiety.

— *Jak rozumiem, sytuacja taka, w Pana opinii, zrodziła się po ogłoszeniu sankcji przez Reagana.*

— Sankcje były dyktowane wyłącznie tym, żeby stworzyć w Polsce sytuację, która sprawi kłopot Sowiетom. To było spuszczenie żelaznej kurtyny od Zachodu. Zawsze mówiło się, że żyjemy za żelazną kurtyną, którą opuściła strona sowiecka. Doszła do niej więc jeszcze ta, którą opuścił Reagan. W tej chwili żyjemy za podwójną kurtyną.

— *To, co Pan w tej chwili zaprezentował, to typowe zimnowojenne myślenie. Pan dobrze pamięta tamten okres, kiedy się ono zrodziło i kiedy święciło triumfy. I nie odszedł Pan daleko, skoro po niemal 40 latach nadal je Pan prezentuje. Czy nie sądzi Pan, że sankcje gospodarcze Reagana przede wszystkim były odpowiedzią na nacisk amerykańskiej opinii publicznej? Jak niby miał rząd USA zaprotestować przeciwko temu, co się stało 13 grudnia?*

— A czy wzięła pani pod uwagę dodatkowe implikacje tego aktu? W tej chwili jesteśmy odcięci nie tylko od techniki zachodniej, ale i od literatury. Przestaliśmy prenumerować fachowe pisma.

— *I nie ma w tym żadnej polsko-rządowej winy, tylko wina Reagana?*

— Oczywiście, jest. Ktoś napisał, że gdyby ministerstwa sprowadzały sobie mniej zachodnich samochodów do obsługi własnej, to starczyłoby na literaturę fachową z wielu dziedzin. To jest fakt. Stalinowski okres, kiedy dostęp do kultury zachodniej był bardzo utrudniony, zostawił w bibliotekach luki, których nie dało się wypełnić. Są rzeczy, których nie da się uzupełnić. Ja, siedzący w nauce, zdaję sobie sprawę z katastrofalnych następstw tego. Od teorii zależy nasza dalsza i nawet bardzo daleka przyszłość.

— *Proszę Pana, gdyby nie było stanu wojennego, nie byłoby tych następstw.*

— Powiem brutalnie: niech pani nie pieprzy. Pamięta pani, jak to było przed 13 grudnia 1981 roku? Pamięta pani?

— *Pamiętam między innymi to, że mówił Pan o „Solidar-*

*ności” rozmaite rzeczy, których Pan nie publikował z czystego wygody.*

— Jak pani to sobie wyobraża? Co mogło nastąpić, gdyby nie stan wojenny ogłoszony 13 grudnia?

— *Mógł się dziać dalszy rozwój ruchu społecznego „Solidarność”. Może byłoby 5 lat prawie bezbołowia, ale coś by się wykryształizowało. Może trzeba było częściowo gospodarę puścić na wolny rynek...?*

— Coś pani powiem: gdyby Polska leżała w Australii, to prawdopodobnie odbyłoby się to tak, że rząd poszedłby wreszcie w diabły... Zrobiłby się bałagan nie z tej ziemi. I po paru latach coś zaczęłoby się krystalizować. I powstałby, jak łatwo się domyślić, totalitaryzm. W swojej ostatniej pozycji, wydrukowanej na parę dni przed stanem wojennym w piśmie krakowskim *Student* (nota bene pismo mocno się wychyliło w czasie „Solidarności” i zostało zlikwidowane), odpowiadałem na kilka pytań, które redakcja przesała mi pocztą. Nie pamiętam, co pisałem, ale zapamiętałem pierwsze i ostatnie zdanie. Nauczyłem się ich na pamięć. Pierwsze było odpowiedzią na pytanie redakcji, czy to, z czym mamy w Polsce do czynienia, to narodziny nowego ustroju. Odpowiadałem: narodziny na pewno nie. To, z czym mamy do czynienia, to wczesne stadium embrionalne nie pozwalające jeszcze wyrokować ani o cechach ewentualnego przyszłego porodu, ani o przebiegu ciąży. Nieprzystosowanie organizmu państwowego do tego rodzaju ciąży każe się liczyć z możliwością poronienia... Ostatnie zdanie brzmiało tak: „...poza tym pamiętać trzeba, że jak uczy historyczne doświadczenie, następstwem sytuacji zbliżonych do tej, jaką mamy w Polsce, jest zawsze totalizm, powstały bądź ze zwycięstwa tendencji rewolucyjnych czy reformatorskich, bądź z ich kleski”. Kropka. A teraz proszę pomyśleć — gdyby „Solidarność” zwyciężyła i objęła rządy w tym kraju — żadnymi innymi siłami jak tylko dyktatorskimi nie zdołałaby tego zanarchizowanego społeczeństwa namówić do tego, żeby ono po jakichś torach zaczęło chodzić. Przecież sympatycy i przyjaciele „Solidarności” byli zupełnie ślepi — w ogóle nie rozumieli, co się w tym kraju dzieje. Chaos i anarchia doszły przecież do szczytu. Podam pani taki przykład: ja w mojej dwuosobowej rodzinie pełnię funkcję zaopatrzeniowca. Moim obowiązkiem jest przynieść mleko, chleb i gazetę. Otóż pod koniec „Solidarności” zajmowało mi to pół dnia. Mleko było, albo nie: chleb także samo; gazeta — jeszcze gorzej...

— *I to się Panu w stanie wojennym poprawiło?*

— Tak. A pani tego nie odczuła?

— *Nie, bo nie kupuję gazety.*

— To się powoli zmienia. Pamięta pani oświadczenie sprzed grudnia, że aparat się rozłożył. Ale naprawdę sytuacja była taka, że żaden szef nie mógł krzyknąć na robotnika: ty, możebyś to zrobił... Gdyby krzyknął, wywieźliby go na taczkach, ogłosili strajk itd. To nie mogło trwać. Paradoks polegał na tym, że władza była bezsilna wobec narastającego ruchu, wobec tej fali, ale nie mogła być obalona. Na tym polegała główna przeszkoda, że nie mogła być obalona, bo jej filary są poza granicami naszego kraju. Nie możemy tych filarów podkopać. Nie mamy do nich dostępu. Gdybyśmy chcieli zrobić z tą władzą porządek — to przyjdą tutaj i obsadzą lepszą wersją niż ta.

— *Jaka więc miała być koncepcja, że się tak wyrażę, „Solidarności” w Pana rozumieniu?*

— Była jedynie słuszna w tej sytuacji, jaka była i jest. Jedyną jaką mogła być, czyli stworzenie silnego, zorganizowanego ruchu, który swoją siłą będzie wywierał nacisk, wymuszał na władzy idące w określonym kierunku reformy społeczno-ustrojowe itd.

— *To było napisane w Porozumieniach Sierpniowych.*

— Tak.

— *Ale przecież z tego co Pan mówił wcześniej wynika, że identyfikuje Pan „Solidarność” z anarchią.*

— Z anarchią... To jest tak samo, jak gdybym stanął nad kolebką małego dziecka i powiedział: o jakie śliczne niemowlę... A po 20 latach: jaki to straszny chuligan. Z pięknych dzieci często wyrastają chuligani. A w ogóle pani uwaga jest naiwna. We wszystkich tekstach pisałem: ruch „Solidarności” był ruchem autentycznym, można go nazwać rewolucyjnym, który ogarnął masy, który szedł szerokim frontem właśnie pod hasłem nacisku na władzę, żeby dostosowała się do społecznych potrzeb. Ale ruch społeczny zawsze i wszędzie ma własną dynamikę i raz wywołany idzie jak lawina, nawet nie tam, gdzie chcieliby przywódcy. Otóż ten ruch przekształcił się w lawinę bezkierunkową. Nabrał własnej dynamiki, rodził własne ekstremizmy. Wskutek tego przestał być naciskiem na władzę, a stał się właśnie anarchizujący.

— *Od którego momentu?*

— Zupełnie wyraźne było to już od lata 1981. Nie wiem, czy pani śledziła ten rozwój. Wyraźnie zwyciężały tendencje decentralistyczne. Jako gość Zjazdu „Solidarności” patrzyłem z góry i to wszystko było dla mnie widoczne.

— *Dlaczego Pan nie zabrał głosu i nie powiedział tego?*

— Pytania zaczynające się od „dlaczego” mają prawo zadawać dzieci do lat siedmiu. Ponieważ pani nieco tę granicę przekroczyła... Poza tym, za kogo mnie pani bierze?

— *Nie odpowiem... A więc tam, z góry w sali Oliwii, wszystko Pan widział?*

— Wszysciuteńko...

— *Mianowicie?*

— Każdy mówił: musi być demokratycznie... demokracja... Regiony muszą mieć własne prawo do decydowania, a w regionach podregiony, a nawet poszczególne zakłady... Otóż o tym może pani *expressis verbis* przeczytać w moich tekstach: front nacisku zmienił się w wojnę partyzancką, gdzie każdy oddział działał według własnych upodobań i nie bardzo liczył się z tym, co robi sąsiad. Jedną z podstawowych broni klasy robotniczej był zawsze strajk. Otóż broń ta została skompromitowana z chwilą, kiedy strajkował kto chciał i o co chciał. To chyba pani zauważyła. Nawet apel Krajowej Komisji o zaprzestanie strajków został całkowicie zignorowany... To przestała być armia! Zaczęła się wojna partyzancka, która w ogóle zatraciła kierunek. Każdy walczył z przeciwnikiem, którego miał na miejscu. Z tą chwilą idea tego wielkiego ruchu załamała się. Pisałem przecież: nie stan wojenny spowodował klęskę „Solidarności”. Klęskę poniosła „Solidarność” kilka miesięcy wcześniej! Właśnie wtedy, kiedy przestała być masowym, zorganizowanym i nakierowanym na określony cel ruchem. To byłaby taka z grubsza odpowiedź na pani pytanie. Dodam jeszcze (też o tym pisałem), że wielu ludziom zdawało się, że ta samodzielność i ten ruch w terenie to jest objaw aktywizacji mas. To było złudzenie, bo to był paraliż mas. Każda forma anarchii, kiedy w walczącej armii oddziały zaczynają robić co chcą — jest osłabieniem i określeniem siły armii. I stwarza bardzo dogodną sytuację dla interwencji. Każda anarchia jest wygodna dla armii, bo wówczas wie, że nie spotka się ze zorganizowanym przeciwdziałaniem. Pamiętam — przyjaciele mi mówili: no, gdyby rząd się ośmielił, to odpowiemy strajkiem generalnym. Mówiłem: nikt nie odpowie, bo ruch jest zdezorganizowany, a sympatyzujący

z nim boją się strajku. Telewizja pokazywała wówczas rozmowy z ludźmi — wszyscy bali się strajku. To nie było reżyserowane.

— *Skąd Pan wie?*

— Jeżeli jest strajk, to ludzie nie mogą żyć, nie mogą załatwić elementarnych rzeczy, nie mogą nakarmić dzieci... Tak to wyglądało... Wie pani, najgorsi są ci sojusznicy, którzy mają klapy i nie wiedzą co się dzieje z lewej, a co się dzieje z prawej strony. Pani do nich należy.

— *Skąd Pan wie? Póki co, to ja słucham pańskiej opinii polityka z komunistycznym rodowodem i staram się nie obrzucać Pana inwektywami. Co należało, zdaniem Pana, robić, żeby ruch nie poszedł w stronę anarchii?*

— Tego jeszcze nikt nie wymyślił. Wszystkie rewolucje prowadzą zawsze do anarchii — francuska, rosyjska w 1917 etc. Wszystkie, bo takie jest prawo masowego ruchu, taka jest jego dynamika. Engels w starszym wieku pisał tak: często ci, którzy robili rewolucję, skarżyli się następnego dnia, że to nie była taka rewolucja o jaką im chodziło. Żadna rewolucja nie była taka jaką sobie przedtem wymarzyli przywódcy. Żadna!... ponieważ decyduje dynamika masowego ruchu, a to jest potężna siła, która niesie. I przywódcy muszą iść tam, gdzie ich ta masa niesie. Tylko wtedy mogą rządzić, tylko wtedy mogą panować.

— *Co zostało z „Solidarności” po 13 grudnia?*

— Została legenda „Solidarności” i jej aktyw, który nie mógł się, nie umiał i nie chciał przestawić. Moja główna teza jest taka, że znaczenia 16 miesięcy „Solidarności” nikt w tym kraju nie zrozumiał. Nie rozumiała „Solidarność”, nie rozumiała też władza. Gdyby władza była ciut inteligentniejsza, to miała możliwość rozegrania tej sprawy na swoją korzyść. Okres „Solidarności” pozostanie w historii Polski czymś analogicznym do Konstytucji 3 Maja. Punktem, do którego przyszłe nowatorskie ruchy będą się odwoływać... Z jednym tylko zastrzeżeniem — Konstytucja wyraźniej zarysowała kierunek, o który chodziło, w którym naród winien wówczas zdążać. Już w II połowie XIX wieku wytyczne Konstytucji były oczywiście archaiczne. Pozostała jednak idea postępowego ruchu, jakiegoś organizowania, unowocześniania państwa itd.

Otóż „Solidarność” takiego programu nie zostawiła. Dwadzieścia jeden punktów Porozumienia było dopiero aktem wstępnym. Nie wynikało z nich w jakim kierunku właściwie zmierzamy. Sam ruch „Solidarności” i przywódcy nie bardzo rozu-

mieli, co to jest program. Jak większości ludzi w Polsce wydawało się im, że określenie celu jest programem. Niestety — cel mamy wszyscy jednakowy: żeby było dobrze. To jest „program” każdego człowieka. Ale prawdziwy program znaczy — co i jakimi metodami robić to, o co nam chodzi. Tego żadna znacząca wypowiedź ze strony „Solidarności” nie zawierała. Była jedynie generalna, wstępna idea, żeby zorganizowanym naciskiem wymusić na władzy demokratyzację systemu. To wszystko...

— *Powiedział Pan, że 16 miesięcy „Solidarności” nie zrozumiała ani władza, ani „Solidarność”. Proszę to rozwinąć.*

— Gdyby władza była rozumniejsza, o co trudno ją podejrzewać i powiedzmy, śmielsza... Ale trudno od niej czegoś oczekiwać, bo to jest władza, która boi się wszystkiego. Przede wszystkim boi się własnego społeczeństwa. Boi się Moskwy. I boi się własnej kadry...

— *Czyli jest sparalizowana w obliczu potrójnego strachu.*

— Tak. Musiałby tutaj, przepraszam za wyrażenie, pojawić się prawdziwy dyktator, który zacząłby od dyktatury we własnej partii. Należałoby ją przestawić, bo jest to stary, zjeżdżały, spetryfikowany aparat, który nie nadaje się do niczego.

— *Przesada... znakomicie nadaje się do obrony własnych stanowisk. Tego nie można mu odmówić.*

— Raczej tak. Można nawet powiedzieć więcej — własnej, w cudzysłowie, ideologii. Dyktator musiałby sobie tutaj uzyskać *carte blanche* ze strony sowieckiej...

— *Nie idzie Pan w stronę wishfull thinking?*

— Ja uważam, że nasza władza mogłaby u sowietów zdobyć znacznie szerszy margines swobody działania. Oczywiście, gdyby mądrzej postawiła pewne problemy. Władza sowiecka wie, że w tym kraju na jakieś ustępstwa trzeba iść. Ale na to trzeba by mądrzej i otwartej głowy, która potrafiłaby coś takiego zaproponować. Na to tej władzy nie było i nie będzie stać. Tego trudno od niej oczekiwać, skoro sama boi się wszystkiego.

— *Zalóżmy, że Pański „dyktator” znalazłby się?*

— No nie — nie kontynuujemy tego marzenia. Czy dyktator? Po prostu człowiek z szerszym horyzontem i lepiej rozumiejący problematykę. Jednym ze skutków „Solidarności” był stan pewnego paraliżu społeczeństwa. Tego „Solidarność” nie chciała wi-

dzieć. Nie dlatego, że społeczeństwo się rozczarowało. Nieee! Ono w dalszym ciągu nosi na sercu medalik „Solidarności”, tylko straciło wiarę, że to do czegoś doprowadzi. O to chodzi. A tego nasi przywódcy „Solidarności” nie chcą zrozumieć. Ono ten medalik nosi, ale to jeszcze nie gwarantuje zbawienia, jak wiadomo.

— *Niechże Pan wreszcie wskaże drogi prowadzące do zbawienia, które Pan, znawca procesów społecznych, gdzieś dostrzeżę.*

— Twierdzę, że w ramach tego ustroju można robić rzeczy, które społeczeństwo akceptowałoby... Przecież ono rozumie, że wyżej głowy nie podskoczy... Co natomiast widzę ze strony „Solidarności”? Ona żyje mitem! Wyłącznie! Jej pierwsze żądanie — przywrócić „Solidarność”. Trzeba być małym Jasiem, żeby sobie wyobrażać, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Napisałem w pierwszych dniach stanu wojennego, że po rozegranej bitwie nigdy to, co dalej ma się dziać, nie będzie kontynuacją tego, co było. Zawsze dokonuje się przegrupowania wojsk, zmienia się zadania. Dlatego też pomysł, że po 13 grudnia byłoby możliwe restytuowanie „Solidarności” był naiwnością. Powstała zupełnie nowa sytuacja. „Solidarność” w dalszym ciągu nie wie co w tej sytuacji robić, prócz protestowania. Te protesty zresztą są bardzo naiwne. Nie mogą wywierać żadnego wpływu na bieg spraw. To jest główny przedmiot mojej troski, moich zmartwień.

— *Czy z tej troski i zmartwień wyłania się coś konkretnego, jakiś pomysł, rada...?*

W gruncie rzeczy proszę pani, kapitał emocjonalny podświadczenie się zaciera. Ludzie znów wpadają w stworzony kierat i zaczynają myśleć aktualnymi kategoriami. Gdyby władza potrafiła zapewnić społeczeństwu jaki taki postęp gospodarczy...

— *...to tzw. milcząca większość pokochałaby ją.*

— Tak. Oczywiście, tak. Tylko władza nie jest i nie będzie w stanie... W tej konfiguracji przed Polską rysuje się ponura perspektywa. Ponura... Obecnie ciągle robi się jeszcze dobrą minę do tej gry. A to jest tylko łatanie dziur, które się codziennie ujawniają w tym statku ledwie utrzymującym się na wodzie. Perspektywy, że statek może dopłynąć do jakiegoś portu są coraz słabsze. Nie ulega wątpliwości, że w XXI wiek wejdziemy jako ostatni kraj już nie w Europie, a jako ostatni kraj wśród wszystkich krajów rozwijających się. Kraj „rozwijający się”, to niby eufemizm, bo z Tanzanią jeszcze się nie mierzymy. Chodzi mi

o te kraje, które w trzecim świecie rzeczywiście się rozwijają... My będziemy na ich końcu.

— *Wróćmy do „Solidarności” i Pańskich o nią trosk.*

— „Solidarność” przede wszystkim nie stworzyła promieniującego ośrodka. Jest kilka indywidualności oddzielnych.

— *Mianowicie?*

— Nazwiska? A co mnie obchodzą nazwiska. Idzie mi o to, że „Solidarność” nie stworzyła takiego ośrodka prawdopodobnie z powodu braku programowego kośćca. Jednak myśl, jeśli idzie o kontestację, jest. Jest wspólny program na „nie”, ale programu na „tak” w ogóle nie ma. Owszem, ludzie mają pomysły, ale nie układają się one w całość programową.

— *Czym według Pana był program zatwierdzony na I Zjeździe?*

— Nie było takiego!

— *Czym wobec tego było to, co było rozpisane w pięciu rozdziałach i miało w tytule słowo „program”?*

— To były *pia desideria* — pobożne życzenia, a nie żaden program. To co oni tam powypisywali o gospodarce, to było łapanie much na suficie.

— *A cóż złego było u podstaw tworzenia owych pia desider'ów?*

— Proszę pani... Ja w kularach Olivii, stary parlamentaryzta — specjalista od powiedzeń kularowych... Otóż w kularach Zjazdu mówiłem: największym kawałem, jaki partia mogłaby zrobić „Solidarności” byłoby oddanie jej władzy. Okazałoby się wtedy, że „Solidarność” pękła wzdłuż wszelkich szwów. W ramach „Solidarności” powstałoby co najmniej 20 zwalczających się partii...

— *Dzieje się to teraz...*

— Mówimy o „wtedy”. Każdy region miałby własną partię... „Solidarność” nie stworzyła jednolitego ośrodka myślenia. Nie ukierunkowała myśli, bo jak powiadam, myśli są ukierunkowane od 1945 roku na „nie”. A tutaj była okazja. Jedyne, co „Solidarność” miała do zrobienia, to było właśnie ukierunkowanie na „tak”.

— *Na jakie „tak”?*

— Dziecko, nie będę wprost odpowiadał na to, jaki powinien być program „Solidarności”. Nie jestem do tego powołany i moje koncepcje oraz poglądy nie mają tutaj nic do rzeczy. Natomiast powiem pani, jakie tu stoją zasadnicze problemy, które nie tylko, że nie zostały ominięte, ale one się wyolbrzymiły. Sprzeczność zasadnicza polega na tym, że „Solidarność” miała siłę społeczną, a ustrój mogła zmienić tylko władza, bo ona miała w rękę wszystkie sprężyny. Reforma systemu pod zorganizowanym naciskiem wymagała współpracy z władzą, przy ścisłym wypełnianiu umów — tego władza zrobić nie chciała, a „Solidarność” nie mogła. Było to niewykonalne dla obu stron. Trzeba więc było ustalić jedno — w jakich formach „Solidarność” będzie z władzą współdziałała. Rzeczywistość natomiast szła w kierunku przeciwnym, zgodnie z logiką masowego ruchu. Sprzeczność była oczywista — jeżeli bowiem my idziemy na walkę, przeciwnik robi to samo w obronie swoich pozycji. Powstaje więc w kraju sytuacja rewolucyjna, anarchizuje się społeczeństwo, aparat przestaje działać itd., itd. W tej sytuacji pierwotny zarys „Solidarności” realizowany być nie mógł. Na to trzeba było zorganizowanego, zdyscyplinowanego ruchu, którym nie mogła być „Solidarność”. Może podołałaby temu jakaś partia, tak jak w najlepszych czasach labourzystowska, która ma stare tradycje, ma swoich przywódców mówiących: teraz robimy to, a nie robimy tego. Ale tego nie dało się zrobić w sytuacji narastającego ruchu rewolucyjnego, czyli osiągnięcie tego pierwotnego celu było z tych powodów nierealne. Powstał przecież taki problem, czy mamy anarchizować, czy też utrzymywać władzę? Jeżeli mamy np. utrzymać porządek, no to wzmacniamy władzę.

— *Jak anarchizujemy, to też przecież wzmacniamy?*

— Nie. Tego oni nie wiedzieli. To nie jest wzmocnienie władzy, to jest tylko ułatwienie jej opanowania sytuacji. To jest przygotowanie wygodnej pozycji dla działania armii...

— *Jako mistrz od kularowych plotek powiedział Pan, że największym kawałem jaki władza mogła zrobić „Solidarności” byłoby oddanie jej władzy. W 1945 roku powiedział Pan do swojego „towarzysza”, też polityka, że „szybko ten kraj rozpieprzyimy”. Przyznać trzeba, że ta prognoza spełniła się rewelacyjnie. Jaką Pan miał gwarancję, plotkując, że „Solidarność” rozpieprzyłaby równie skutecznie?*

— Uchylam to pytanie. To nie jest *à propos*. Nie, nie... zawsze jakieś zmiany we władzy następują. To, czy ta władza

będzie się zachowywała lepiej, czy gorzej — tego przewidzieć nie sposób. Nigdy! Nigdy!

— *Mówił Pan, że u podstaw myślenia „Solidarności” nie było prób tworzenia programu...*

— I to zostało do dzisiaj. Jedną z moich głównych pretensji do „Solidarności” jest to, że przejęła bardzo wiele cech ruchu komunistycznego. Wymienię dwie. Jedna to przyjęta w walce politycznej zasada: im gorzej, tym lepiej. To komuniści zawsze mówili, bo im gorzej, tym większe wzburzenie mas, tym większy protest przeciwko władzy i łatwość obalenia jej. Tę samą zasadę stosowała „Solidarność”. A drugie, w czym naśladowała komunistów, to nietolerancja. Niestety, społeczeństwo polskie dawno już odwykło od życia w systemie jako tako demokratycznym. Młode pokolenie, nawet w rodzinie się z tym stykam, już nie rozumie takiej rzeczy, że można np. z przeciwnikiem politycznym dobrze żyć, dyskutować, utrzymywać przyjacielskie stosunki... Nie! to jest wróg! Otóż to jest przerażające, bo znaczy to, że nie mamy już instynktu demokratycznego. Polacy nigdy nie mieli wysokiego. Raczej mieli wolnościowy niż demokratyczny... Ale naśladowanie w tym kierunku totalitaryzmu wręcz mnie przeraża. Przecież dzisiaj sytuacja jest taka, że w środowiskach „Solidarności” nie można wystąpić z poglądem odbiegającym od potocznych. Nie można — urywa się rozmowa. Kropka! Moi przyjaciele, którzy wracają np. z Paryża po kilkutygodniowym pobycie twierdzą, że klimat w środowiskach „Solidarności” jest tak ostracystyczny, tak nietolerancyjny, jakiego nawet u komunistów nie widzieli. Mnie, który z urodzenia jestem liberałem i demokratą...

— *...co też Pan mówi. Z tymi cechami pchał się Pan do PPR?!*

— Tak. Po to, żeby tam robić w miarę możliwości demokrację. Tylko po to tam poszedłem.

— *Sądzę, że dorabia Pan sobie teraz, jak to się mówi, ideologię. Do PPR szedł Pan dla władzy, a nie dla robienia demokracji.*

— No wie pani, Gomułka określił mnie jako anarchistę. Anarchia wszak nie wyklucza demokracji.

— *Zdaje się, że nie dojdziemy na tym odcinku do zgodnych ustaleń. Wróćmy więc do „Solidarności”.*



— Śledzę postawy i wypowiedzi sympatyków „Solidarności”. Jaki jest punkt wyjścia ich działań? Otóż tym punktem jest likwidacja w Polsce komunizmu i prawdopodobnie, zgodnie z propozycją Reagana, w ogóle w tym rejonie świata. Jeżeli taki sobie wytkniemy program — nie obchodzi mnie to w tej chwili merytorycznie, tylko metodologicznie. Co jest wobec tego naszym zadaniem — pytam. Działać na szkodę tego systemu. I wtedy propozycja: szkodzić, utrudniać byłaby logiczna.

— *Ależ to jeszcze nie obala komunizmu.*

— Ale zmierza, utrudnia mu życie, z nadzieją, że ktoś, kiedyś te guziki naciśnie. Wiadomo, że inaczej komunizm nie zniknie. Jeżeli więc zarysujemy sobie taki punkt wyjściowy, to przezywamy dyskusję. Pogadamy, jak już te bomby atomowe wybuchną i pyły opadną...

— *... a piasek przestanie nam zgrzytać między zębami, jeżeli w ogóle będziemy i na dodatek z zębami. Przejdźmy od tej Apokalipsy w jakiś optymistyczniejszy i rozsądniejszy wymiar.*

— Kochana — ja tylko powiadam, że jeżeli u podstaw leży taka filozofia, to kończy się rozmowa i zaczynamy czekać, psując, w miarę możliwości, to co tu jest. Chodzi mi o to, że przy takim założeniu nie można wytyczyć żadnego sensownego celu działania, sensownego programu.

— *Używa Pan słowa program, a mówi o celu. Obalenie komunizmu jest celem.*

— Tylko środki na to są... uhm... Jeżeli byśmy nacisnęli guziki tych wyrzutni, to komunizm zniknie, ale zniknie też wiele innych rzeczy. Ten cel jest dobrze obmyślony, bo metoda prowadząca do jego realizacji jest już znana. Nie w naszych ona jest rękach. Jeżeli my coś mamy do zrobienia, to przede wszystkim musimy uznać istniejący stan rzeczy. Nawet jeżeli chce się go zmienić, to w działaniu trzeba to przyjąć za punkt wyjścia. I tutaj zaczynają się kłopoty z programem. Co ma w Polsce robić człowiek, który sympatyzuje z ideałami „Solidarności”, który chce, żeby tutaj było inaczej? Tego „Solidarność” nie jest mu w stanie podpowiedzieć. Jeżeli powie: protestować przeciwko temu co jest — to jest to jakiś program — ale on do niczego nie prowadzi.

— *Protesty uświadamiają przynajmniej władzy, że jeszcze nie wszyscy padli przed nią na twarz.*

— Z niezadowolaniem władza ta ma do czynienia od 40 lat.

Niezadowolenie nie dało rezultatów w 1956, nie dało w 1980-1981... To nie jest program społeczny. A choćby sama koncepcja bojkotu pracy, afiszowanie się nią... przecież to tylko pomysł zrodzony z odruchów czysto emocjonalnych.

— *I moralnych.*

— Może tak, ale politycznie jest to idiotyczna koncepcja. Ci, którzy namawiają do eskapizmu, wycofania się, nie brania udziału jakby nie rozumieli, że kraj nie może zawiesić swojego życia. Ono będzie trwało, będzie istniało, pisarze będą pisali, gazety będą wychodziły, teatry grały, bo to wszystko musi działać. Można bojkot ogłosić na jakiś czas. Można strajkować tydzień, dwa. Z bojkotem jest ten kłopot, że łatwo go ogłosić, ale diabelnie trudno się z niego wycofać, bo nie wiadomo, kto ma o tym zadecydować.

— *Ci, którzy go ogłosili.*

— Nie, bo on się ogłosił trybem, że tak powiem, plotki. Nie było żadnej informacji...

— *Ale TKK mogło odwołać.*

— Oczywiście, ale o to idzie, że w ramach działających ogniw „Solidarności” nie ma takiego, które by się czuło odpowiedzialne za to i które by śledziło, co się w tym kraju dzieje. Ot, choćby koncepcja rządowych związków zawodowych — w „Solidarności” były dwie tendencje: wchodzić i nie wchodzić. Większość opowiedziała się za bojkotem. Natomiast logiczne i sensowne byłoby wchodzenie dlatego, że te związki będą działały. Bojkot był obliczony na to, że rząd się cofnie, że coś się zmieni. Nic się nie zmieni.

— *Uważa Pan, że gdyby weszli byłoby lepiej?*

— Byliby w związku. Nie można działać poza związkiem. Te tzw. struktury „Solidarności” są w dużej mierze fikcją, przynajmniej z punktu widzenia działania. Psychologicznie działają na ludzi, ale wpływu nie mają żadnego.

— *A na co mieliby wpływ w tych rządowych związkach?*

— Większy niż teraz.

— *Taki jak ci, którzy wpisywali się i wpisują do partii z wiarą, że coś tam zmienią.*

— Nie, kochana. Związki nie są partią. Proszę tego nie mylić. Jeżeli się mówi, że robotnicy w fabryce to jest siła, a ich instancją organizacyjną są związki zawodowe — to jaka może być odpowiedź?

— *Podobna do tej, że przewodnią siłą klasy robotniczej jest PZPR...*

— Związki to nie partia — już mówiłem. Jedynym wyjściem jest, żeby ludzie, którzy myślą inaczej, inaczej widzą rolę związków, byli w nich, a nie na zewnątrz. A jeżeli mają istnieć struktury „Solidarności” podtrzymujące jakąś rzeczywistość robotniczą działalność, to powinny się rekrutować spośród tych robotników, którzy są w związku. Oni powinni tam stanowić bardziej zorganizowany i światlejszy aktyw. Wtedy to miałyby sens.

— *Znowu rodzaj wallenrodzizmu. Nie sądzi Pan, że mecha- nizm zniszczyłby i splugawiłby ich prędzej czy później? Z tego powodu byłam przeciwniczką wchodzenia w rządowe atrapy.*

— Nie uogólniam tego na wszystkie zawody. Jeśli idzie o związki twórcze, to jest inna sprawa. Mówię teraz przede wszystkim o klasie robotniczej. Czy „Solidarność” będzie uważała tych robotników, którzy są w rządowych związkach, za swoich wrogów? Ten, kto tak twierdzi ma chyba ku-ku na muniu. Proszę pomyśleć...

— *To, żeby nie wchodzić do nowych związków było stanowiskiem robotników. Rozumie to Pan?*

— Rozumiem, bo wtedy wszyscy, łącznie z najmądrzejszymi, reagowali emocjonalnie. Świadomi roli życia organizacyjnego powinni powiedzieć: tak. Struktury, działanie duchowe i uświadamiające politycznie powinno być niezależnie od tego. Powinno obejmować tak samo tych, którzy należą do urzędowych związków, jak i tych, którzy nie należą. Niech pani pomyśli — jeżeli my, ludzie piszący, możemy nie przystępować do tej piszącej organizacji, która jest dość obrzydliwa itd... itd. Ale w fabryce te zasady nie obowiązują. Pani może uważać tych, którzy są w nowych związkach twórczych za przeciwników „Solidarności”, choć to też nie byłoby tak bardzo prawdziwe... ale nie można za przeciwników „Solidarności” uważać robotników, którzy poszli do urzędowych związków. Czy w tej chwili 40 % robotników, którzy są w nowych związkach, jest wrogami „Solidarności”?

— *To nie ta klasyfikacja. Są chwiejni, kolaborują, boją się, chcą mieć święty spokój i wczasy we Wdzydzach Kiszewskich.*

— Tchorze także są częścią społeczeństwa. I tutaj zaczyna się sprawa kolaboracji. To jest drugi punkt w odpowiedzi na pytanie: co ma robić Polak w swoim państwie? Jeżeli pani powie: nie kolaborować...

— *Proszę tego nie rozwijać do granic absurdu i twierdzenia, że podbijanie biletu w tramwaju też jest kolaboracją.*

— Kochana, żeby nie kolaborować, nie wolno w ogóle niczego robić. Robotnik nie powinien chodzić do fabryki, do której chodzi. No dobrze: chodzi z przymusu. Uwzględniamy to i rozgrzeszamy go, bo musi zarobić na chleb. Ale w pracy powinien pracować jak najgorzej. Przecież to jest szatański pomysł: kolaboracja we własnym kraju! Owszem, było tak za czasów okupacji hitlerowskiej! Niektórzy są skłonni rozciągać tutaj analogie...

Otóż to wszystko wymaga przemyślenia. Gdyby odwołać się do czasów zaborów. Po Powstaniu Styczniowym nastąpiła reakcja, że jednak coś trzeba w tę Polskę włożyć. Nie wystarczy żyć samym romantyzmem walki. Trzeba tutaj pracować, budować. Wtedy te dwie tradycje zwalczały się, ale w sumie obie stały się twórczą częścią narodowej tradycji. Gdybyśmy w XIX wieku nie podnieśli sprawy pracy organicznej, byłoby to z ogromną stratą dla kraju. Byłby jeszcze bardziej zacofany niż jest. Itd. itd. Podobnie teraz — z jakiegokolwiek punktu widzenia byśmy patrzyli, hasło kolaboracji jest zupełnie bezmyślnym. Nie wiadomo, przeciwko czemu protestuje. Przeciwno pracy! Przeciwno normalnemu życiu tego kraju!

— *Wiadomo — protestuje przeciwko kolaboracji, czyli...*

— ...no, jeżeli ktoś zostaje powołany na kierownicze stanowisko polityczne... od biedy wtedy można nazwać go kolaborantem.

— *Albo jeśli ktoś swoje pióro sprzedaje na usługi propagandy.*

— Taki podział jest zawsze. Zawsze są ideologowie i zawsze są ślusarze i kowale. Tylko idzie o to, kto tu jest kolaborantem. To trzeba jasno powiedzieć: ja tutaj wykonuję swoje zadanie, bo jestem u siebie w swojej Ojczyźnie. Robię to, żeby tę tonącą Ojczyznę podtrzymać na powierzchni wody, żeby nie utonąła. A w chwilach wolnych robię program uświadamiania ludzi. Żeby wiedzieli, o co tutaj chodzi i żeby byli gotowi, żeby mieli świadomość kierunku w jakim idą i przy każdej nadarzającej się okazji to manifestowali. Kiedy mówimy o kolabo-

racji, to to się wyklucza. Do diabła, co ma robić pisarz? I tak ma dość przeszkód ze strony władzy, która mu nie pozwala pisać tego co by chciał. Nie mówię o sobie, bo ja od 1966 roku w ogóle nie jestem drukowany w tym kraju.

— I nie poszedł Pan na kolaborację, czyli na pisanie np. przemówień tow. Świrgoniowi, czy innemu inteligentowi z KC. Nie zmienił Pan swojej myśli i nie dopasował do wymogów Nowych Dróg czy Żołnierza Wolności. I to by było z kolaboracją na tyle — jak się mawia. A tak na marginesie, to w 1981 roku publikowano Pana w Studencie.

— To było w czasie pożaru w Polsce. To się nie liczy. Powiem pani na czym polega główna sprzeczność między Polską i Rosją. Polska przynajmniej od XV wieku nie miała ani jednego dnia władzy despotycznej. Rosja nie miała w swej historii ani jednego dnia wolności. Na to ktoś mi kiedyś powiedział: nie, bo od rewolucji lutowej do październikowej tam była wolność. Z kolei ja odpowiedziałem: w czasie pożaru domu. To tak jak dzieci trzymane surową ręką wspominają: a, wtedy kiedy się u nas paliło, to mieliśmy frajdę, robiliśmy cośmy chcieli.

— W zasadzie powiedział Pan, czego nie należy robić w Polsce, co robi się źle. Pytam teraz — co tutaj trzeba robić?

— Ja też o to pytam. Nie jestem po to, żeby odpowiadać. Ja tylko prowadzę do tego, żeby odpowiedź ludzie znaleźli sami. Możemy powiedzieć, że dopóki komuna tym krajem rządzi, nas to nic nie obchodzi; niech ginie, albo nie ginie. Możemy też powiedzieć: my tu jesteśmy gospodarzami, którzy wprawdzie mają takiego administratora itd., itd. Ale my za to odpowiadamy.

— Głosi Pan teraz jak ksiądz Skarga.

— Tak... My za to odpowiadamy. Przed historią będzie się liczyło to co my zrobimy.

— Co więc mają robić ci z „Solidarności”, którzy jeszcze chcą i mogą coś zrobić, którzy nie spoczęli pośród kwieciska w męczeńskiej kapliczce zlikwidowanego Związku?

— Ich obowiązkiem jest przede wszystkim przemyśleć te zagadnienia i dać ludziom, którzy ich jeszcze słuchają, wytyczne. Powiedzieć, jaka jest rola obywatela polskiego w tym kraju. Co on ma za zadanie. Co ma robić na dziś i do czego ma dążyć jutro.

— Łatwiej powiedzieć co jutro, trudniej co dziś. A poza tym, to żadna odpowiedź. Na to nie trzeba być od 50 lat politykiem, żeby takie hasła rzucić.

— Polak musi robić maksymalnie dobrze wszystko to co robić może — to jest jedyna odpowiedź. Nie może być innej. Wnioski niech pani sobie sama wyciąga. To hasło, że tak powiem, absencjonizmu, eskapizmu od tego wszystkiego mocno tkwi w pani. Ja też wiem, proszę pani, że mamy najgłupszą i najgorszą władzę jaką można mieć. Przyczyna tego jest taka, że ten system najgorzej ze wszystkich pasuje do naszego narodu. Nasze społeczeństwo z jego tradycjami najgorzej się w tym systemie układa. Znacznie lepiej idzie to społeczeństwu, które są bardziej zdyscyplinowane i zdolne do posłuszeństwa, choćby Czesi, czy Węgrzy. My jesteśmy bardziej samowolni, no i więksi indywidualiści. Gorzej więc znosimy formy, które uważamy za złe. Z tego też powodu nasza władza ma trudniejsze życie niż inne w tym obozie. Ma też za mało oleju w głowie, żeby znaleźć sposób na wybrnięcie z tych sprzeczności.

— Może więc Pan powie, poda sposoby, jak mogliby wybrnąć z tych sprzeczności. A nuż skorzystają...?

— One są bardzo proste. Musielibyśmy poddać analizie dwa okresy: gomułkowski i gierkowski. Gomułkowski, w którym nastroje społeczne były bardzo obiecujące. Program zarysowany przez Gomułkę był wówczas chwytliwy dla społeczeństwa. Został on jednak stordedowany przez samą partię. Osobliwością gomułkowskiego 14-lecia było to, iż był to jedyny okres w historii wszystkich krajów socjalistycznych, gdzie cała partia walczyła z przywódcą na noże... Od pierwszej chwili, od październikowego plenum, cały aparat partyjny był przeciwko Gomułce. Gomułka cofał się, ustępował ze wszystkich pozycji, aż wreszcie dał się zgnoić. Przecież marcowa impreza była w intencjach jej organizatorów skierowana przeciwko Gomułce... To jest wielka osobliwość. Ludzie tego nie doceniają... Ja siedziałem wówczas na odstrzelanych pozycjach i odczułem to szczególnie wyraźnie.

Okres gierkowski był okresem obłąkanych koncepcji. Gierek i jego ludzie słyszeli gdzieś, że przy pomocy kredytów różne kraje zbudowały swoją potęgę. Więc dawaj: weźmy kredyty i wydamy je na lody... Tyle...

— Dla mnie jest Pan przykładem nielegalnego legalisty.

— Ładnie to powiedziałaś. Zgadzam się. Celem dla mnie

nie jest walka. System socjalistyczny jest według mnie taki do-  
bry, czy taki zły jak kapitalistyczny.

— Wnosząc z oglądu choćby Europy śmiem twierdzić, że  
zły jest socjalistyczny.

— Tutaj bym... Władza stawia sprawę tak — czy jesteś za,  
czy przeciw socjalizmowi. To zwyczajny szantaż, który ma od-  
wrócić uwagę od istotnych zagadnień. Nikt w Polsce nie ustosunkowuje się do ustroju, a do polityki władzy. Co mnie obcho-  
dzi ustrój? Mnie obchodzi to, co robi władza! Prawda?

— *Nieprawda. Mechanizmy systemowe gwarantują władzy  
to, że nadal nią jest.*

— Nie ustrój nas dręczy, ale ci, którzy go w jakiś sposób  
realizują.

— *Nikt go, jak do tej pory, nie realizuje inaczej.*

— To różnie bywa. Ludzie, którzy teraz wracają z Węgier,  
mówią: to jest Europa. Tam się poprawia i Kadar zyskuje po-  
parcie społeczne. A u nas jest jakiś korkociąg, który ciągnie do  
dołu. Kiedy zaczyna narastać społeczny sprzeciw, władza postę-  
puje na tyle głupio i brutalnie, że tylko pogarsza atmosferę  
społeczną. I tak to się ciągnie.

— *Kadar, nie Kadar* — summa summarum celem winien być  
antykomunizm.

— To są dziewczęce poglądy... Komunizmu na świecie się  
nie obali. Nigdy! Na rzecz czego? Niech pani pomyśli!

— *Socjaldemokracji, na przykład...*

— Na demokrację wcale nie trzeba komunizmu obalać. Ko-  
munizm w swojej pierwotnej, marksowskiej formie miał być  
ustrojem całkiem demokratycznym. Pech chciał, że te idee chwy-  
ciły w feudalnej Rosji. Tam mógł być tylko taki, jaka była  
Rosja. Podstawowe idee socjalizmu będą w przyszłości nieuchron-  
nie realizowane. Taka jest opinia wybitnych ekonomistów z tam-  
tej strony. Kapitalizm, jaki istnieje, jest formą czasową. W dal-  
szej przyszłości taki nie może być. Szwedzki program społeczny  
przecież jest programem socjalistycznym. Nie ma nacjonalizacji,  
ponieważ uważają, że technicznie sprawniejsze jest funkcjonowa-  
nie systemu gospodarczego... Jakie formy społeczne będą się

kształtowały w przyszłości — nie wiem. Na ogół nie sprawdzały  
się żadne ludzkie przewidywania.

— *O tym, że kapitalizm umiera, wiedział już Marks i Lenin.  
Sądzę, że objawy ewolucji i zmian bierze Pan za agonię.*

— Ależ ja powiadam, że kapitalizm podlega daleko idącym  
zmianom i będzie nadal podlegał. W jakim kierunku — zoba-  
czymy. Cały świat żyje dziś pod presją koncepcji amerykańskich.  
Koncepcja ta jest nieadekwatna do mniejszych krajów Europy...  
A nienawiść do komunizmu...? Naiwność pani polega na tym,  
że protestuje pani przeciwko pewnym koncepcjom ideologicznym,  
przeciwko marzeniom o przyszłości, których wykreślić się nie da.  
Nie da! Tego rodzaju tęsknoty pojawiały się już w starożytności.

— *Czy ja cokolwiek złego mówiłam na temat marzeń,  
tęsknot? Jeżeli protestuję, to przeciwko prozie 60 lat szczęśli-  
wości ludzkiej made in USSR.*

— Dobrze, ale to nie świadczy, że idee te znikną. Poza tym  
nie da się takich zjawisk jak to, które jest dzisiejszym światem  
socjalistycznym wykreślić. Nie da się...

— *Mam wrażenie, że Pan oderwany jest od rzeczywistości.  
Używa Pan nazewnictwa ze sfery teorii nauk społecznych, a nie  
z dziedziny praktyki społeczno-politycznej. To co Pan nazywa  
światem socjalistycznym, nazwałabym światem dominacji rosyj-  
skiego totalitaryzmu. A poza tym różne bywały okresy w historii,  
które minęły. Tylko komunizm jest przekonany o własnej nie-  
śmiertelności.*

— W czasie wędrówki ludów po upadku Rzymu wszystko  
się zmieniło. Teraz może się zmienić, ale tylko po wojnie.

— *Michael Nowak ma inną koncepcję, inną R. V. Burkes,  
może i Pan mieć swoją. Inną. Na temat możliwości upadku  
Imperium Sowieckiego bodajże w sierpniu ub. roku odbyła się  
konferencja w Genewie. Usłyszemy pewnie przynajmniej echa  
wygłaszanych tam referatów. Oczywiście, to także będą intelek-  
tualne spekulacje... Na zakończenie naszej rozmowy wrócmy  
jeszcze do „Solidarności”...*

— ... ci, którzy uważają się za kontynuatorów „Solidarności”  
muszą mieć świadomość, że obiektem ich działania jest cały na-  
ród. Nie tylko ci, którzy w tej chwili sympatyzują, manifestują  
itd. Ale także ci, którzy poszli do związków, którzy poszli do  
PRON-u. To są wszystko ludzie, a przynajmniej znaczna ich

większość, którzy medalik „Solidarności” schowali głębiej i nie noszą go jawnie. Jak tylko pojawi się stosowna chwila — to oni będą. To są normalni obywatele — lepsi, czy gorsi patrioci tego kraju. O tym zapominać nie wolno. Największą klęską byłoby sprowadzenie zwolenników „Solidarności” do rozmiarów sekty.

— *Bardzo dziękuję za rozmowę.*

*Maria de HERNANDEZ-PALUCH*

## Korespondencja z Rzymu

„Solidarność” watykańska

ADLV CITTA DEL VATICANO

LE COMITE EXECUTIF DE LA CISL REUNI BRUXELLES  
LE 18 DECEMBRE ACCEPTE A UNANIMITE AFFILIATION  
ASSOCIAZIONE DIPENDENTI LAICI VATICAN AVEC EFFET  
IMMEDIAT FRATERNELLEMENT JOHN VANDERVEKEN  
SECRETAIRE GENERAL DE LA CISL INTERCONFED.

Tak brzmi dosłownie tekst historycznej depechy, w której sekretarz generalny CISL, Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych, zawiadamia o decyzji aprobującej akces ADLV, czyli stowarzyszenia świeckich pracowników Watykanu. Stowarzyszenie to, formalnie nie uznawane jako związek zawodowy, powstało kilka lat temu dla „obrony praw oraz godności człowieka i pracownika”. Prowadzi uciążliwą walkę przeciwko różnym niesprawiedliwościom, starając się — jak dotąd z mierzalnym skutkiem — o wprowadzenie nowoczesnej i ujednoliconej struktury organizacyjnej oraz uporządkowanie zaszeregowania, dotychczas nierównomiernego, w zależności od poszczególnych pionów administracyjnych, różnych kategorii pracowników. Walczy — co brzmi paradoksalnie — o realizację dyspozycji konstytucji soborowej *Gaudium et Spes* w odniesieniu do pracowników świeckich zatrudnionych w rozmaitych urzędach gubernatoratu państwa watykańskiego, względnie dykasteriach Kurii Rzymskiej (pracowników tych jest około 1.800). Od pewnego czasu stowarzyszenie wydaje drukowany biuletyn, który otrzymuje prasa, a zwłaszcza dziennikarze akredytowani przy Stolicy Apostolskiej. Zawiera on obfitą dokumentację zażeń i postulatów przedkładanych negocjatorom z ramienia pracodawcy, tzn. Watykanu. W ostatnim numerze czytamy: „fala działań konserwatywnych

zmierza do zatrzymania czasu i zaprzeczenia solidarności pracowników i ich emancypacji społecznej”. Nie mogą dojść do porozumienia ze specjalnie powołaną komisją zarządu miasta watykańskiego i Kurii (składającą się z duchownych pod przewodnictwem bpa Schotte), przedstawiciele stowarzyszenia zwrócili się o poparcie do CISL w Brukseli. Trzeba tu przypomnieć, że w grudniu ub. roku, przed decyzją o przystąpieniu ADLV do CISL, Vanderveken był przyjęty przez Jana Pawła II. Jest on skądinąd znany ze swej aktywnej postawy na rzecz „Solidarności”.

Kontestacja świeckich pracowników nie jest wymierzona w osobę papieża — przeciwnie, wychodzi z założenia generalnych linii pontyfikatu i powołuje się na przyrzeczenia zawarte w encyklice „O pracy ludzkiej”. Jan Paweł II *nota bene* sam w swych noworocznych wystąpieniach do pracowników Kurii Rzymskiej akcentuje zawsze wkład świeckich pracowników i wykazuje wrażliwość i zrozumienie dla ich interesów. Nie jest też wymierzona w kardynała Casaroligo, Sekretarza Stanu, określanego w biuletynie jako „osoba o wielkiej mądrości i poczuciu sprawiedliwości”. Polemika i to dość ostra jest wymierzona wyłącznie w czynniki odpowiedzialne za administrację watykańską.

Gazety włoskie, podając wiadomość o przystąpieniu stowarzyszenia do CISL i rychłym powołaniu do życia na terenie Watykanu Trybunału Pracy dla rozstrzygnięcia spraw spornych, określają samo stowarzyszenie jako „Solidarność watykańską”. Przypomnijmy, że kiedy Wałęsa z delegacją „Solidarności” przebywał z wizytą w Rzymie w styczniu 1981 roku, założyciele stowarzyszenia ADLV przeprowadzili z nim rozmowę i uważają go za jednego ze swych „sponsorów”.

Sytuacja w Watykanie jeśli chodzi o stosunki pracy odznacza się przegięciami klerykałnymi i anachronizmami. Panuje ponieważ wciąż model przedsoborowy. Pracownicy świeccy czują się dyskryminowani. Była już mowa o nierównomiernym zaszeregowaniu w siatce płac. W przypadku duchownych brane jest pod uwagę wyższe wykształcenie, ale nie w przypadku świeckich. Nie uwzględnia się uprzedniego stażu zawodowego i cenzusu naukowego w obrębie różnych kategorii pracowników świeckich. Prowadzi to do nonsensów tego rodzaju, że redaktor z wyższym wykształceniem i dorobkiem wydawniczym otrzymuje w obcojęzycznych edycjach *L'Osservatore Romano* płacę równą maszynistce lub korektorce. Niektóre edycje, jak np. niemiecka, które na to stać, wyrównują te niedobory z własnych źródeł krajowych. Zasada egalitaryzmu stosowana jest w sposób urągający zdrowemu rozsądkowi, nie mówiąc już o kryterium sprawiedliwości rozdzielczej, która stanowi jeden z kanonów katolickiej nauki społecznej. Zasada ta nie ma natomiast zastosowania, jeśli chodzi o stołwki: obok elitarnych dla personelu kościelnego istnieje garkuchnia dla „plebsu”, do której uczęszcza pewna część pracowników świeckich. Wywołało to już objawy buntu i sytuacja zmierza do poprawy.

Personel duchowny znajduje się w zasadzie w uprzywilejowa-

nej sytuacji, chociaż pobory — podobnie jak świecki — ma dość skromne. Liczni kapłani zatrudnieni w Watykanie korzystają z gościnności w klasztorach, gdzie wikt i opierunek mają zapewniony (płatny wprawdzie, ale na warunkach ulgowych), świeccy zaś, często obciążeni rodzinami, nie korzystają z tych ułatwień i dlatego ich zarobki są faktycznie dużo niższe. Personel duchowny ma prawo do dodatkowego urlopu na rekolekcje, korzysta z prawa do posiadania konta w IOR (bank watykański) i do zakupu bez kolejki w „Anona” czyli wielkim magazynie artykułów spożywczych, relikwie z ostatniej wojny, gdzie artykuły importowane sprzedawane są bez cła. Najważniejszy chyba mankament to brak atmosfery braterstwa pomiędzy pracownikami duchownymi i świeckimi. Brak miejsca, w którym mogliby się spotkać. Jedynym rodzajem wzajemnych relacji jest praca. Nie pomaga to we współpracy. Duch soborowy nie przeniknął jeszcze za Śpiżową Bramę. Przedstawiciele zarządu „Solidarności” watykańskiej czyli ADLV, pełnoprawnego członka CISL, mimo konfliktów i nawet napięć, patrzą jednak z optymizmem w przyszłość.

#### Watykan i Moskwa

Jezuici, jak wiadomo, przejawiają od dawna zainteresowanie dla penetracji katolicyzmu do ZSSR. Ostatnio podjęli inicjatywę zmierzającą do wzmocnienia działalności na odcinku rosyjskim. Towarzystwo Jezusowe zawiadomiło mianowicie w końcu stycznia br. o utworzeniu delegacji *pro rebus russicis*, do spraw rosyjskich. Jednym z zadań nowego organizmu ma być koordynacja pracy trzech instytucji kierowanych przez jezuitów: Papińskiego Kolegium Rosyjskiego czyli *Russicum*, Centre d'Etudes Russes w Meudon pod Paryżem i Centrum studiów marksistowskich, działającego od 1970 roku w ramach Uniwersytetu Gregoriana. *Russicum* utworzono w 1929 roku w woli Piusa XI, kiedy Watykan zrezygnował z prób porozumienia z reżimem sowieckim. Wokół tego kolegium powstało szereg legend wymieszanych z prawdą, których oś stanowiły oskarżenia sowieckie o popieranie podziemnej działalności religijnej w ZSSR. Oskarżenia te Watykan zawsze odrzucał, utrzymując, że seminarzyści *Russicum* otrzymują przygotowanie do prowadzenia apostołatu wśród Rosjan na wychodźstwie w oczekiwaniu na chwilę, kiedy będą mogli udać się swobodnie do ZSSR.

Według komunikatu Kurii Generalnej Towarzystwa Jezusowego delegacja ma także za zadanie „wzbudzanie i kultywowanie powołań na rzecz apostołatu rosyjskiego oraz kierowanie specjalną formacją jezuitów już zaangażowanych w tej dziedzinie, lub którzy się do tego przysposabiają, jak również popieranie nowych inicjatyw”. Mamy więc w rzeczy samej do czynienia z mobilizacją na polecenie generała zakonu, Peter Hansa Kolvenbacha, który najpierw w Bejrucie, a potem jako rektor Papińskiego Kolegium Wschodniego, nabył doświadczenia w zakre-

sie problematyki chrześcijańskiego Wschodu czyli prawosławia. Niektórzy twierdzą, że przez utworzenie nowego organizmu pragnął on scentralizować sektor działania skierowanego na Rosję, uzależniając go bezpośrednio od siebie. Inni uważają, że chodzi o zwrot w porównaniu z rządami sprawowanymi przez jego poprzednika, ojca Arrupe, który nie miał zainteresowania dla problematyki rosyjskiej. Jeszcze inni w tej decyzji upatrują wręcz nawrót do przeszłości, do czasów kiedy jezuitów zamykano na Łubiance lub wysyłano na Sybir. I przypominają liczne przykłady działań jezuitów na terenie Rosji z upoważnienia Watykanu. Na przykład Francuz d'Herbigny, który dokonał potajemnej konsekracji biskupów, zdemaskowanych przez NKWD w latach 20-tych, kapelan włoskiej armii Alagiani, który przesiedział kilka lat w więzieniu, Amerykanin polskiego pochodzenia Walter Ciszek, którego Chruszczow wymienił w październiku 1963 roku na szpiegów sowieckich. Ciszek, eks-seminarzysta *Russicum*, znalazł się w 1940 roku na terenie ZSSR, gdzie 15 lat spędził w więzieniu i łagrach.

Nie ma oczywiście mowy o powrocie do lat 20-tych i 30-tych. Kontakty pomiędzy Stolicą Apostolską i Moskwą są dziś jawne i stosunkowo liczne. Utworzenie delegacji *pro rebus russicis*, za zgodą watykańskiego Sekretariatu Stanu, wynika z sumy różnych motywów. Jednym z nich jest rzeczywista konieczność scentralizowania aktywności na odcinku rosyjskim. Służy to jezuitom do celów zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych i kładzie kres inicjatywom autonomicznym. Służy przede wszystkim Watykanowi, który z uwagi na profil obecnego pontyfikatu jest bardziej niż kiedykolwiek zainteresowany w problematyce wschodniej, dążąc do polepszenia stosunków z Moskwą po to, by poprawić położenie katolickich wspólnot na terenie ZSSR i w innych krajach bloku. Od pewnego czasu odżyła Komisja „Pro Russia”, organ Kurii Rzymskiej, składająca się z trzech arcybiskupów, a która była pogrążona w długotrwałym letargu. Koordynuje ona wszelkie poczynania w zakresie wyznaniowej problematyki sowieckiej, do czego służy m.in. w pierwszym etapie przygotowanie dokumentacji „aggiornata” (uaktualnionej), umożliwiającej poruszanie się w tej sferze. Drugi etap przewiduje przygotowanie stosownych wniosków odnoszących się do konkretnych potrzeb duszpasterskich, a więc m.in. postulatów dotyczących obsady stolic biskupich. Wszystko to wiąże się z planami minimalnej choćby poprawy sytuacji Kościoła w różnych republikach i rejonach ZSSR. Wiąże się w sposób istotny z zamysłem Jana Pawła II udania się na Litwę, dokąd droga — lotnicza i polityczna — prowadzi przez Moskwę. Wymaga to wysiłku wyobraźni i konkretnych posunięć na płaszczyźnie operatywnej.

#### Przygrywka do wizyty Gorbaczowa

W wigilię wyjazdu do Indii Jan Paweł II przyjął w Sali Konsystorskiej słynny sowiecki chór Pjatnicki'go, który odbywał

*tournée* po Włoszech. Pierwotnie projektowano, że ten zespół folklorystyczny wystąpi na środowowej audiencji generalnej. Papież jednak chciał, by to nastąpiło na osobnym, uroczystym spotkaniu. Tym samym duża grupa osób z ZSSR (98) była po raz pierwszy przyjęta w jednej z sal Pałacu Apostolskiego. W marcu 1982 roku występowali przed papieżem artyści cyrku moskiewskiego. Miało to jednak miejsce na placu św. Piotra podczas audiencji generalnej. Przedstawiciel chóru oświadczył na wstępie: „spełnia się dziś nasze marzenie wystąpienia przed papieżem”. Jan Paweł II w dłuższej wypowiedzi po rosyjsku dziękował uczestnikom zespołu za wizytę i wyraził uznanie dla ich artystycznego kunsztu. „Wasza działalność — powiedział — zasługuje na aplauz za wkład do coraz lepszej znajomości wielkich walorów zakorzenionych głęboko w duszy rosyjskiej”. Życzył im, by „ich brawura wykonawcza przynosiła pożytek podnoszeniu ducha i uczuciom dobroci, miłości i powszechnego braterstwa”. Uniknął akcentów religijnych i udzielenia błogosławieństwa. Po tej wypowiedzi chór wystąpił ze znanymi pieśniami „Trojka” i „Kalinka” przy akompaniamencie bałajki i harmonii. Papież witał się serdecznie z członkami chóru i rozdawał autografy, co telewizja skrzętnie pokazała. Członkowie chóru otrzymali podarunki okolicznościowe: mężczyźni — pamiątkowe medale pontyfikatu, kobiety — różaniec. Uczestnicy tej niezwyklej audiencji nie ukrywali wzruszenia.

Ta audiencja była niewątpliwie na rękę Moskwie w obecnej „ofensywie uśmiechu”. Była także wygodna dla Watykanu jako *sui generis* przygrywka do sprzyjającego klimatu przed ewentualną, bardzo prawdopodobną wizytą Gorbaczowa. Nastąpi to kto wie czy nie już na wiosnę tego roku, w związku z oficjalną, przewidzianą wizytą Gorbaczowa we Włoszech na zaproszenie premiera Craxiego. Dokładny termin tej wizyty nie jest jeszcze ustalony. Kiedy ta wizyta dojdzie do skutku, nie ulega wątpliwości, że Gorbaczow spotka się również z Janem Pawłem II. Panuje zresztą zwyczaj, że szefowie państw lub rządów, nawet jeśli dany kraj nie utrzymuje stosunków dyplomatycznych ze Stolicą Apostolską, składają wizytę Ojcu Świętemu przy okazji oficjalnego pobytu w Rzymie. Musi jednak dojść do uprzedniego uzgodnienia punktów rozmowy. Pewien rekonesans w sprawie spotkania Jana Pawła II z Gorbaczowem został już przeprowadzony.

#### Kolokwium rzymskie

Pod koniec stycznia odbyło się tu międzynarodowe kolokwium na temat Kościoła i społeczeństw chrześcijańskich w Europie środkowo-wschodniej i północnej w XIV i XV wieku. W tym sympozjum uczestniczyli mediewiści polscy, węgierscy, francuscy i włoscy, a także uczeni z Niemiec, Skandynawii i Jugosławii. Głównym organizatorem była Ecole Française de Rome, jak brzmi historyczna nazwa francuskiego ośrodka naukowego w

Wiecznym Mieście. Współorganizatorem był Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej przy Fundacji Jana Pawła II, którym kieruje od przeszło roku ruchliwy ks. Marian Radwan z KUL-u. W trzydniowych obradach wzięli udział m.in. prof. A. Gieysztor i prof. J. Kłoczowski. Wśród zaproszonych prelegentów znajdowali się prof. B. Geremek, który jednak nie przyjechał z powodu odbytej niedawno operacji oraz prof. H. Samsonowicz, b. rektor Uniwersytetu Warszawskiego, i prof. J. Wiesiołowski z Instytutu Historii PAN, którym odmówiono paszportu. Nadesłali jednak swe referaty: Geremek na temat chrystianizacji wsi i kultury ludowej, Samsonowicz o życiu religijnym w miastach bałtyckich, Wiesiołowski o rekrutacji i formacji umysłowej kleru polskiego. Odmówiono pozwolenia na przyjazd wybitnemu mediewiście czeskiemu, prof. Smahelowi z Pragi, który przysłał referat na temat reformy husyckiej jako zapowiedzi ekumenizmu pomiędzy Wschodem i Zachodem.

Pierwsze referaty na temat chrystianizacji Litwy i związków polsko-litewskich wygłosili prof. Gieysztor i ks. Rabikauskas, litewski jezuita mieszkający w Rzymie. Ten dwugłos był bardzo ważny. W początkach tego roku wypada bowiem 600-lecie chrztu Jagiełły i jego małżeństwa z królową Jadwigą (jubileusz 600-nej rocznicy chrztu Litwy będzie obchodzony w 1987 roku). Bezpośrednią okazją odbycia tego kolokwium było ukazanie się II-go tomu monumentalnej publikacji „Bullarium Poloniae”, wydanego przez Ecole Française de Rome przy współpracy Instytutu Kultury Chrześcijańskiej, PAN-u i KUL-u. Wydawnictwo to, niezwykle ważne dla nauki polskiej i międzynarodowej, poświęcone bullom papieskim skierowanym do Polski i polonikom w archiwach watykańskich — istna kopalnia bibliografii dla badaczy — jest opracowane przez Irenę Sułkowską-Kuraś i Stanisława Kurasia z Instytutu Historii PAN, którzy zaczęli już pracę nad trzecim tomem.

Jak pisze prof. J. Kłoczowski w artykule przeznaczonym dla *L'Osservatore Romano*, ważnym rezultatem kolokwium było „stwierdzenie dynamizmu i żywotności rozwoju krajów Europy środkowo-wschodniej, stanowiących dotąd jakby peryferie chrześcijaństwa zachodniego, ale od XIV i XV wieku włączonych już w pełni w życie tego kręgu cywilizacyjnego”. Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej w Rzymie przygotowuje tymczasem sympozjum międzynarodowe przewidziane na kwiecień bież. roku przy udziale Papieskiej Rady d/s Kultury na temat dziedzictwa chrześcijańskiej kultury europejskiej w świadomości współczesnej.

Dominik MORAWSKI

9 lutego 1986 r.

*Errata:* przysłowiowy chochlik drukarski spletał figla w mej korespondencji w nr. 1/2, 1986. Na stronie 148 zamiast „komunizm narodów bogatych...” powinno być „konsumizm...”.

## SOWIECKA ROPA

Kryzys naftowy dopiero teraz dociera do Związku Sowieckiego i w coraz poważniejszym stopniu zaczyna ciążyć nad gospodarką. Według francuskiej *Libération* z 3 lutego br., wydobycie ropy od 1984 roku systematycznie maleje (rekordowy był rok 1983, kiedy Rosjanie stali się największym producentem na świecie), w zeszłym roku aż o 6,4 %, czego skutkiem jest postępujący deficyt handlowy z krajami zachodnimi — około miliarda rubli.

Prawdziwą klęską dla Kremla jest obniżka cen światowych, ostatnio do około 20 dolarów za baryłkę, gdy jeszcze niedawno, w styczniu, Rosjanie z bólem godzili się na cenę 27 dolarów, co spowodowało zawieszenie sprzedaży ropy sowieckiej na Zachód. Z lokomotywy gospodarki ZSSR stała się nafta jej piętą Achillesa.

Prawdziwe przyczyny leżą jednak głębiej, w niewydolności technologicznej i braku morale pracy oraz w dezorganizacji przemysłu naftowego. W najważniejszym z gospodarczego punktu widzenia zagłębiu syberyjskim (Tju-meń) szyby są ponad pięć godzin w ciągu dnia nieczynne z braku części do maszyn i z powodu nieustannych reperacji, co przeciętnie przynosi około 400-500 godzin dziennych strat.

Sowieccy specjaliści sami zresztą wskazują, gdzie tkwią źródła kryzysu: brakuje zaawansowanej technologii wydobycia i brakuje komputerów, które umożliwiają koordynację poszukiwań ropy i jej wydobywania.

## OKUPACJA FINANSOWA

1.384 mld marek kosztuje zachodniemieckiego podatnika utrzymanie 10 tysięcy żołnierzy alianckich stacjonujących w Berlinie Zachodnim. Sumę tę podał poseł do Bundestagu Hubert Kleinert (z partii „Zielonych”), ujawniając tym głęboko skrywane tabu budżetu federalnego. Poufność problemu polega na tym, że miliony marek odpłacają nie tyle podtrzymanie statusu wojsk amerykańskich, brytyjskich czy francuskich, ile rosnące przywileje osobiste. Na przykład każdy oficer angielski może zatrudnić na koszt Republiki Federalnej Niemiec służącego, mieszka za darmo i co więcej każe sobie odpłacać stajnie i konie pod wierzch. Na same meble wydane zostały w tym roku 28 milionów, na materiały biurowe 14 milionów, a dodatek zagraniczny, który wynosi obecnie 110 milionów marek, ma już wkrótce zostać powiększony.

Jeżeli do tego dodać, że według bońskiej *Die Welt* utrzymanie więźnia w Spandau, w którym przebywa od lat jedyny więzień Rudolf Hess (rocznik 1894) wymaga 2,4 miliona marek rocznie, to koniecznym staje się przemyślenie fikcji polityczno-prawnych, jakie z woli aliantów ciąży nad Niemcami Zachodnimi, a w szczególności nad Berlinem.

Sprawy i troski

## POLCUL FOUNDATION

## ROZMOWA Z JERZYM BONIECKIM

Celem lepszego zapoznania się z działalnością POLCUL FOUNDATION wiceprezes Stowarzyszenia Młodych Polaków w Wiktorii Wojciech ZAGAŁA przeprowadził rozmowę z Jerzym BONIECKIM — dyrektorem POLCUL FOUNDATION.

Wojciech ZAGAŁA: — Poznaliśmy się przy okazji Pana wizyty w Melbourne...

Jerzy BONIECKI: — Tak, byłem tam ostatnio z odczytem o działalności Fundacji POLCUL. Spotkanie, zorganizowane przez Stowarzyszenie Młodych Polaków w Wiktorii, połączone było z pokazem filmu video „Kultura”.

W.Z.: — Musiał Pan być przekonujący, skoro już na sali zgłosili się nowi członkowie wspomagający. Stowarzyszenie również zapowiedziało swój akces do Fundacji. Czy może Pan nam powiedzieć jak doszło do utworzenia Fundacji POLCUL?

J.B.: — Znalazł się człowiek, który wyraził zamiar pozostawienia w spadku około \$ 200.000 — na cele pomocy w rozwoju niezależnej kultury polskiej w kraju. Zwrócono się do tej osoby, że skoro gotowa jest do tego kroku, to czy nie można by uruchomić tych środków już obecnie. Człowiek ten wyraził zgodę...

W.Z.: — A co sprawiło, że Pan zaangażował się w działalność POLCUL'u?

J.B.: — Mój osobisty udział w założeniu i poprowadzeniu Fundacji był warunkiem udostępnienia środków.

W.Z.: — Kim jest osoba fundatora?



J.B.: — Człowiek ten chciałby zachować incognito. Mogę tylko dodać, że wywodzi się z emigracji po październiku 1956 i że miałby komu zostawić ten spadek.

W.Z.: — *W jaki sposób Fundacja pomaga w rozwoju niezależnej kultury w kraju?*

J.B.: — Udzielamy jednorazowych wyróżnień w wysokości od \$ 500 do \$ 1.000.

W.Z.: — *Nie wszyscy orientują się w historii i osiągnięciach Fundacji. Jakie są założenia programowe POLCUL FOUNDATION, kto zgłasza kandydatów i kto decyduje o przyznaniu wyróżnień?*

J.B.: — Fundację POLCUL założyliśmy w roku 1980. Projekt wyłonił się na pół roku przed powstaniem „Solidarności”. Zasady działania opracowane zostały w porozumieniu z ofiarodawcą, kilkoma członkami przyszłego jury Fundacji oraz osobą z kraju, która mogła przedstawić cenne dla nas uwagi. Pragnę podkreślić, że już wtedy skontaktowaliśmy się z redakcją *Kultury* w celu zasięgnięcia rady, no i naturalnie opinii.

Celem Fundacji jest wyróżnianie indywidualnych osób w Polsce czynnie zaangażowanych w rozwój niezależnej kultury polskiej (w dziedzinie nauki, literatury, sztuki czy innej) lub w ruchu praw człowieka i obywatela (niezależnych związków zawodowych, niezależnych związków chłopskich lub innych). Jednocześnie wyróżniane być mogą, z krajów sąsiadujących z Polską lub związanych z nią wspólnym losem, osoby szczególnie zasłużone dla rozwoju niezależnej kultury polskiej.

Fundacja stawia sobie zadania długofalowe. Dlatego widzimy konieczność udziału w pracach Fundacji młodszego pokolenia — naturalnie z udziałem i przy współpracy starszej emigracji. Praktycznym wyrazem tej zasady jest fakt, że dwaj pozostali dyrektorzy Fundacji — socjolog Jan Pakulski i adwokat Krzysztof Nadolski reprezentują pokolenie poniżej lat czterdziestu.

Dla osiągnięcia celów Fundacji krytyczne znaczenie ma także skład jury, które w procesie tajnego głosowania decyduje o przyznaniu wyróżnień. I tu również staraliśmy się o reprezentatywność i zapewnienie równowagi pomiędzy starszym i młodszym pokoleniem emigracji. Wśród członków jury znajdzie Pan zarówno Jerzego Giedroycia, Jana Nowaka czy Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, jak i Stanisława Barańczaka, Mirosława Chojeckiego czy Eugeniusza Smolara.

Kandydaty do wyróżnień nadsyłane są z kraju przez osoby indywidualne lub instytucje. Mogą one także pochodzić od członków jury. Wyróżnienia przyznawane są raz do roku, jak już powiedziałem drogą tajnego głosowania. W tym roku spodziewamy się wyróżnić 50 do 60 osób; oczywiście otrzymaliśmy znacznie więcej kandydatów — jesteśmy ograniczeni środkami jakie w tej chwili mamy do dyspozycji.

W.Z.: — *Czy Panowie, jako dyrektorzy Fundacji opiniują kandydaty?*

J.B.: — Nie, nie uważamy się za powołanych do tego rodzaju ocen. Natomiast próbujemy upewnić się, że kandydat nie otrzymał wyróżnienia już poprzednio. Nawiasem mówiąc, od roku 1982 zgłoszenia poszczególnych kandydatów opatrzone są godłem, a nie nazwiskiem. W ten sposób staramy się zagwarantować poufność informacji.

W.Z.: — *Czy można jednak w jakiś sposób zorientować się kto właściwie otrzymuje wyróżnienia — ale imiennie?*

J.B.: — W pewnym sensie tak. W pierwszym roku działalności zwróciliśmy się do wszystkich 32 wyróżnionych osób z zapytaniem, czy wyrażają zgodę na opublikowanie ich nazwisk. W ówczesnych warunkach wszystkie te osoby udzieliły zgody i lista ta była opublikowana w *Kulturze*. Nie możemy jednak publikować nazwisk osób wyróżnionych od czasu wprowadzenia stanu wojennego.

W.Z.: — *Ile osób obejmuje lista dotąd wyróżnionych?*

J.B.: — W roku 1985 będziemy udzielać wyróżnień po raz piąty. Do tej pory wyróżniliśmy ponad 150 osób. Łączna wartość wyróżnień wyniosła około \$ 80.000.

W.Z.: — *A jak wygląda rozkład wyróżnień w przekroju środowisk kulturotwórczych?*

J.B.: — Proszę bardzo — informację o tym zamieściliśmy w *Kulturze* (nr 3/450) z 1985 roku. Dla przykładu podam, że spośród 62 osób wyróżnionych przez fundację w roku 1984 najliczniejszą grupę stanowili pracownicy prasy i wydawnictw (17), następnie pracownicy społeczni i oświatowi (14), pracownicy naukowci (10), dziennikarze (7), aktorzy (7), poeci i pisarze (4).

W.Z.: — *Jakie są afiliacje polityczne POLCUL FOUNDATION?*

J.B.: — Fundacja nie jest politycznie związana z żadną organizacją.

W.Z.: — *Czy działalność Fundacji wzbudziła zainteresowanie Federacji Polskich Organizacji w Australii? Czy otrzymaliście propozycje współpracy bądź pomocy?*

J.B.: — Niestety nie.

W.Z.: — *Wróćmy do systemu nominacji kandydatów do wyróżnień. W jaki sposób powstaje lista kandydatów?*

J.B.: — Ogromna większość nominacji pochodzi z kraju i docierają do nas różnymi drogami. Nadsyłane przez osoby indywidualne, grupy w kraju, a także przez członków jury mają one z pewnością w jakimś stopniu charakter przypadkowy. Widzimy jednak, iż w dużym stopniu odzwierciedlają pluralistyczny cha-

rakter ruchu niezależnej kultury w kraju. Z satysfakcją odnotowujemy także, iż obok ośrodków wielkomiejskich otrzymujemy kandydaty z mniejszych ośrodków, z natury rzeczy mniej znanych.

W.Z.: — *W głosowaniu jurorów mogą odegrać rolę sympatie bądź osobieście dla kandydata, bądź też dla tego nurtu niezależnej kultury, który on reprezentuje. Mogą też dojść do głosu i antypatie...*

J.B.: — Najlepszą gwarancją sprawiedliwego głosowania jest pluralizm jury. Jak już wspomniałem, staramy się, aby skład jury był i autorytatywny i zarazem reprezentatywny.

W.Z.: — *A właśnie, czy w okresie działania Fundacji zaszły zmiany w składzie jury?*

J.B.: — Owszem, dwóch członków jury nie potrafiło w terminie wywiązać się z zobowiązań. Na ich miejsce dokooptowaliśmy dwie nowe osoby: Stanisława Barańczaka z Harvardu i Mirosława Chojeckiego z Paryża. Dodam tutaj, że tak jak z zasady wyróżniamy tylko osoby mieszkające w kraju, tak i zasadą jest, że członkowie jury przebywają na emigracji. O tej drugiej zasadzie zdecydowały praktyczne względy sprawnej i nieskrępowanej komunikacji.

W.Z.: — *W jaki sposób dochodzi do wyłonienia listy wyróżnionych?*

J.B.: — Raz do roku lista kandydatów do wyróżnień wraz z uzasadnieniami przesyłana jest do oceny jurorów. Każdy z nich, niezależnie od innych, ocenia kandydaty posługując się skalą punktową od 0 do 3. Dyrekcja Fundacji komisyjnie oblicza punkty i porządkuje listę kandydatów w zależności od ilości punktów uzyskanych przez kandydata.

Po ustaleniu jaka suma pozostaje w dyspozycji Fundacji w danym roku decydujemy o ilości przyznanych wyróżnień i przyznajemy je grupie kandydatów znajdujących się na przedzie listy.

W.Z.: — *Wspomniał Pan poprzednio, że w ciągu ubiegłych kilku lat Fundacja przyznała wyróżnienia na łączną sumę około \$ 80.000. Co złożyło się na tę kwotę?*

J.B.: — Głównie odsetki od zainwestowanego kapitału. Z tego względu nasz budżet dotychczas wygląda podobnie z roku na rok. Do sumy odsetek dochodzą indywidualne wpłaty członków wspomagających w postaci \$25 rocznie. Większość naszych członków mieszka w Australii, ale są także mieszkańcy Nowej Zelandii, Anglii i USA. Otrzymujemy także jednorazowe przekazy na rzecz Fundacji, czasem anonimowe. Ostatnio powiadomieni zostaliśmy o zapisie testamentowym z Sydney.

W.Z.: — *Czy dary i zapisy na rzecz POLCUL FOUNDATION mogą być dla celów podatkowych odliczone od dochodu wpłacającego?*

J.B.: — Zależy to oczywiście od przepisów obowiązujących w kraju, z którego wpłata pochodzi. W Australii nie ma obecnie podatku spadkowego. Natomiast dary osób żyjących, w szczególności większe kwoty wpłacane na rzecz naszej Fundacji mogą korzystać z zasady tzw. *tax deductability*. W tej sprawie należy się każdorazowo porozumieć z dyrekcją Fundacji przed dokonaniem wpłaty.

W.Z.: — *Czym tłumaczy Pan stosunkowo skromną liczbę członków wspomagających Fundacji?*

J.B.: — Fundacja nie jest dostatecznie znana. Co prawda ukazywały się informacje o działalności Fundacji oraz o przyznanych wyróżnieniach w *Kulturze*, *Aneksie*, *Wiadomościach Polskich* i *Tygodniku Polskim*, jednakże komunikaty nie są dostateczną formą popularyzowania celów Fundacji. Dlatego też organizujemy obecnie spotkania publiczne połączone z projekcją filmu o „*Kulturze paryskiej*”. Wydaje się, że bezpośrednia dyskusja nad formami działania Fundacji jest w stanie przybliżyć ideę Fundacji szerszemu społeczeństwu. Spotkania takie odbyły się już w Melbourne, a także w Hobart, Canberra i w Sydney. W niedługim czasie planujemy zorganizowanie podobnych wieczorów w innych miastach Australii oraz w Wellingtonie, w Nowej Zelandii.

W.Z.: — *Wieczór w Melbourne zdawał się wskazywać, że Fundacja budzi zainteresowanie szczególnie wśród najnowszej emigracji...*

J.B.: — Cele Fundacji są bardziej dla nich oczywiste, bliższe ich własnym doświadczeniom i przeżyciom. Jednakże to osoby od dawna osiadłe w Australii i innych krajach zachodnich mogłyby się najbardziej przyczynić do wzmocnienia funduszy. Znaczne zwiększenie działalności Fundacji będzie bowiem możliwe w wypadku otrzymania większych darów lub zapisów (np. zapisów testamentowych). Wiele osób po kilkunastu czy kilkudziesięciu latach życia na emigracji posiada majątek, który składa się przynajmniej z własnego domku czy działki. Przy obecnych cenach wyraża się to wartością kilkudziesięciu tysięcy dolarów lub nawet więcej. Wiadomo jest, iż dla osób nie posiadających rodziny w Polsce lub kraju swego osiedlenia powstaje problem zapisu testamentowego. Jakże pięknym i trwałym gestem będzie przeznaczenie życiowego dorobku na pomoc tym ludziom w Polsce, którzy przyczyniają się do utrzymania i rozwoju niezależnej kultury narodowej. POLCUL FOUNDATION stanowi instytucję gwarantującą tego rodzaju działalność. Dla osób pragnących umożliwić własnej rodzinie korzystanie z życiowego dorobku, przeznaczenie na rzecz Fundacji kilku czy

kilkunastu tysięcy dolarów nie uszczuplił w poważny sposób zapisu na rzecz rodziny. Jednocześnie zaś da testatorowi poczucie dobrze spełnionego obowiązku wobec własnego kraju, w którym życie i praca przez długi czas jeszcze wymagać będą od ludzi wyrzeczeń, poświęcenia i niejednokrotnie dużej osobistej odwagi.

To co powiedziałem nie podważa w żadnym razie znaczenia składek od członków wspomagających Fundacji. W chwili obecnej roczna składka członkowska wynosi \$25. A zatem dwudziestu członków wspomagających jest w stanie ufundować jedno wyróżnienie. Biorąc pod uwagę żywe zainteresowanie najnowszej emigracji oraz fakt, że w ostatnich latach osiedliło się w Australii około 15.000 Polaków dostrzegamy tu potencjał rozwoju.

W.Z.: — *Podczas spotkania w Melbourne padło pytanie „dlaczego działa POLCUL FOUNDATION skoro istniał równoległe fundusz LET POLAND LIVE”?*

J.B.: — „Let Poland Live” był funduszem *ad hoc*, czasowym, o przeznaczeniu charytatywnym. Odbiorcą mógł być każdy bez względu na stopień zaangażowania. Nasza działalność jest stała i ukierunkowana na rzecz osób zaangażowanych w tworzenie i obronę niezależnej kultury polskiej.

Przy tej okazji niech mi wolno będzie powołać się na artykuł Jana Nowaka „Polska 1985 — Co robić?”, który ukazał się w sierpniu w londyńskim *Tygodniu Polskim*. Podkreśla on, że ludzie uwięzieni lub wyrzuceni z pracy za swą działalność wciąż mogą liczyć na to, że nie zginą, bo znajdą się tacy, którzy na to nie pozwolą. W miarę jednak pogarszania się warunków materialnych i zaostrzania terroru ciężar ten staje się nie do wytrzymania nawet dla tych, którzy gotowi są odjąć sobie kęs chleba od ust, aby podzielić się z potrzebującym. Aby przełamać opór inteligencji i robotników odbiera się ludziom niezależnym środki egzystencji obdarzając równocześnie nagrodami konfidentów. Jan Nowak podkreśla, że ofiarność Polaków na obczyźnie musi nie tylko wzrosnąć ale być ukierunkowana przede wszystkim na wspieranie działaczy i „szeregowych ludzi” prześladowanych politycznie.

W.Z.: — *Czy na terenie Australii udało się Panu pozyskać znane osobowości dla działalności Fundacji?*

J.B.: — Należy tu w pierwszym rzędzie wymienić prof. J. Zubrzyckiego z A.N.U. oraz dr. J. Besemeresę z Uniwersytetu Macquarie w Sydney, który rozwinął tam i prowadził przez kilka lat studium polskie.

W.Z.: — *W jaki sposób powinny być dokonywane zapisy na rzecz Fundacji?*

J.B.: — Zasadniczo mamy tu do czynienia z dwoma sytuacjami

tj. bezpośrednią darowizną oraz zapisem testamentowym. Jeśli chodzi o pierwszy wypadek to wpłaty mogą być dokonywane czekiem przesłanym na adres Fundacji lub też przekazem na konto No. 751989 w Westpac Banking Corporation, Rose Bay, 2029, Australia.

W przypadku zapisu testamentowego potrzebne jest sporządzenie formalnego testamentu — najlepiej przez adwokata. Każda wpłata jest naturalnie kwitowana. Dla ofiarodawców udostępniamy do wglądu kopię dokumentu inkorporacji POLCUL FOUNDATION.

W.Z.: — *Czy widzi Pan osoby czy grupy osób, które mogłyby bardziej aktywnie niż do tej pory uczestniczyć w pracach Fundacji?*

J.B.: — Widzę dwie takie grupy. Pierwszą z nich określiłbym mianem naszych ambasadorów. Mam tu na myśli osoby, które nie są w stanie w chwili obecnej przyczynić się finansowo do wspomnienia Fundacji, ale którym idea ta jest bliska i godna poparcia. Wydaje mi się, że wiele osób z najnowszej emigracji mogłoby zaliczyć się do tej kategorii. Z drugiej strony mam na myśli naszych fundatorów, którzy są w stanie i chcieliby przez darowizny i zapisy testamentowe przyczynić się do zwiększenia liczby wyróżnień udzielanych przez Fundację. W sposób naturalny widzę tu przedstawicieli Polonii osiadłej w Australii i innych krajach od dawna.

W.Z.: — *Jak widzi Pan działalność Fundacji w panoramie życia emigracyjnego?*

J.B.: — Emigracja rozwija zasadniczo dwojakiego rodzaju działalność: tę, która jest ukierunkowana na zaspokojenie potrzeb lokalnej wspólnoty na wychodźstwie oraz taką, której zadaniem jest bezpośrednia pomoc krajowi. Mieścimy się w tym drugim nurcie.

W.Z.: — *Czy otrzymujecie informacje jak odbierane są wyróżnienia w kraju?*

J.B.: — Oczywiście. Wyróżnienia są kwitowane przez zainteresowane osoby. Niezależnie od tego otrzymujemy szereg listów od osób wyróżnionych. Nie muszę Panu mówić, że często jest to wzruszająca lektura.

Wykorzystujemy również okazje jaką są wizyty za granicą osób zorientowanych w aktualnej sytuacji w kraju, a szczególnie w położeniu ludzi zaangażowanych w ruch niezależnej kultury.

W.Z.: — *W dyskusji na temat pomocy można spotkać się z argumentem, że pomoc często demoralizuje, że stwarza złudne nadzieje i złudne poczucie bezpieczeństwa. Jednocześnie wyrażane są obawy, że daleko posunięta pomoc finansowa z Zachodu stwa-*

rza jakby „zawód” opozycjonisty — w domyśle nie do końca autentyczny.

J.B.: — Proszę Pana, mówimy o konkretnym kraju, tj. Polsce roku 1985. A więc o sytuacji, w której państwo ma daleko posunięty monopol na rynku pracy i na udzielanie zleceń, z których żyją twórcy kultury. Jak już wspominałem wcześniej, nie waha się używać tych możliwości dla zmuszania do współpracy opornych. Pomoc udzielana przez emigrację tworzy tu jedynie alternatywę. Niestety, w moim przekonaniu wciąż niewystarczająca.

Jeśli chodzi o działania nieautentyczne, to wydaje mi się, że skutecznie broni nas przed tym rzetelny system nominacji. A tak w ogóle, to zawsze znajdują się osoby, które będą wolały raczej nic nie robić, niż przyjąć jakiegokolwiek ryzyko, że coś może się nie udać.

W.Z.: — *Największe nadzieje, jeśli chodzi o Fundację...*

J.B.: — Jeśli chodzi o następny rok, to pozyskanie grupy „ambasadorów”, którzy pomogliby w popularyzacji idei i zasad działania POLCUL FOUNDATION. Osiągnięcie rocznego dochodu w wysokości \$ 50.000 - \$ 60.000 umożliwiłoby udzielenie około 100 wyróżnień.

W.Z.: — *W imieniu Stowarzyszenia Młodych Polaków w Wiktorii serdecznie życzę realizacji tych planów i dziękuję za rozmowę.*

Listopad 1985

**W A W E L**  
**PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA**  
 w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

## Kraj

### Do moich kolegów z IBL

Moi Drodzy Przyjaciele!

W dniu 31 października przestałem pracować w Instytucie Badań Literackich. Ponieważ decyzja, czy będę nadal pracować z Wami czy nie, należała ostatecznie, jak się okazało, do mnie, myślę, że godzi się, abym wyjaśnił Wam jej powody. Wiecie, co wydarzyło się w Instytucie w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Ponieważ jednak ten list będą zapewne czytali również i ci, którzy nic na ten temat nie wiedzą, pozwólcie, że opowiem — jak najkrócej — co się wydarzyło. Postaram się Was nie znudzić i będę się streszczać. Pracowałem w Instytucie dwadzieścia lat. 1 listopada 1965 roku Stefan Żółkiewski przyjął mnie do swojej pracowni. Dyrektorem Instytutu był wtedy wspaniały Kazimierz Wyka. Co sądzę o Instytucie i o tych dwudziestu latach, które w nim przepracowałem, powiedziałem przed dwoma laty, dziękując Radzie Naukowej za nadanie mi stopnia doktora habilitowanego. W dwóch zdaniach powtórzę, co wówczas powiedziałem. Uważam, że Instytut jest w kulturze polskiej miejscem niezwykłym: napisano w nim kilka książek, które — myślę — na zawsze pozostaną w naszej literaturze i jest to oczywiście najważniejszy powód do jego chwały. Co do mnie, to uważam, że gdybym nie przepracował tych dwudziestu lat w Instytucie, to nie tylko nie napisałbym tych książek, które napisałem, ale byłbym dziś kimś całkiem innym, niż jestem. Dwadzieścia lat pracy z najwybitniejszymi polskimi historykami literatury, z najwybitniejszymi ludźmi polskiej humanistyki: no, trzeba być kretyńcem, żeby nie spostrzec, jaki z tego się ma, jaki z tego można mieć duchowy pożytek. Miałem z tego nie byle jaki duchowy pożytek.

W końcu roku 1984 dyrektorem Instytutu Badań Literackich został Witold Nawrocki. Niewiele o nim wiem, poza tym, co wiedzą wszyscy: to człowiek, który rozwiązywał Związek Literatów Polskich. W lipcu tego roku nowy dyrektor Instytutu wyrzucił mnie z pracy. „Z dniem 31 października 1985 roku rozwiązuję z Obywatelstwem umowę o pracę za uzgodnionym wypowiedzeniem od dnia 1 sierpnia 1985 roku”. I tak dalej. W wypowiedzeniu podano jego podstawę prawną. Przyczyna, dla której zostałem wyrzucony, nie została ujawniona. W liście do sekretarza naukowego Polskiej Akademii Nauk wystąpiliście wtedy w mojej obronie. A także w obronie Jana Walca, który został wyrzucony z pracy razem ze mną. Moi drodzy, nie muszę Wam chyba mówić, jak bardzo poruszyło mnie to, co uczyniliście i jak bardzo byłam Wam za to wdzięczny. Zdawałem sobie przecież sprawę, czym ryzykujecie. Choć, po namyśle, wypada chyba jednak uznać Wasz gest za całkiem oczywisty. W ciągu tych szesnastu miesięcy, które upłynęły między sierpniem roku 1980 a grudniem roku 1981, postanowiliśmy sobie przecież, że będziemy solidarni. Wierzę, że już zawsze tak będzie. Równocześnie z tym Waszym listem i ja skierowałem list do sekretarza naukowego Akademii. Wy pisaliście w swoim liście, że decyzja usunięcia mnie z pracy nie była wsparta „żadnymi uzasadnieniami merytorycznymi” oraz nie była poprzedzona „nawet jakąkolwiek próbą przedstawienia zarzutów ludziom, przeciw którym została podjęta”. Ja w moim liście napisałem, że „nie ma żadnych przyczyn, które by tę decyzję mogły uzasadniać” i prosiłem o poinformowanie mnie, „dlaczego zostałem wyrzucony z pracy”. Dodałem też jednak, że zwracam się o to wyjaśnienie, „ponieważ, jak mogę przypuszczać, decyzja dyrektora Instytutu karze mnie utratą pracy za poglądy zawarte w moich książkach”. Było bowiem dla mnie zupełnie jasne — a myślę, że i dla wszystkich było to zupełnie jasne — dlaczego zostałem wyrzucony z pracy. Ta nieujawniona przyczyna była — i jest nadal — całkiem jawna. W roku 1984 wydałem jednocześnie w Instytucie Literackim w Paryżu i w wydawnictwie „NOW-a” powieść „Rozmowy polskie latem 1983 roku”. Kto tę książkę czytał, wie, co myślę o tym, co się dzieje w Polsce. Pozwólcie, że na chwilę odbiegnę od tematu i skorzystam z okazji, by powiedzieć, co następuje: zawsze pisałem to, co chciałem i drukowałem to, co pisałem, tam gdzie chciałem. I nadal będę tak robić. Jest to zresztą zupełnie oczywiste i żaden pisarz w żadnej sytuacji nie może odstąpić od tej zasady, jeśli nie chce się sprzeniewierzyć swemu powołaniu. Lub tak powiem, bo może to zbyt patetycznie zabrzmiało: jeśli nie chce zrezygnować z samego siebie.

Ale wracam do rzeczy. Na mój list do sekretarza naukowego

Akademii otrzymałem w sierpniu odpowiedź informującą mnie, że nie znalazł on podstaw do uchylenia decyzji dyrektora Instytutu „po wnikliwym zbadaniu sprawy, zasięgnięciu opinii Sekretarza Wydziału I Nauk Społecznych i zapoznaniu się z wnioskami wynikającymi z przeglądu kadrowego”. Odpowiedź na moje pytanie, dlaczego wyrzucono mnie z pracy, nie została mi udzielona. Jawna przyczyna nadal pozostawała nieujawniona. Okazało się jednak niebawem, że bardzo się myliłem sądząc, że zostałem wyrzucony z pracy za to, że piszę to, co piszę i drukuję to, co piszę tam, gdzie chcę. 24 września na konferencji prasowej dla dziennikarzy zagranicznych zabrał w tej sprawie głos rzecznik prasowy rządu. „Jak mi wyjaśniono — oświadczył — p. Rymkiewicz zwolniony został ponieważ jakość wyników jego badań oraz tempo pracy pozostają w bardzo jaskrawej sprzeczności z wymaganiami istniejącymi w każdej placówce naukowej. (...) Przy czym u p. Rymkiewicza chodzi o to, że książki które on publikował mają charakter literacki nie naukowy, co nie uzasadnia utrzymywania go na etacie w instytucie badawczym”. Na zakończenie tej części swojej wypowiedzi rzecznik prasowy rządu dodał: „Problemy te mają wymiar dyscyplinarny”.

Na tej to wypowiedzi cała ta sprawa mogłaby się była — a nawet powinna się była — zakończyć. Rzecznik prasowy rządu — w bardzo, trzeba przyznać, grzecznej formie — poinformował dziennikarzy, że jestem nieukiem i nierobem, nie nadającym się do pracy naukowej i z tego to powodu zostałem dyscyplinarnie zwolniony. Nie ulega wątpliwości, że zostałem o tym poinformowany — powiedział: „jak mi wyjaśniono” — przez dyrekcję Instytutu Badań Literackich. Muszę powiedzieć, że nie mam nic przeciw tej opinii i nie przyszedłoby mi do głowy, aby przeciw niej zaprotestować, czy też w ogóle odezwać się w tej sprawie, ponieważ uważam, że w takich wypadkach nie wypada, no po prostu nie godzi się odyzwać. Piszę i wydaję książki, każdy może je przeczytać i każdy też może o nich sądzić, co chce. Sprawa więc, powtarzam, na tym właśnie by się zakończyła, gdyby nie to, że trzy dni po tej konferencji prasowej wręczono mi w Instytucie list w jednym zdaniu anulujący lipcowe wypowiedzenie umowy o pracę. Ten list, o ile sobie przypominam — nie mogę tego sprawdzić, bowiem go nie przyjąłem — został do mnie wystosowany 24 września. Tego samego więc dnia oświadczone publicznie, że zostałem dyscyplinarnie zwolniony z pracy, bowiem się do niej nie nadaję i ponownie do tej samej pracy mnie przyjęto. Dlaczego? Można snuć na ten temat różne domysły, ale nie sądzę, aby warto było tracić na to czas. Resztę opowiem w największym już skrócie. Uznałem, że nie mogę pozwolić na to, aby bez żadnego powodu usuwano mnie z pracy, a potem również bez żadnego powodu z powrotem mnie do niej przyjmowano.

Uznałem też, że nie mogę powrócić do pracy w Instytucie godząc się zarazem z publicznie wypowiedzianą opinią, że jestem kimś, kto do tej pracy w ogóle się nie nadaje. Krótko mówiąc: nie pozwolę się tak traktować. Nie przyjąłem więc listu anulującego wypowiedzenie i postawiłem moje warunki. Zawiadomiłem listownie dyrekcję Instytutu, że jestem gotów powrócić do pracy, jeśli, po pierwsze, „dyrektor IBL poinformuje rzecznika prasowego rządu, że wycofuje swoją opinię o mojej twórczości, którą to opinię rzecznik rządu podał do publicznej wiadomości” oraz, po drugie, „rzecznik prasowy rządu na kolejnej konferencji prasowej poinformuje dziennikarzy o tej zmianie opinii dyrektora IBL”. Dyrektor Instytutu zaprosił mnie dwukrotnie na rozmowę, być może, właśnie na ten temat. Dwukrotnie odmówiłem, oświadczając, że jestem gotów podjąć rozmowy na temat mojej dalszej pracy w Instytucie dopiero po spełnieniu postawionych przeze mnie warunków. Uważałem bowiem, że warunki te nie mogą być przedmiotem dyskusji i nie zamierzałem ani na krok od nich odstąpić. Moje warunki nie zostały spełnione. Postanowiłem więc nie powracać do pracy w Instytucie.

Domyślałem się, że wielu spośród Was uważa — lub przynajmniej może uważać — że postępuję raczej nieroztropnie. Występując w mojej obronie liczyliście przecież — a i ja wraz z Wami — na korzystny obrót sprawy. Winien więc Wam jestem wyjaśnienie, dlaczego, kiedy sprawa jakby korzystny obrót wzięła, ja z tego skorzystać nie mogłem i nie mogę. Jak łatwo zauważyć, ta moja sprawa — jak wszystkie takie jednostkowe sprawy, niezbyt wreszcie ważna — stanowi wypadek szczególny sprawy ogólniejszej i bardzo ważnej. Sprawa ta da się ująć w pytaniu, które po 13 grudnia wielu z nas wciąż sobie zadaje, a które można by sformułować tak: czy my, którzy tworzymy naszą Samorządną Rzeczpospolitą, powinniśmy jednocześnie — a jeśli tak, to na jakich warunkach — współpracować z instytucjami powołanymi do życia przez PRL? Ktoś mógłby tu powiedzieć, że Samorządna Rzeczpospolita jest tylko pięknym pomysłem, który narodził się w czasie szesnastu miesięcy, ale który — no bo tak potoczyły się polskie dzieje — nie został zrealizowany. Ktoś mógłby powiedzieć, że tego nie ma, że nie mamy Samorządnej Rzeczpospolitej, że to jest fikcja naszego umysłu. Otóż nie. Nie mamy, to prawda, takiej Samorządnej Rzeczpospolitej, jaką chciała stworzyć „Solidarność”, bo nie mamy i nie możemy mieć żadnych instytucji, które mogłyby ją konstituować. Ale jest taka sfera życia, w której rządzący się już sami, w której możemy już robić — i robimy — to, co chcemy. Tą sferą jest kultura. Z racji zawodu, który wykonuję, który wykonujemy, jest to sfera, która jest naszym życiem, w której wszyscy żyjemy. Żyjemy więc — tak, to się już stało — w Samorządnej Rzeczpospolitej.

Mamy to, co chcieliśmy mieć: Samorządną Rzeczpospolitą Ducha Polskiego. Stworzyliśmy ją sami dla siebie i myślę, że możemy być z tego dumni. Choć pewnie należałoby tu powiedzieć tak: odbudowaliśmy ją, odtworzyliśmy, umocniliśmy. Bo ona przecież zawsze, niekiedy ledwie widoczna, niekiedy ukryta i przed naszym wzrokiem, ale zawsze, tak czy inaczej, istniała.

Wracam do mojego pytania. Czy ktoś, kto żyje w Samorządnej Rzeczpospolitej Ducha Polskiego, kto czuje się obywatelem tej Rzeczpospolitej, powinien współpracować z instytucjami, które powołał do życia, tworząc swoją własną kulturę, PRL? Wiadomo, że na to pytanie po 13 grudnia udzielono już wielu odpowiedzi. Rozważano ten problem od strony teoretycznej, rozstrzygano go także praktycznie. Rozstrzygali go aktorzy, decydując się na bojkotowanie telewizji lub na występowanie w telewizji, rozstrzygali go pisarze, decydując się na publikowanie w pismach wydawanych przez propagandowe instytucje PRL-u lub rezygnując z publikowania w takich pismach. To pytanie nadal przed nami stoi. I wygląda na to, że jeszcze wiele lat będziemy szukać na nie odpowiedzi. Ja, postawiony dzisiaj przed pytaniem, czy powinienem, czy chcę współpracować z instytucjami kulturalnymi, które stworzył i które wykorzystuje dla swoich celów PRL, odpowiedziałbym najchętniej: nie, na Boga, nie. Kto decyduje się na taką współpracę, musi bowiem wziąć pod uwagę doświadczenia ostatniego półwiecza: czyli to wszystko, co wydarzyło się w kulturze polskiej od 17 września 1939 roku. Musi więc liczyć się z tym, że — współpracując — zostanie oszukany i wykorzystany. Jeśli jest pisarzem, musi liczyć się z tym, że to, co pisze — wszystko jedno, co — zostanie w pewnej chwili użyte jako argument przez tych, z którymi zdecydował się współpracować. — Oto i jego mamy — powiedzą — oto i on jest nasz. Nawet on nam służy. I co wy na to, oporni Polacy? — Iluż to pisarzy wpadło w tę pułapkę w latach czterdziestych, w latach pięćdziesiątych. To była lekcja, której nie wolno nam zapomnieć. Ale choć na to moje pytanie najchętniej odpowiedziałbym: nie, — wiem, że rozważając tę kwestię nie można powołać się tylko własnymi chęciami. Widać bowiem — i to dość wyraźnie — powody, dla których ta moja odpowiedź powinna zostać zmodyfikowana. Jest tych powodów kilka, dwa z nich wydają mi się najważniejsze.

Po pierwsze, pewne instytucje kulturalne — literackie, artystyczne, naukowe — stworzone w PRL-u i przez PRL, więc niewątpliwie dla celów PRL-u, wydają się jednak — przede wszystkim dzięki ludziom, którzy w nich pracują — dość dobrze służyć interesom kultury polskiej. Nie widać więc powodu, dla którego, póki to jest możliwe, nie miałyby być wykorzysty-

wane przez nas, Obywateli Samorządnej Rzeczypospolitej, dla naszych celów. Dobrym przykładem takiej instytucji jest Instytut Badań Literackich. Stworzony został przed laty w celu ujęcia historii literatury polskiej w karby doktryny marksizmu-leninizmu-stalinizmu. Pracujący w nim naukowcy mieli — w zamysłu — zinterpretować całą literaturę polską w duchu tej doktryny. Ale cel okazał się niewykonalny i nie został wykonany. No i okazało się, że ten nasz Instytut — właśnie dzięki ludziom, którzy w nim pracowali, dzięki dokumentacji, którą zdołali w nim zgromadzić, dzięki książkom, które zdołali napisać — wcale nie służy zniewoleniu umysłów, lecz wręcz przeciwnie, służy sprawie wolnej myśli. Czy będzie, czy może służyć tej sprawie nadal? To się okaże. Ale nie ma żadnego powodu, aby uznać tę instytucję PRL-u za straconą dla sprawy polskiej, aby na pytanie, czy należy, czy można pracować w takiej instytucji, odpowiadać z góry: nie. A dotyczy to, oczywiście, i wielu innych instytucji: czasopism, stowarzyszeń, wydawnictw, teatrów. To po pierwsze. Po drugie, trzeba uznać, bo taka jest prawda, że to, co nazwałem Samorządną Rzeczpospolitą Ducha Polskiego, nie jest jeszcze dostępne wszystkim Polakom, nie ogarnia wszystkich. Z zamysłu nasza Samorządna Rzeczpospolita musi być i jest własnością wszystkich. Tworzy ją przecież Duch Wspólny. Ale są i tacy Polacy, którzy — z racji swego usytuowania społecznego, czy choćby tylko geograficznego — nie mogą albo nie potrafią odnaleźć drogi do naszej Samorządnej Rzeczypospolitej. Myślę, że i oni — nawet nic o tym nie wiedząc — współtworzą tę Rzeczpospolitą. Ale zarazem są jakby poza nią. Są zatem zdani na instytucje stworzone przez PRL, a więc są od tych instytucji także i zależni. I znów należy tu powtórzyć: nie widać żadnego powodu, dla którego te instytucje PRL-u nie miałyby być wykorzystywane po to, aby Polakom, którzy są na nie zdani, służyć poprzez nie możliwie uczciwie i przyzwoicie. Ale aby właśnie uczciwie i przyzwoicie można było poprzez nie im służyć, to muszą w nich pracować, w tych instytucjach PRL-u, uczciwi i przyzwoici ludzie. Czy tacy ludzie będą mogli w nich pracować? Znów trzeba powiedzieć, że to się okaże. Ale niczego dla sprawy kultury polskiej, dla sprawy ducha polskiego nie należy, nie można uznać z góry za stracone. Muszę więc na to pytanie, na które najchętniej odpowiedziałbym: nie i nie, odpowiedzieć inaczej. Odpowiem tak: pokąd można, pokąd wydaje się to być pożyteczne dla sprawy polskiej, owszem, należy współpracować z instytucjami kulturalnymi, które PRL stworzył dla swoich, PRL-u, celów. Ale pokąd można? Gdzie jest ta granica, której nie wolno przekroczyć, na której trzeba się zatrzymać i powiedzieć: nie?

Wracam do mojej niezbyt ważnej sprawy. Czego właściwie ode

mnie chciano? Co chciano ze mną zrobić, wyrzucając mnie z pracy, oświadczając publicznie, że się do tej pracy w ogóle nie nadaję i zaraz z powrotem mnie do niej przyjmując? Wybaczenie, że powiem tak patetycznie, ale nie znajduję tu lepszego sformułowania: myślę, że chciano mnie rzucić na kolana. Powiedziano mi w istocie coś takiego: — Jesteś nieuk i nierób, więc oczywiście pracować u nas nie powinienes, ale my, ulitowawszy się nad tobą, z łaski pozwolimy ci u nas pracować. — Wyrzucili z pracy mnie i moją żonę, a potem ulitowali się nad naszym smutnym losem. Tacy są łaskawi. Otóż ja na coś takiego zgodzić się nie mogłem. Owszem, uważam, że należy współpracować z instytucjami PRL-u, jeśli może wynikać z tego coś pożytecznego. Ale nie za wszelką cenę. A przede wszystkim nie można z nimi współpracować z uszczerbkiem prywatnego, osobistego, własnego honoru. Właśnie prywatnego, własnego i osobistego, bo honor jest tylko taki. Każdy ma — może mieć — tylko ten swój własny. Honor jest rzeczą, o której nie należy mówić za dużo i za często, ale myślę, że — ośmieleni przez Adama Michnika — powinniśmy sobie od czasu do czasu przypominać, że go mamy, możemy mieć. Dlatego właśnie odchodzę z Instytutu. Nie do honoru mi było, koledzy.

Jestem Wam wdzięczny nie tylko za to, że wystąpiliście w mojej obronie. Przez te dwadzieścia lat doświadczyłem od Was wiele dobrego. Czułem zawsze Wasze duchowe wsparcie, duchową pomoc i było mi to potrzebne. Gdyby nie to wsparcie, nie napisałbym pewnie książek, które w tych latach napisałem. Przyszedłem do Instytutu jako młody człowiek. Niewiele wówczas umiałem i wiedziałem. Odchodzę, jak powiedziałem na początku, jako ktoś zupełnie inny. Jak wiecie, całkiem wyłysiałem przez te dwadzieścia lat. Całkiem więc inną mam głowę, a w tej głowie całkiem inne myśli, niż wtedy, w roku sześćdziesiątym piątym. I duch we mnie, jak się zdaje, jest też całkiem inny. Wiem, że zawdzięczam to także i Wam. Ale w nas wszystkich jest teraz całkiem inny duch. Mam nadzieję, że nie żegnam się z Wami na zawsze i że przyjdzie taki dzień, kiedy znów będę mógł pracować razem z Wami w Instytucie. Ściskam Was, moi drodzy.

Jarosław Marek RYMKIEWICZ

Warszawa, 1 listopada 1985 r.

## Akcja "Olejarnia"

Dom na Chełmońskiego 22 to trzypiętrowa secesyjna kamienica o fantazyjnych oknach, stromych drewnianych schodach, z maszkaronem nad wejściem. Pokoje są rozległe i wysokie, korytarze rywalizują szerokością ze staromiejskimi uliczkami.

W latach powojennych zamieszkiwali tam literaci, bracia teatralna i wybitny kompozytor, po którym dom został ozdobiony tablicą pamiątkową. Na nic ten splendor. Dom popadał w zaniedbanie, dach przeciekał jak worek, a mieszkanie Teresy i Jerzego Korczaków na najwyższym piętrze, wечно niedogrzone, porastał coraz bujniej grzyb hodowany na ściennym zacieku.

Paroletnie podchody z administracją o naprawę dachu dały tyle co nic. Na koniec właściciele mieszkania wzięli sprawę we własne ręce i puścili się na burzliwe flukta prac renowacyjnych. Wyżyłowany z sił i gotówki Jerzy ciągle powtarzał przyjaciółom: Niech tylko się skończy! Zaraz to oblejemy.

I omal nie dotrzymał słowa, chociaż musiało upłynąć bez mała pół roku — aż do mglistej soboty 26 października.

Kiedy o pół do dwunastej w południe zadzwoniono do drzwi i Teresa Korczakowa otworzyła, wkroczyło dwóch tęgich jak piec mundurowych, ze służbowymi popręgami pod brodą, a za nimi wspaniała się wielka wataha cywilów. Opanowali natychmiast każdą zakątek mieszkania.

Dwudziestu kilku przyjaciół-pisarzy (którzy — gdyby zliczyć razem — wydali paręset książek), pogrążonych w spokojnej rozmowie w pracowni Korczaka, ujrzało się jak zwierzyzna w kręgu osaczników, a zamiast zaproszenia do stołu usłyszało: „Nielegalne zebranie”.

W oczach się mrowiło od krzątania przybyszów, którzy rozwijali kable, szukali kontaktów, zaglądali do szaf i wszelkich zakamarków. Nawet do garnków w kuchni.

Gospodarz na próżno usiłował przekonać ich, że czci się tutaj zakończenie ciężkiego remontu.

Błyskały flesze, kamera filmowa pracowała długimi ujęciami. Nie zabrakło czegoś w rodzaju wykrywacza min. Kamery i obiektywy obcierały i obwąchiwały każdą stronę maszynopisów leżących na biurku Korczaka. Utrwalano w rozmaitych ujęciach zarówno cztery butelki wina jak i kredens z kolumienkami, przygotowane na stoliku filiżanki i obrazki na ścianach. Nie odpowiadano jednak na pytania, w jakiej firmie fotograficznej będzie można odebrać te zdjęcia i kiedy.

Krótkofalowiec tymczasem w hallu nadawał: „Gimnazjum, tu Olejarnia... tu Olejarnia... U nas jest spokój...”.

Widocznie odwody czekały w pogotowiu. Ulica była zamknięta, gęsto usiana tajniakami.

Najpierw zabrano wszystkim dowody osobiste, potem wywołując po nazwisku na korytarz uformowano konwoje po 7-8 osób.

Pierwszy konwój miał szyk: cywil, za nim zatrzymany, po obu bokach dwaj cywile, krok z tyłu znówu cywil, i tak łańcuszkiem. Dopiero kiedy z trzeciego piętra ryknięto w dół: Róbcie dyskretniej! — szyk złamał się na szpalerowy.

Ludzie z przejętymi minami cisnęli się w oknach. Może sądzili, że odbywa się wygruzanie tajnego kasyna gry lub innej meliny. Ale uczciwy bandzior lub szczerzy moczymorda może łatwiej liczyć na pobłażliwość władzy niż trzeźwy pisarz, w dodatku niestowarzyszony.

Osobowymi nysami bez oznakowania odwieziono zatrzymanych do Komendy Wojewódzkiej MO na Kochanowskiego.

W tym czasie u Korczaków toczyła się rewizja i trwał kocioł, a pan legitymujący się jako wicedyrektor Wydziału Spraw Wewnętrznych i jego pomocnicy prowadzili z obojgiem ostre rozmowy. Przede wszystkim mieli za złe obecność na spotkaniu wyłącznie pisarzy nie należących do nowego ZLP, w tym kilku z innych miast. Po drugie mieli za złe, że Korczak sam nie zapisał się i jeszcze montuje „front odmowy”. Po trzecie mieli za złe, że rozwiązany ZLP zajmował się polityką, a nie literaturą, przy czym panowie ci z właściwą sobie subtelnością nie odróżniali Proroka od Prokopa a Jana Józefa Szczepańskiego od takiegoż Jana Józefa Lipskiego. Po czwarte mieli za złe, że mieszkanie jest urządzone starymi meblami, a obiad „wystawny”. Po piąte mieli za złe, że pora na obiad była zbyt wczesna. Indagowany o to samo w komendzie jeden z kolegów odpowiedział:

— Po prostu my lubimy bawić się w dzień, a wy w nocy.

Na Kochanowskiego dopytywano się: W jaki sposób i kiedy zostali zaproszeni? Czy wiedzieli, że będą tam inni goście? Skąd i od kiedy się znają? A przede wszystkim CEL... W jakim CELU?...

Torby, kieszenie i bagaże zostały dokładnie przeszukane. Kto miał zastrzeżenia do formy lub samego faktu, mógł wstecznie zażądać od prokuratora zatwierdzenia tego zabiegu. Po mniej więcej dwóch tygodniach wiadomo było, że prokurator zatwierdził wszystko. Jeszcze by też!

Zamiejscowym pisarzom polecono natychmiast opuścić Poznań. Kolegę z Gdańska odstawiono na miejsce. Na wypadek nieposłuszeństwa grożono nie wiadomo czym. Argument stanowiło „polecenie szefa”. Wyglądało na to, że miasto stanowi jego prywatną własność.



Zabroniono też wracać „na miejsce przestępstwa”.

W miarę jak płynęły godziny, temperatura akcji spadała, ferment przygasł. Widocznie akcja „Olejarnia” nie przyniosła spodziewanych zdobyczy. Nawet obiecujące maszynopisy na biurku okazały się numerowanymi poprawkami do którejś książki Korczaka. Ten i ów funkcjonariusz zdradzał, że jest już zmęczony. Któryś pozałił się zatrzymanemu, że zepsuto mu sobotę.

— Nam także panowie zepsuliście — usłyszał w odpowiedzi.

Ostatni z zatrzymanych wychodzą po 17-ej. Przy wyjściu czekają „chłopcy”, którzy pójdą za nimi.

Korczakowie, przywiezieni do komendy po 14-ej, wrócili do domu dopiero po osiemnastej. Nie spędzili wieczoru samotnie. Paru nieustraszonych a głodnych zjawilo się ponownie, aby zasiąść wreszcie do stołu.

Być może na mocy nowej i niezmiennie takiej samej polityki kulturalnej trzeba będzie listę gości i menu proszonych obiadów literackich konsultować z jakąś „wyspecjalizowaną komórką”.

Nowy sejm na pewno chętnie przygotowuje odpowiednią ustawę.

D. OLEJNIK

PAMIĄTKOWA LISTA UCZESTNIKÓW SŁAWNEGO  
OBIADU, KTÓRY NIE DOSZEDŁ DO SKUTKU  
NIE Z WINY GOSPODARZY, DNIA 26. 10. A.D. 1985

1. Edward BALCERZAN — prof. UAM, pisarz
2. Andrzej BRAUN — pisarz
3. Anna BURKOWA — dziennikarka
4. Krystyna BYCZEWSKA — tłumaczka
5. Kazimierz DZIEWANOWSKI — pisarz
6. Marian DŻWINIEL
7. A. B. FAC (Antoni Bolesław) — pisarz
8. Andrzej JARECKI — pisarz
9. Maria KALOTA-SZYMAŃSKA — pisarka
10. Jerzy KORCZAK — pisarz
11. Teresa KORCZAKOWA — przy mężu
12. Ryszard KRYNICKI — pisarz
13. Bogusława LATAWIEC-BALCERZANOWA — pisarka
14. Jadwiga ŁUKASIEWICZ — emerytka
15. Irena NAGANOWSKA — tłumaczka
16. Egon NAGANOWSKI — krytyk literacki
17. Ewa NAJWER — pisarka
18. Jerzy PACHŁOWSKI — pisarz
19. Jan PROKOP — doc. IBL
20. Aldona RUDNICKA — sędzia
21. Sergiusz STERNA-WACHOWIAK — pisarz
22. Andrzej SZCZYPIORSKI — pisarz
23. Wiesław Paweł SZYMAŃSKI — doc. UJ, pisarz
24. Jerzy URBANKIEWICZ — pisarz
25. Eugeniusz WACHOWIAK — pisarz
26. Tadeusz ŻUKOWSKI — pisarz.

## Notatki z Polski (6)

NA PRZEŁOMIE ROKU 1985-1986

LISTOPAD-GRUDZIEŃ, STYCZEŃ

Blisko 250 więźniów politycznych spędziło święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok w aresztach i zakładach karnych. Coroczne zwalnianie części politycznych z więzień stało się już tradycją (akt łaski z 1982 roku, amnestie z lat 1983 i 1984) — tym razem przyniosło wolność zaledwie połowie uwięzionych. Bo też listopadowa „humanitarna inicjatywa” była prawdziwym curiosum prawnym: ani amnestią, ani aktem łaski. Pozostawiała organom prokuratorskim, a *de facto* SB, pełną dowolność decydowania o tym, kto nie zasługuje na wypuszczenie. Innym uchylano areszty, jeżeli śledztwo było w toku („zmiana środka”), lub udzielano przerwy w odsiadce, jeżeli byli już po wyroku. Ale status osób, dla których władza była tak łaskawa, nie uległ zmianie: ani śledztwa nie zostały umorzono, ani wyroki złagodzone.

W więzieniach pozostali oczywiście: „niepoprawni recydywiści” — Władysław Frasyniuk, Bogdan Lis i Adam Michnik; „przestępcy szczególnie groźni” — Tadeusz Jedynek z zarzutem o zdradę ojczyzny, Czesław Bielecki oskarżony wówczas o „współdziałanie z wrogimi i obcymi organizacjami”; osoby z kryminalnymi artykułami, jak np. doc. Jan Borowiec z Warszawy, który „zagarnął mienie znacznej wartości” w postaci przeznaczonego na złom powielacza. To tylko najbardziej znane nazwiska, na listach więźniów sumienia wciąż przybywają nowe — wszak władza jedną ręką wypuszcza, a drugą zamyka.

Najdotkliwszym ciosem dla podziemnej „Solidarności” było niewątpliwie aresztowanie 9 stycznia 1986 Bogdana Borusewicza. Ukrywał się przez 4 lata, był członkiem gdańskiej RKK, a od momentu pierwszego uwięzienia Bogdana Lisa — również TKK. Ale to przecież nie wszystko, np. w grudniu w Częstochowie wpadła redakcja pisma *Wytrwamy*, w styczniu odbył się proces organizatorów Radia „Solidarność” z Torunia.

Po raz pierwszy od początku stanu wojennego — kiedy to tysiące ludzi żywo interesowało się losem internowanych i podejmowało działania w ich obronie — walkę politycznych o status, prowadzoną bez przerwy od czterech lat za murami więzień, wsparło masową akcją na wolności. Ponad 35 tys. osób podpisało do końca grudnia petycję o bezwarunkową amnestię dla wszystkich więźniów sumienia oraz wprowadzenie statusu więźnia politycznego. Podpisy zaczęto zbierać w ogłoszonym na 3-11 listopada Tygodniu Więźnia Politycznego. Z najciekawszych imprez Tygodnia warto odnotować: we Wrocławiu spektakl zespołu „Nie

samym teatrem" o pierwszym procesie Władysława Frasyniuka, zatytułowany „Wyrok na Sierpień”; w Krakowie wystawę zdjęć, znaczków, pamiątek robionych przez więźniów w obozach internowania i zakładach karnych; w Warszawie ekspozycję plakatów z całego świata poświęconych więźniom sumienia. Grupy Specjalne RKW Mazowsze nadały audycję Radia „Solidarności” na Rakowiecką.

Ogłoszony przez Radę Parafialną środowiska byłych internowanych i więzionych przy kościele seminaryjnym w Warszawie, poparty przez TKK i Lecha Wałęsę, Tydzień Więźnia Politycznego przyniósł jednak rozczarowanie. Akcjom ulotkowym i plakatowym zabrakło rozmachu — niewykluczone, że cała para poszła w wybory i trudno było o kolejną mobilizację — w większości ośrodków poprzestano na zamawianiu mszy św. w intencji uwięzionych. A przecież była to znakomita okazja, żeby oplakatować mury miast, zarzucić ulice ulotkami, docierając do znacznie szerszych niż przedtem kręgów społeczeństwa.

Nieprzypadkowy był termin Tygodnia: odbywał się on w czasie, gdy zaczęły się pierwsze zwolnienia na mocy „humanitarnej inicjatywy”. Dotychczasowe doświadczenie uczy, że jest to moment, w którym opinia publiczna jest skłonna tracić z pola widzenia problem więźniów sumienia. Regułą stało się już, że właśnie w okresie „poamnestyjnym” władza próbuje odzyskać stracone pozycje i korzystając z chwilowego przereźdzenia więzień odbiera politycznym wywalczone wcześniej uprawnienia.

W czasie, gdy radowaliśmy się kolejnymi zwolnieniami, w więzieniach w Strzelinie, Braniewie, Łęczycy trwały głodówki więźniów politycznych w walce o status. Najbardziej dramatyczny z nich jest protest Czesława Bieleckiego, który zaczął głodować 13 października 1985 i nie przerwał po dziś dzień (połowa lutego). Domagał się widzenia z synami i udostępnienia książek zatrzymanych w depozycie. Przez trzy i pół miesiąca nie otrzymał na to zgody, dopiero 2 lutego 1986 pozwolono mu zobaczyć dzieci. Przez ten czas straszliwie wychudł — stracił ponad 30 kg. Ma bóle serca, z trudem mówi. Stan jego zdrowia budzi powszechne zaniepokojenie. W styczniu Czesławowi Bieleckiemu zmieniono artykuł: zrezygnowano z oskarżenia o wejście w porozumienie z obcą organizacją, przedstawiono zarzut o przygotowania do obalenia przemocą ustroju, co podwyższa dolną granicę ewentualnego wyroku do 10 lat.

Na przełomie roku epilog w sądzie i kolegiach d/s wykroczeń znalazły sprawy uczestników pacyfistycznego Ruchu „Wolność i Pokój”. Około 30 młodych ludzi, wśród nich sporo studentów, we wrześniu i październiku odesłało na ręce ministra obrony narodowej swoje książeczki wojskowe na znak solidarności z postawą Marka Adamkiewicza, skazanego na 2,5 roku więzienia za odmowę złożenia przysięgi wojskowej. „Aktu tego dokonują — pisali oni w swoich listach do MON — nie dlatego, żebyśmy był

przeciwny służbie wojskowej, której celem jest obrona ojczyzny, ale z chęci nieuczestniczenia w kłamstwie i zakłamaniu oraz by nie stać się odpowiedzialnym za zło, jakim jest usankcjonowane prawem łamanie sumień młodych ludzi”.

Władza najwidoczniej nie chciała mieć kilkudziesięciu nowych Adamkiewiczów, zaczęła więc od perswazji: pismem ze Sztabu Generalnego poinformowano, że „wojskowy dokument osobisty” można odebrać w rejonowej komendzie — w przeciwnym razie sprawa znajdzie się w kolegium. Ponieważ prawie nikt nie zgłosił się po książeczkę, w drugiej połowie grudnia i w styczniu w Gdańsku, Krakowie, Warszawie i Wrocławiu odbyły się rozprawy przed kolegiami, zakończone wyrokami skazującymi: 30-50 tys. zł grzywny z zamianą na areszt (od 50 do 90 dni). WiP-owcy zapowiedzieli, że nie będą płacić grzywnien i decydują się siedzieć. W Gdańsku orzeczenia były najsurowsze — 3 miesiące bezwzględnego aresztu — i ci, którzy odesłali książeczki, już odbywają karę.

Jeden z nich, Wojciech Jankowski, 21-letni nauczyciel z Gdańska, otrzymał wezwanie do wojska i odmówił przyjęcia karty powołania, deklarując jednocześnie gotowość odpracowania wojska w formie użytecznej społecznie służby zastępczej. 15 grudnia ub. roku został aresztowany. Sąd Marynarki Wojennej w Gdyni 23 grudnia wymierzył mu wyrok 3 i pół roku pozbawienia wolności. W ten sposób władza jasno dała do zrozumienia, gdzie jest granica jej tolerancji: za odesłanie książeczki wojskowej — grzywna lub areszt, za odmowę służby — kilka lat więzienia.

W ostatnim kwartale ubiegłego roku wyraźniej dał o sobie znać ruch młodzieżowy. Uczniowie i studenci od pierwszych dni stanu wojennego włączyli się w działalność podziemnej „Solidarności” i różne inicjatywy niezależne. Wystarczy przejrzeć choćby listy więźniów politycznych, by przekonać się, ilu znajduje się na nich młodych ludzi. Natomiast zjawiskiem nowym jest integracja tego ruchu i poczucie własnej odrębności. Dobrym przykładem jest tu Federacja Młodzieży Walczącej. Zainicjowana wiosną ub. roku przez warszawskich licealistów, na listopadowym zjeździe zgromadziła już przedstawicieli Gdańska, Wrocławia, Krakowa, Gorzowa Wielkopolskiego. Młodzież ze wszystkich tych miast utrzymuje ze sobą żywy kontakt, wymienia informacje i gazetki, w których coraz częściej znajdujemy przejawy ogólnopolskich powiązań.

Choć FMW, w odróżnieniu od innych ugrupowań młodzieżowych (np. gdańskiego Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego), wyraźnie podkreśla powiązanie z solidarnościowymi wartościami, a nawet uznaje zwierzchnictwo TKK — to jednak realizuje swój własny program. Głównym terenem ich aktywności jest szkoła: wydają pismka (własne gazetki ma np. kilka liceów gdańskich, jest też prasa międzyszkolna), próbują działać w sa-

morządach, na 13 grudnia zorganizowali imponującą swoim zasięgiem akcję milczących przerw, poprzedzonych ulotkowaniem. Młodzi z FMW włączają się też chętnie do działań „Solidarności”: tak było przed podwyżkami i w okresie wyborów. Podejmują się jednak tych zadań nie pojedynczo, przyłączając się do podziemnych struktur w charakterze drukarzy, kolporterów czy łączników, lecz grupowo, jako ruch. Można więc przypuszczać, że nie grozi im los NZS-u, który praktycznie przestał istnieć, ponieważ jego najaktywniejsi działacze zostali wchłonięci przez solidarnościowe podziemie.

Młodzież, o której tu mowa, dorastała już po zlikwidowaniu legalnej „Solidarności”, obawiano się więc, że powstanie luka pokoleniowa. W tej chwili, jak się wydaje, jest szansa, że dzięki niej zachowana zostanie ciągłość i generacja sierpniowa nie zostanie bez następców.

W ostatnich miesiącach opinia publiczna wciąż pozostawała pod wrażeniem policyjnego morderstwa, dokonanego dokładnie w rocznicę zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki. 19 października w Olsztynie został pobity w milicyjnej suce 19-letni student Marcin Antonowicz. Po przywiezieniu do szpitala, gdzie akurat pełniła dyżur jego matka, stwierdzono stłuczenie płatów czołowych mózgu, co według opinii lekarzy jest typowe przy silnym uderzeniu np. pałką gumową. Nie udało się go uratować i 2 listopada zmarł nie odzyskawszy przytomności.

Pogrzeb Marcina Antonowicza przekształcił się w manifestację. Przybyło 10 tysięcy ludzi, kondukt szedł przez miasto na cmentarz cztery godziny. Przemawiając nad grobem zamordowanego, rektor Uniwersytetu Gdańskiego ogłosił tygodniową żałobę na uczelni, gdzie studiował Antonowicz.

Do masowych petycji, domagających się rzetelnego śledztwa i ukarania winnych, dołączył swój głos Lech Wałęsa. Najmocniej zaangażowało się w tę sprawę środowisko służby zdrowia, setki lekarzy i pielęgniarek podpisywało protesty. Wyniki śledztwa do dzisiaj nie zostały ogłoszone, choć tydzień w tydzień, na każdej konferencji prasowej Urbana dopominają się o to dziennikarze zagraniczni.

Uczelnie pod koniec roku były widownią największej od marca 1968 czystki wśród naukowców. Minister Miśkiewicz w ostatniej chwili, na tydzień przed upływem terminu, postanowił skorzystać z uprawnień, jakie dała mu nowelizacja ustawy o szkolnictwie wyższym i zwolnił ze stanowisk kilkudziesięciu rektorów, prorektorów, dziekanów, prodziekanów, kierowników zakładów i katedr. Wśród zdymisjonowanych znaleźli się rektorzy Uniwersytetu Gdańskiego, Politechniki Warszawskiej, Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Na tej ostatniej uczelni, z której wywodzi się minister Miśkiewicz i gdzie jest szczególnie znienawidzony, zwolnień było najwięcej: polecili też wszyscy prorek-

torzy i dziekani. Powszechnie komentuje się to jako osobistą zemstę ministra. Jedyny oszczędzony dziekan — wydziału prawa — i trzynastu prodziekanów podało się do dymisji.

Ustępowanie ze stanowisk było zresztą praktycznie jedyną formą protestu środowiska akademickiego. Nie ruszyli się studenci, wyjąwszy tłumne pożegnania na Politechnice Warszawskiej prof. Findeisena oraz petycję Uniwersytetu Gdańskiego w obronie rektora prof. Taylora. Tak więc władzy udało się wreszcie zrealizować pierwszy etap „normalizacji” na uczelniach, do czego przymierzała się od 13 grudnia 1981.

Jeszcze jedna rzecz zaciążyła nad atmosferą przełomu roku — widmo podwyżek. Przed samym Sylwestrem podrożały papierozy i zapałki, od 1 stycznia benzyna i opłaty za TV oraz za mieszkanie wykupione od kwaterunku. Mówi się o tym, że podwyżki zahamowane przez akcje protestacyjne w pierwszym półroczu 1985 roku będą wprowadzane w życie w 1986, tyle że stopniowo. Zapowiedziano już oficjalnie, że wzrosną ceny mięsa — według niepotwierdzonych przecieków z Komisji Planowania podwyżka szykuje się bardzo wysoka, np. szynka miałaby kosztować 1.400 złotych za kg.

Trudno powiedzieć, czy można się spodziewać masowych akcji protestacyjnych po wprowadzeniu podwyżek, zwłaszcza jeżeli będą umiejętnie rozłożone. Natomiast wiadomo na pewno, że nasili się presja na płace. Symptomatyczny wydaje się tu przypadek wrocławskiego PaFaWagu. Jeszcze w grudniu tamtejsze nowe związki zażądały 45-procentowej podwyżki płac i w rozmowach z dyrekcją zapowiedziały, że skierują sprawę do arbitrażu, a jeśli jego wynik będzie niekorzystny — ogłoszą strajk. W styczniu Tajna Komisja Zakładowa „Solidarności” poparła stanowisko neozwiązków.

Zbyt pochopna byłaby zapewne teza, że demonstracje jako forma społecznego protestu w Polsce już się przeżyły. Zwłaszcza jeżeli mamy w pamięci olbrzymi solidarnościowy pochód 1 maja 1985 w Warszawie. Faktem jednak jest, że pod koniec ubiegłego roku nic się nie działo nawet w rocznice tradycyjnie czczone manifestacjami, jak 11 listopada, 13 i 16 grudnia. TKK ograniczyła się do wydania krótkiego oświadczenia przypominającego ofiary Grudnia. Nawet w tak zwykle bojowej Nowej Hucie tym razem zamówiono jedynie mszę św. Decyzja władz podziemnej „Solidarności”, by nie organizować grudniowych manifestacji, odpowiadała nastrojom społecznym.

Jedynie na Śląsku odbyła się demonstracja 16 grudnia przed kopalnią „Wujek” — największa od 1982 roku. Ruszyli na nią pochodem uczestnicy mszy św. w nowowyprowadzonym katowickim kościele, który ogłoszony został „pomnikiem męczeństwa pomordowanych górników”.

W styczniu bież. roku wyplęnęła znowu sprawa procesu Lecha Wałęsy o „poniżenie w opinii publicznej członków komisji wyborczych” poprzez „kwestionowanie rzetelności wiarygodnych obliczeń frekwencji”, a *de facto* o podanie w wypowiedzi dla korespondentów zagranicznych wyników niezależnej kontroli wyborów. Władzy początkowo dość się spieszyło: 6 listopada przedstawiono Wałęsie zarzut, a już 16 grudnia wpłynął do sądu akt oskarżenia i wyznaczono termin rozprawy na 11 lutego. Nadać też chciała sprawie dość znaczną rangę — mimo że tego typu obelstwstwa ścigane są zwykle z oskarżenia prywatnego, tutaj obok 13 członków komisji wyborczych wystąpił z urzędu prokurator. Dalej, choć właściwą instancją w takich przypadkach jest sąd rejonowy, sprawa została przekazana do sądu wojewódzkiego. Już mogłoby się wydawać, że zdecydowano się naruszyć swoiste tabu i postawić przed sądem przewodniczącego NSZZ „Solidarność”.

Niespodziewanie 28 stycznia bież. roku na konferencji prasowej Urban poinformował dziennikarzy, że proces najprawdopodobniej zostanie przełożony. Powoływał się przy tym na wniosek obrońców, wcale jeszcze nie złożony na piśmie, a jedynie zapowiedziany ustnie. Nie koniec na tym, 31 stycznia wezwał do siebie — co jest praktyką bez precedensu — korespondenta AP, żeby powiedział mu, iż jeden ze skarżących Wałęsę członków komisji wyborczej rozpatruje możliwość wycofania skargi, o ile ten zapewni, że nie miał obraźliwych intencji. Wszyscy uznali, że jest to przejrzysty sygnał wycofania się z pomysłu zrobienia Wałęsie procesu. Po paru dniach jednak, tym razem znowu na konferencji prasowej, Urban zdementował sam siebie oświadczając, że jego spotkanie z korespondentem AP miało na celu przedstawienie „hipotetycznych możliwości rozwoju sytuacji”. 11 lutego rozpoczął się — i natychmiast skończył — proces: prokurator oświadczył, że rezygnuje z oskarżenia, skoro Wałęsa „nie miał zamiaru nikogo poniżyć”.

Również ze względu na światową opinię odłożony został inny głośny proces: w ostatniej chwili przesunięto zapowiedzianą na 14 i 15 stycznia (w przeddzień Kongresu Intelktualistów) rozprawę rewizyjną Frasyniuka, Lisa i Michnika.

W listopadzie, grudniu i styczniu władza zmarnowała wiele energii, żeby podbudować swój prestiż za granicą. Zupełnym niewypałem okazała się niespodziewana wizyta gen. Jaruzelskiego w Paryżu. Nie dość, że potraktowano go tam co najmniej nieelegancko, to i reakcja francuskiej opinii była tak negatywna, że Mitterrand, by zatrzeć swą gaffę, zmuszony był zaprosić do Francji Lecha Wałęsę.

Nieoczekiwane rezultaty przyniosła też grudniowa wizyta Willy Brandta w Warszawie. Co prawda nie przyjął on propozycji przyjazdu do Gdańska, złożonej przez Lecha Wałęsę, nie mógł jednak — zwłaszcza że otrzymał również list warszawskiej

RKW i prof. Lipińskiego — poprzestać wyłącznie na oficjalnych wizytach. Spotkał się więc z przedstawicielami Klubu Inteligencji Katolickiej, wśród których znaleźli się Tadeusz Mazowiecki, b. redaktor naczelny *Tygodnika Solidarność* i Krzysztof Śliwiński, b. szef działu zagranicznego „Solidarności” regionu Mazowsze. Co więcej, po powrocie z Polski Willy Brandt napisał do Lecha Wałęsy zapewniając go, że swoją wizytę w Warszawie traktował również jako spotkanie ze społeczeństwem polskim. Zapowiedział przy tym, że wiosną bież. roku przyjedzie do Gdańska jego bliski współpracownik.

Nie sposób też uznać za sukces władzy zorganizowanego w styczniu w Warszawie Kongresu Intelktualistów na rzecz Pokoju. Plejada światowych sław zbojkotowała warszawską imprezę. Dla zliczenia osób o nazwiskach pierwszej wielkości, które przyjęły zaproszenie, starczyłoby palców jednej ręki. Na dodatek wśród obecnych znaleźli się i tacy, co poszli na konferencję prasową do Kuronia, i tacy, co podnieśli w obradach sprawę przestrzegania praw człowieka w Polsce. Na atmosferę Kongresu wpłynął też bez wątpienia apel wystosowany do jego uczestników przez 200 polskich intelektualistów, zaczynający się od słów: „Przyjechaliście na zaproszenie rządu, który deklaracjami o działaniu na rzecz pokoju usiłuje ukryć fakt systematycznego gwałcenia praw człowieka i obywatela”. List ten i inne materiały przygotowane przez opozycję w kilku wersjach językowych krążyły na Kongresie. Rozgłos, jakiego nabrał apel, zmusił władze do opublikowania go wraz z listą sygnatariuszy w *Zyciu Warszawy* (w dziwacznej formie: najpierw lista nazwisk, a w dwa dni później tekst apelu w tłumaczeniu z hiszpańskiego i z przekładaniami).

W sumie próba wykorzystania nastrojów pacyfistycznych na świecie do podniesienia międzynarodowej pozycji rządu PRL nie powiodła się. W żadnym razie nie było to wydarzenie tej rangi co Kongres Pokoju we Wrocławiu w 1948 roku, choć trudno się oprzeć wrażeniu, że gen. Jaruzelski tego się właśnie spodziewał.

(j.a.)

## POGRZEB STANISŁAWA MATYI

W przededniu Wigilii pożegnaliśmy na poznańskim cmentarzu w Miłostowie Stanisława Matyję, robotnika, w czerwcu 1956 roku delegata załogi W-3 i przywódcę strajku w Zakładach Hipolita Cegielskiego, przemianowanych hołdowniczo na Zakłady im. Józefa Stalina.

Wyszły wtedy na ulice Poznania setki tysięcy ludzi z wielkich i małych zakładów, by upomnieć się o sprawiedliwe zarobki i o poszanowanie dla swojej ludzkiej godności.

Chcieli rozmawiać. Czekali kilka godzin przed siedzibą władz, by ktoś zechciał wysłuchać ich racji. Władza wezwała czołgi i podjęła dialog kulami. Polała się krew. Doliczono się co najmniej kilkudziesięciu zabitych.

Potem nastąpiły represje. Wielu ludzi aresztowano, traktując ze szcze-

gólną brutalnością i okrucieństwem. Należał do nich i 28-letni robotnik, Stanisław Matyja.

Poniżany i bity, oskarżany fałszywie i częstowany dowodami rzekomych powiązań z „imperialistycznym spiskiem”, został ze śledztwa zwolniony, gdy załoga HCP zagroziła nowym strajkiem.

Nigdy już nie odzyskał sił i zdrowia. Szła za nim razem z „wilczym biletem” mściwość obrażonych organów władzy; stracił pracę i długo szukał nowej.

To jemu, schorowanemu inwalidzie, opartemu na laskach, przypadło przemawiać 28 czerwca 1981 roku na uroczystym odsłonięciu Pomnika Poznańskiego Czerwca — dwóch krzyży związanych wspólnym ramieniem. Pomnika, którego powstanie kiedyś zapowiedział.

Nie było nas na pogrzebie wielu, może sto kilkadziesiąt osób. Nekrolog bowiem ukazał się tego dnia rano. Za trumną szli jednak robotnicy i naukowcy, ludzie techniki i ludzie pióra, złączeni szacunkiem dla Jego wytrwałości, męstwa i wielkiego daru nadziei.

## ARKA

### KRAKÓW

Niezależne pismo redagowane w Polsce i rozpowszechniane poza cenzurą; nagrodzone w 1984 roku przez Komisję Kultury TKK NSZZ „Solidarność”.

### ARKA wybór 1 — 9

W tomie między innymi:

HISTORIA NAJNOWSZA: *Rozmowa z delegatem rządu londyńskiego.*  
 • Piotr Brożyna: *Grudzień 1970.* • Lesław Maleska: *Polskie lato* • *Ostatnie posiedzenie Komisji Krajowej „Solidarności”.* • SZKICE: Łukasz Plesnar, Stanisław Balbus, Andrzej Kijowski. • PROZA I POEZJA: Wiktor Woroszyński, Natalia Gorbaniewska, Bronisław Maj, Ryszard Krynicki, Jan Polkowski. • RECENZJE • FELIETONY • DOKUMENTY.

Str. 224.

Cena: FF 55,00; US \$ 8,00.

Zamówienia wraz z wpłatą prosimy kierować do przedstawiciela pisma:

**Wojciech Sikora,**  
**50, Bd Victor Hugo, Bât. B4, Apt 32, 92110 Clichy,**  
**France.**

Konto pocztowe: CCP PARIS 20 149 66 L.

eseistyka  
 krytyka  
 literatura

## Sąsiedzi

### W sowieckiej prasie

W chwili, kiedy czytelnik otrzyma ten numer *Kultury*, będzie już po wszystkim: XXVII Zjazd KPZS będzie skończony, a jego uchwały znane całej postępowej ludzkości. Zjazd podsumuje pierwszy rok Gorbaczowa na stanowisku generalnego sekretarza i uchwali plany na przyszłość. Rozpocznie się 25 lutego, równo trzydzieści lat po ostatnim „zamkniętym” posiedzeniu XX Zjazdu, na którym Nikita Chruszczow przeczytał swój demaskatorski referat o „kulcie jednostki” Stalina. Nie przypadkiem, rzecz jasna, zdecydowano otworzyć XXVII Zjazd akurat tego dnia. XX Zjazd z 1956 roku rozpoczął erę post-stalinizmu, okres poszukiwań, jak „bez Stalina kroczyć drogą Stalina”. XXVII Zjazd zamyka epokę władzy stalinowskich współpracowników: u steru staje nowe pokolenie.

Jeśli idzie o politykę wewnętrzną, pierwszy rok władzy Gorbaczowa upłynął — co widać było szczególnie w ostatnich miesiącach przed Zjazdem — na próbach zamienienia nomenklatury starych na funkcjonariuszy nowego pokolenia. Przez siedemdziesiąt lat sprawowania władzy Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego nie udało się rozwiązać problemu wymiany kadr: Stalin postugiwał się skuteczną metodą terora; Chruszczow usiłował wprowadzić zasady systematycznej rotacji, ale ponieważ rotacja nie dotyczyła najwyższego szczebla władzy, nie chcący ustąpić aparat odrzucił system wraz z Nikitą; Breżniew wprowadził zasadę, że kadr się nie zmienia (ograniczoną tylko czynniakiem fizjologicznym — długością życia).

Gorbaczow wymienia starych na nowych — setki urzędników aparatu partyjnego, państwowego i ekonomicznego straciły posady. Na Zjazdach partii republikańskich starych przywódców wyrzuca się pęczkami. Na Zjeździe uzbeckiej kompartii ze wszystkich członków Politbiura i Sekretariatu uchwalał się tylko jeden — pierwszy sekretarz — wszyscy pozostali poszli na zieloną trawkę. Podsumowując czystkę w Uzbekistanie *Prawda* z 5 lutego br. oznajmiła, że w republice tej „z trzynastu pierwszych se-

kretarzy komitetów rejonowych zmieniono dziesięciu...". Podobna, choć nieco skromniej zakrojona jatka odbyła się i na innych Zjazdach. Na dwóch ostatnich — w Kazachstanie (5 lutego) i na Ukrainie (6 lutego) zagrożeni są pierwsi sekretarze: DinmuchaMED Kunajew (ur. 1912) i Władimir Szerbickij (ur. 1918), obaj członkowie Biura.

Przygotowania do Zjazdów w republikach i do Zjazdu moskiewskiego, artykuły, referaty, krytyka i samokrytyka stwarzają pozory zmian, złudzenie ruchu. Przede wszystkim stwarzają pozory zmian na lepsze, skoro głównym zarzutem pod adresem usuwanych jest korupcja. Hasłem dnia w przeddzień Zjazdu jest sanacja! Nie ulega wątpliwości, że podpisze się pod nim cały naród, zważywszy, że kradzieże i korupcja przybrały niesłychane rozmiary. Jak dobrze wiadomo, nowa miotła dobrze zamiata. Nowy generały sekretarz wezwał więc do „uzdrowienia” aparatu i życia. Przede wszystkim pozwolił mówić — pół szeptem, ostrożnie, selektywnie — o „istniejących niedociągnięciach”. „W krótkim czasie odkryto masę łapówkarzy, defraudantów, ludzi niegodnych nazwy partyjnych” — pisze Wiktor Astafiew w *Literaturnoj gazecie* z 11 grudnia 1985. Jeśli wierzyć słynnemu pisarzowi, przedtem nikt niczego nie widział i nie wiedział, nagle „odkryto”...

„Odkryto” wiele innych rzeczy, przede wszystkim jednak wypada zauważyć, że — jak przystoi Związkowi Sowieckiemu — o niedociągnięciach mają prawo mówić tylko ci, którym pozwolono. Pozwolenie takie, wydawane obywatelom sowieckim spotykającym się z cudzoziemcami i rozmawiającym z „przybyszami ze zgniłego Zachodu”, nazywa się „wiza kontaktowa”. Podobną „wizę” trzeba uzyskać na „śmiałe rozmowy” o niedociągnięciach. Ekonomistka Tatiana Zaslawskaja ma zezwolenie na pisanie o wadach sowieckiej gospodarki. Jej specjalność to niska wydajność sowieckich robotników i urzędników. W licznych, opublikowanych w ostatnich czasach artykułach Zaslawskaja rozpisuje się o złej organizacji pracy, o lenistwie robotników. 23 stycznia *Sowieckaja kultura* opublikowała kolejny artykuł Zaslawskiej, opatrzone niespodziewanym tytułem „Czynnik ludzki a sprawiedliwość społeczna”. Czytelnik dowiaduje się z niego, że jednym z powodów złej pracy jest panująca w ZSSR niesprawiedliwość społeczna. Akademik Zaslawskaja zgodnie z tradycyjnym sowieckim schematem wylicza najpierw sukcesy, po czym dodaje „ale”: ale istnieją i niedociągnięcia. Przede wszystkim „stopa życiowa ludności podniosła się przez ostatnich dwadzieścia lat co najmniej trzykrotnie, wydajność robotników nie wzrosła, a jakość ich pracy raczej nawet spadła”. Zawstydzony czytelników za to, że mało i źle pracują, choć z łaski władzy sowieckiej coraz lepiej żyją, Tatiana Zaslawskaja zatrzymuje się na chwilę przy przyczynach spadku wydajności i stwierdza, że główną przeszkodą na drodze rozwoju socjalizmu stała się niesprawiedliwość społeczna. W ojczyźnie „realnego socjalizmu” panuje dziwna nierówność. Zaczyna się już w dzieciństwie: przysza sytuacja życiowa jest przesądzona w chwili narodzin dziecka, czyli, mówiąc

słowami Zaslawskiej, „warunki startu” są nierówne. Zaslawskaja podkreśla przy tym, że „im wyższy stopień wykształcenia (przedszkoła, szkoła, technikum, szkoła wyższa), tym większe są różnice między grupami społecznymi”. Biografia dziecka zależy od miejsca urodzenia (wieś/miasto, prowincja/stolica), od przynależności społecznej rodziców (kołchoźnicy/robotnicy/inteligenci/nomenklaturszczyzy). Na przykład, pisze Zaslawskaja, „duża część absolwentek szkół wiejskich musi zostać dożarkami, ponieważ nie ma dla nich na wsi innych miejsc pracy”. A jeśli nawet wiejskiej dziewczynie uda się wyrwać z kołchozu, to w mieście znajdzie tylko najniższą kwalifikowaną pracę, ponieważ szkoła wiejska daje minimalne wykształcenie.

„Dochody ludzi pracy — przyznaje Zaslawskaja — dzielone są niesprawiedliwie, z pogwałceniem głównej zasady socjalizmu, „każdemu według jego pracy”. Oczywiście wszyscy obywatele sowieccy o tym wiedzą, tym niemniej takie słowa w gazecie nie są pozbawione znaczenia. Dlaczego jednak w najsprawiedliwszym ustroju społecznym na świecie zrodziła się „niesprawiedliwość społeczna”? Akademik Zaslawskaja zamiast obiecanej góry rodzi mysz: wszystkim winne są „niektóre grupy ludności”, mające dochody „inne niż z pracy”. Osoby „żyjące z dochodów nie pochodzących z pracy” to właściciele skrawków ziemi na południu, sprzedawcy jagód i owoców, spekulanci żerujący na deficycie towarów itp. Trzeba się uporać z „dochodami nie z pracy”, a parowóz socjalizmu pomknąć do komunizmu.

Artykuł Zaslawskiej nie zasługiwałby na uwagę, gdyby — po pierwsze — zachodni eksperci nie uważali każdego jej artykułu za zuchwałe wyzwanie pod adresem systemu sowieckiego, a po drugie gdyby jej tłumaczenie przyczyn „niesprawiedliwości społecznej” w kraju socjalizmu nie zostało uznane za oficjalne i podchwyczone przez wszystkich, którym pozwolono mówić. „Odkryta” nagle rysa w idealnym systemie niepokoju nie tylko dlatego, że obniża wydajność pracy. Niepokoi ona także dlatego, że „odkryto” wpływ niesprawiedliwości społecznej na młodzież.

Trzydzieści lat temu, w latach postalinowskiego zamętu, wiele mówiono o „konflikcie pokoleń”. „Dzieci” żądały od „ojców” wytłumaczenia, jak mogło dojść do Stalina i jego zbrodni. Konflikt ten trafnie opisał Galicz w jednej ze swych piosenek: „Pyta chłopczyk: dlaczego? Pyta chłopczyk: dlaczego? A tata kroci szynkę i nic nie odpowiada”. Galiczowi wydawało się, że „ile by nie kroić szynki, koniec końców trzeba odpowiedzieć”. „Pytajcie, chłopcy, pytajcie!” — nalegał poeta.

Minęło trzydzieści lat. Zaczyna się, jak nas zapewniają, nowa epoka. Ale chłopcy dawno już przestali pytać. Nie obchodzi ich już, co było za Stalina, co za Lenina. Konflikt między ojcami a synami przerodził się w przepaść. Dzieci nie niepokoją żadne pytania, chcą szynki, którą żarł ojciec, i wielu innych rzeczy.

Pisarz Władimir Krupin w artykule „Nie gorzej od innych” (*Niedziela* nr 4, 1986) zapytuje z troską, dlaczego „nie zawsze można przestrzegać prostej myśli o życiu w zgodzie z sumieniem?”. Dlatego (pisarz powoduje się w tym miejscu na listy młodych

czytelników), że „widzimy, iż niektórzy dorośli żyją bez sumienia o niebo lepiej od niektórych uczciwych”. „W jakim sensie?” — pyta autor artykułu. — „W każdym. I znajomości mają jak potrzeba, i samochodami jeżdżą i pluszczą się w prywatnych saunach”. We wspomnianym wyżej artykule Wiktora Astafiewa autor ubolewa, że „młodzi chcą zostać artystami, pisarzami, kosmonautami”, gdy tu trzeba „deski piłować, młotem przybijać, łopatą machać”. Władimir Krupin — który widać lepiej zna życia — ubolewa nad czym innym: „szacunkiem cieszy się nie ten zawód, z którego jest więcej pożytku, ale ten, który przynosi pieniądze. Oto już ten i ów spośród młodych uważa, że wygodniej, czyli lepiej jest być kelnerem, taksówkarzem czy grabarzem niż traktorzystą, dojką, murarzem”. Władimir Krupin może argumentować, że „żyć lepiej — nie znaczy materialnie lepiej”, ale czego są warte takie argumenty w krainie krzyczącej niesprawiedliwości społecznej?

W ostatnich latach pojawiło się trochę literackich świadectw sytuacji we współczesnej szkole. Dość wspomnieć powieść „Zagadka” Wieniamina Kawierina (*Nowyj mir* nr 1/1984) czy scenariusz Klepikowa „Nieznajoma” (*Isskustwo kino* nr 7/1985). Pisarze podkreślają cechy typowe dla dzisiejszej szkoły: nieprzekraczalne bariery między dziećmi nomenklatorszczyków a pozostałymi (w scenariuszu Klepikowa, którego akcja toczy się w Leningradzie, uprzywilejowane dzieci patrzają na swoich kolegów szkolnych jak biali na Murzynów w USA trzydzieści lat temu), zdumiewające okrucieństwo uczniów i ich bezgraniczny cynizm, brak jakichkolwiek więzów z dorosłymi, rodzicami lub nauczycielami.

Młodzież sowiecka jakby instynktownie szuka sobie wzorów postępowania w prostej, jasnej, pozbawionej zasadzek ideologii, która w odróżnieniu od sowieckiej nie wymaga rozdzielenia, nie każe mówić jednego, a robić czego innego — mianowicie w hitleryzmie. 18 grudnia 1985 *Komsomolskaja prawda* opublikowała obszerny wybór materiałów o „sprawie woroszyłowgradzkiej”. W Woroszyłowgradzie skazano grupę dziesięciu młodych ludzi w wieku od szesnastu do dwudziestu czterech lat za pijaństwo, kradzieże, gwałty i „cynizm i szyderstwa z pamięci naszych bohaterów”. Skazani „bawili się w hitlerowców”. Że jest to zjawisko rozpowszechnione, dowodzi strofa, jaką poświęcił mu w swym nowym poemacie Jewtuszenko: „W dzień urodzin Hitlera pod wszystkowiedzącym niebem Rosji ta żałosna garstka chłopców i dziewcząt...” (*Nowyj mir* nr 9/1985).

Publicznie świętując rocznicę urodzin Hitlera, chodząc na filmy o wojnie, aby potem naśladować nie sowieckich żołnierzy, a gestapowców, młodzież sowiecka demonstracyjnie wypyluwa ideologiczną papkę, na której wychowali się jej rodzice i którą starają się karmić i ją. Sowiecki „neohitleryzm” budzi kilka pytań: po pierwsze, dlaczego powstał, po drugie, dlaczego władze w zasadzie odnoszą się doń pobłażliwie. Surowości nielicznych wyroków na neohitlerowców nie można porównać z okrucieństwem wyroków za „nacionalizm”, „dysydenctwo”, uczes-

tnictwo w ruchach religijnych. O przyczynach tej pobłażliwości można się co nieco dowiedzieć z niedawnych artykułów i listów w *Komsomolskiej prawdzie*: są to niewątpliwie najciekawsze teksty, jakie można było znaleźć w ostatnich czasach w prasie sowieckiej.

24 września 1985 *Komsomolskaja prawda* opublikowała list, zatytułowany „Chodźmy w masce...”. Były marynarz piechoty morskiej opisał w nim ze jego towarzysze nocą, *incognito* prowadzą ostry trening, nie chcąc stracić nabytych w wojsku nawyków. Komentując ten list, gazeta odpowiedziała na pytanie: dlaczego patriota ukrywa się przed ludźmi i trenuje *incognito*? Odpowiedź była mglista. 8 stycznia br. *Komsomolskaja prawda* opublikowała kolejny list na ten sam temat i następny komentator — znacznie już jaśniejszy i konkretniejszy. Komentator poprzedza ten list słowami: „Przyznaję, że przez dziesiątki lat pracy w redakcji rzadko zdarzyło mi się mieć w rękach dokument ludzki takiej wagi społecznej...”. Jestem tego samego zdania. Nawet jeśli przyjąć, że list został sfabrykowany przez redakcję, co jest całkiem możliwe. Istotny jest opublikowany tekst. List, zatytułowany „Spotkanie to wstrząsnęło całym moim życiem”, jest relacją oficera śledczego („mam 33 lata, od 1976 roku jestem w partii”) ze spotkania z młodym człowiekiem, który przyszedł do autora, aby porozmawiać. Młody człowiek zapytał go, dlaczego wypuszczono jakiegoś złodzieja mienia publicznego, którego sprawę prowadził właśnie ten śledczy. Gość nie przyjął tłumaczenia, że pod sąd nie dowiedziono winy, i oznajmił: „Z takimi 'gadami', z taką 'kontrą' nie mało się stykałem przez ostatnie półtora roku, jeśli go nie skażecie, sami się z nim policzymy”.

Śledczy zainteresował się, wciągnął młodego człowieka imieniem Anatol w rozmowę i dowiedział się, że Anatol dopiero kilka miesięcy temu został zdemobilizowany po służbie w Afganistanie. Przez pół roku spełniał „internacjonalistyczny obowiązek”. „Żyje — pisze śledczy — w atmosferze wielkiej czystości rewolucyjnej”. Wyrobił sobie w duszy kategorie „swój” i „obcy”, a ściślej — kto nie „swój”, ten „kontra”. Po powrocie do domu odkrył, że istnieją chuligani i złodzieje, którym włos z głowy nie spada. „My go (zwolnionego przez sąd obywatela W.) i tak „udławimy” — powtórzył Anatol śledczemu. Kto się kryje za słówkiem „my”? — zainteresował się śledczy. W odpowiedzi usłyszał, że w mieście jest jeszcze kilku „Afgańców”, którzy się spotykają w umówionym miejscu, „wspominają, trenują, podtrzymują nawyki”.

Śledczy pisze, że spotkał później i innych „Afgańców” i przekonał się, że myślą podobnie: „gesty filtr, starannie odsiewający 'swoich' od 'obcych', działa w każdym z nich”. List kończy rozmyślanie „teoretyczne”. Autor przyznaje, że psycholog odkryłby u „Afgańców” pozostałości szoku psychicznego. Czy jednak — pyta — „nie zaszło, wręcz przeciwnie, przejście od nienormalnej psychiki, uspiętej, nawykłej do różnego rodzaju nienormalności, do psychiki normalnej — strwożonej, ostro reagującej na te nienormalności?”. Autor kończy słowami: „Na swój użytek

sądzę, że on (Anatol) jest niewątpliwie lepszy i czystszy niż wielu z nas. Czystość tę wyniósł z dzwiczącej rewolucyjnej wiosny Afganistanu...".

Autor komentarza redakcji zgadza się całkowicie z autorem listu. Tak — „Afganiec” wrócił do ojczyzny z nowymi kryteriami moralnymi. Tak — nadal czuje się w okopach i trzyma na muszce „kontrę” — tym razem obywatela W. Autor komentarza również zetknął się z „Afgańcami”: „wszyscy mówili o komunizmie i o tym, kto i co przeszkadza nam go budować. Niewykluczone, że środki, jakie proponują, są naiwne. Ale są radykalne”. Autor komentarza dodaje: „i wśród tych, co nie powąchaliby prochu, wyrosli maksymaliści”. Wynika z tego, że rosna szereg młodych, gotowych „dławić” każdego, kto staje na drodze zwycięskiemu pochodowi komunizmu.

Sowieccy „Rambo” mogą wnieść w atmosferę „sytości”, „dobrobytu” i cynizmu ożywcze tchnienie rewolucji. Sam fakt, że pojawiło się słowo „rewolucja” świadczy o życiowej konieczności zmian. W odniesieniu do Związku Sowieckiego słowo to wyszło z użycia już dziesiątki lat temu — dokonała się tam przecież, mówiąc słowami Zamiatina, „ostatnia rewolucja”. Teraz nagle słowo wychynęło z łamów *Komsomolskiej prawdy*. W *Literaturnoj gazecie* zmurszały sowiecki kłamca, kolejno wielbiciel Stalina, Chruszczowa i Breżniewa, napisał (1 stycznia 1986), że słyszał „muzykę rewolucji” w przemówieniu Gorbaczowa. Po czym dodał: „Inteligent powinien zupełnie bezinteresownie wszystko wiedzieć i kochać. Może nie lubić muzyki i nie bywać na koncertach. Musi jednak być zdolny usłyszeć 'muzykę rewolucji'”. Czytaj: słuchać Gorbaczowa.

W *Komsomolskiej prawdzie* muzykę rewolucji słycać w pogrózkach „Afgańców”, gotowych „policzyć się” i „dławić” „kontrę”. Do tej roboty mogą się przydać i neohitlerowcy. Kiedy Tatiana Zaśławska proponuje zbadać możliwości usunięcia z gospodarki tych, którzy żyją „z dochodów nie z pracy”, to w „Afgańcach” znajdzie ochotników do natychmiastowej ich likwidacji.

„Apele o zmiany — kończy organ KC Komsomołu — to jeszcze nie zmiany. Ale płyną z góry i bywa, że głucho, zanim dojdą do nizin”. *Komsomolskaja prawda* powiadamia wyższą instancję, że „na nizinach” są ludzie, gotowi dosłyszeć apele o „ziniiny”. Pozostaje tylko wydać rozkaz.

W latach 60-tych Georgij Władimow napisał niezwykłą książkę „Wierny Rusłan”, historię psa, który pełnił wartę w stalinowskich obozach i nabył ludzkich cech. Po śmierci Stalina i rozwiązaniu obozów Rusłan osierocił. Przed śmiercią miał jednak widzenie: „Wydało mu się, że wrócił pan — nie dawny, a zupełnie kto inny, bez zapachu i w nowych butach, do których trzeba się będzie dopiero przyzwyczaić. Ale ręka, którą położył Rusłanowi na łbie, była twarda i władcza. Szczęknął karabinem, puszczając obrożę. Pan wyciągnął rękę, pokazując, gdzie jest wróg. I Rusłan rzucił się i pomknął długimi susami, nie dotykając ziemi, nie znajdując

bólu ani strachu, ani miłości do żadnej istoty. I mknęło w ślad za nim ukochane słowo — jedyna nagroda za psią mękę i wierność:

— Bierz go, Rusłan!... Bierz go!”

Na to słowo, jedyny pozostały cel, czeka naród sowiecki. Lub, ściślej mówiąc, ci, którym wolno wyrażać jego domniemane uczucia i myśli.

Adam KRUCZEK

6 lutego 1986

## Kronika niemiecka

Po kilkuletniej przerwie wznowił w Rostocku działalność konsulat generalny PRL. W 1981 roku władze NRD nakazały zamknięcie konsulatu z racji propagowania przez obywateli polskich idei niezależnego ruchu związkowego. W okręgu Rostock, Neubrandenburg i Schwerin znajdują się duże skupiska polskich robotników najemnych. ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung* zamieściła artykuł o znanym publicyście *Tygodnika Powszechnego*, Mieczysławie Pszonie, z okazji 70-tej rocznicy jego urodzin. Gazeta podkreśla, że Pszon był skazany przez władze komunistyczne PRL na karę śmierci, zamienioną na dożywotnie więzienie. ■ Prezydent RFN, Richard von Weizsäcker wystąpił w orędziu świątecznym o zwolnienie z więzienia Rudolfa Hessa (lat 92), b. zastępcy Hitlera, odbywającego w zachodniobermberskim więzieniu Spandau karę dożywocia. *Kultura* występowała już przed laty z apelem o ułaskawienie Hessa, przebywającego w więzieniach od 45 lat. ■ Nakładem *Herder Verlag* we Fryburgu (Br.) ukazała się bogato ilustrowana książka poświęcona *Ołtarzowi Mariackiemu* w Krakowie. ■ 5-kilogramowa paczka wysyłana z PRL do NRD kosztuje 426 zł; natomiast do RFN — 1.065 zł. Należy tylko zapytać, co można w tym kierunku wysłać? ■ Minister Marian Orzechowski: „Doceniamy chłonność społeczeństwa na dobra i wartości kultury i sztuki polskiej. (...) Z satysfakcją i sympatią odnotowujemy w Polsce wszystko, co świadczy, że realizm i rezygnacja z różnego rodzaju fikcji prawnych torują sobie drogę w RFN, określają stosunek do Polski wpływowych sił politycznych i społecznych, w tym również wiodących sił politycznych”. ■ *Volkswagen* prowadzi negocjacje w sprawie budowy w Sowietach fabryki silników samochodowych (350 tys. sztuk rocznie). ■ Zachodniemiecka firma ogumienia i wyrobów gumowych *Continental Gummi-Werke* przekazała w darze *Centrum Zdrowia Matki-Polki* w Łodzi ambulans pogotowia ratunkowego. ■ Wychodzący w Hamburgu tygodnik *Stern* zamieścił udokumentowane materiały świadczące, że kierowcy ciężarówek i kapitanowie barek z krajów bloku wschodniego prowadzą w RFN działalność szpiegowską. ■ *Sztandar Młodych* wyraża oburzenie, że biskup diecezji opolskiej, ks. Alfons Nossol, przemówił do zachodniemieckich turystów w kościele w Pławniowicach koło Gliwic w języku niemieckim. Obecni Niemcy byli potomkami fundatorów tego kościoła. ■ W obozie przejściowym we Friedlandzie zarejestrowano w styczniu bież. roku 1.988 przesiedleńców z PRL narodowości niemieckiej. W 1985 roku przybyło ich do RFN 22.075; ze Związku Sowieckiego w tym samym okresie zaledwie 460 osób. ■ Herbert Czaja (CDU), długoletni szef Związku



Wypędzonych, zaatakował Volkera Rühle, zastępcę szefa frakcji chadeckiej w Bundestagu, i jego politycznych sprzymierzeńców w podobny sposób jak zwykł był to czynić wobec socjaldemokratów. Młodzi politycy CDU nie traktują tego wcale poważnie. Zdaje się, że ławkowanie Czai w Bundestagu dobiega końca. ■ W Münster oddano do użytku reprezentacyjne Centrum Kulturalne Łotyszów. A Polacy? — zadłużone „sanktuarium” ks. Blachnickiego w Carlsbergu (Palatynat) znajduje się u progu bankructwa. ■ Obroty handlowe PRL z RFN osiągnęły w 1980 roku kwotę 4,5 mld marek, a w pierwszej połowie 1985 roku — kwotę 2,7 mld marek. ■ W 1985 roku na terenie Nadrenii-Westfalii 1.850 Polaków zwróciło się do władz z wnioskami o przyznanie prawa azylu. ■ Prezydent RFN Richard von Weizsäcker ofiarował 30 tys. marek na konserwację obrazu *Matki Boskiej* na Jasnej Górze. ■ Najczęściej tłumaczonymi autorami polskimi w RFN w latach 1945-1984 byli: Lem — 84 tytuły, Sienkiewicz — 47, Mrozek — 36, Andrzejewski — 30, Gombrowicz — 28, Różewicz — 23, Miłosz — 22, Witkiewicz — 19, Janusz Korczak — 17, Hłasko — 14, Dobraczyński — 13, Iwaszkiewicz — 13 i Herbert — 10. Klaus Stämmler, znany tłumacz z Frankfurtu n/Memem w miesięczniku *Odra*: „Literatura polska ma na niemieckim obszarze językowym wielu przyjaciół”. ■ Polscy celnicy w Zgorzelu szykanowali zachodniemiecką obsługę transportu, który wiozł do Zakładu *Ociemniałych* w Laskach sztuczną nerkę i inny sprzęt medyczny, konieczny do przeprowadzenia operacji na 12-letnim chłopcu. Dziennik *Kölnische Rundschau* i rozgłośnia *Deutschlandfunk* poinformowały opinię publiczną o tym godnym potępienia wydarzeniu („Ogniu łańcucha ludzi dobrej woli w dramatycznym wysięgu z czasem przerwała służba celna w Zgorzelu”). Łajdackie wybryki PRL-owskich celników i *WOP-u* są dla nas wszystkich żenujące. Brakuje innych słów. ■ Marek Orzechowski (Bad Essen), wydawca kwartalnika *DIALOG* w liście otwartym do *Kongresu Wolnej Polski w Europie* (Monachium): „Miesiące jakie upłynęły od dnia powołania *Kongresu Wolnej Polski* w Europie są wystarczającym okresem by stwierdzić, że fasadowość tej organizacji przekreśla szanse jej autentyczności. (...) O fakcie manipulacji podczas obrad spotkania założycielskiego *Kongresu* świadczy, iż przydzielono mi mandat organizacji *SOKOŁA*, organizacji której nie jestem ani członkiem ani niewiele wiem o jej istnieniu”. ■ Biskup ordynariusz diecezji siedleckiej czyli podlaskiej, Jan Mazur, przekazał w darze szpitalowi wojewódzkiemu w Białej Podlaskiej — ultrasonograf, urządzenie produkcji RFN, służące do diagnostyki noworodków. ■ Nakładem wydawnictwa *Klett-Cotta* w Stuttgarcie ukazała się książka — *Der Mensch in den modernen Wissenschaften (Człowiek w nowoczesnych naukach)*. Opracował Krzysztof Michalski. Zbiorowa praca stanowi rezultat *Sesji Rady Naukowej* wiedeńskiego *Institut für die Wissenschaften vom Menschen (Instytut Nauk o Człowieku)*, która odbyła się w sierpniu 1983 roku w Castel Gandolfo, z udziałem papieża Jana Pawła II. ■ W Lipsku podobała się wystawa twórczości polskiej malarki, prof. Hanny Rudzkiej-Cybisowej. W kolekcji 20 obrazów, wystawionych w *Ośrodku Informacji i Kultury Polskiej*, znajdowały się dzieła muzealne pochodzące z lat przedwojennych oraz będące w posiadaniu artystki. ■ Z wywiadu Jaruzelskiego dla tygodnika *Stern*: „Doceniam intencje pana kanclerza Helmuta Kohla. Wymiana młodzieżowa to piękna sprawa. Między PRL i NRD sprawdza się ona znakomicie”... ■ Władze PRL, NRD i CSSR podjęły decyzje odsyłania do adresatów listów z RFN, ofrankowanych znaczkiem, upamiętniającym wkład wysiedleńców z dawnych Prus Wschodnich i Śląska w gospodarczą i kulturalną odbudowę Republiki Federalnej. ■ Żyrandole, kinkiety, odzież skórzana, futra, pamiątki, szkło i zabawki — PRL wymieniła w NRD na meble, pralki automatyczne, żarówki, artykuły gospodarstwa domowego i firanki. Za polski mak, leżaki, krzesła ogrodowe — z RFN przyjechały: rajstopy,

kakao i koncentrat pomidorowy. ■ 14 istniejących w RFN prorożymowych *Towarzystw Niemiecko-Polskich* zamierza utworzyć *Grupę Roboczą*, której celem ma być praca nad „pogłębieniem porozumienia niemiecko-polskiego”. *Grupa* zamierza wydawać czasopismo informujące Niemców o sprawach polskich. Podobno mutacja w języku polskim ma być rozprawiana w PRL. Funkcję pośrednika i organizatora tej nowej formy działalności *Towarzystw Niemiecko-Polskich* przejęło na siebie *Towarzystwo* w Loccum, współpracujące z tamtejszą *Akademią Ewangelicką*, urządzającą sympozja niemiecko-polskie. Do grudnia 1981 roku ukazywał się w Düsseldorfie periodyk p.n. *Begegnung mit Polen (Spotkania z Polską)*, niby jako organ *Towarzystwa Niemiecko-Polskiego*, później okazało się, że to przedsięwzięcie było finansowane przez ambasadę PRL w Kolonii. ■ W Moguncji obchodzono uroczyste 70-te urodziny profesora Gottholda Rhode, znanego historyka, specjalisty od spraw polskich. Pochodzący z Poznańskiego naukowiec organizował w latach 60-tych i 70-tych sympozja w Lindenfels, na które zapraszano polskich naukowców, polityków, pisarzy i publicystów żyjących na emigracji. Główne spotkania były ważną platformą dialogu polsko-niemieckiego. ■ W Bielefeld (Nadrenia-Pł. Westfalia) stoi puszka, jak na krakowskim rynku, gdzie zbiera się datki na odbudowę Krakowa. ■ Minister Spraw Zagranicznych RFN, Genscher, oświadczył, że „dzieło pojednania z Polską musi być kontynuowane. Nikt nie powinien wątpić w naszą wierność układom. Wiedzą o tym również propagandyści w Warszawie”. ■ Volker Rühle, wiceprzewodniczący frakcji *CDU/CSU* w *Bundestagu*: „My, Republika Federalna Niemiec i Polska Rzeczpospolita Ludowa, nie mamy w stosunku do siebie żadnych roszczeń terytorialnych i roszczeń takich nie będziemy wysuwać również w przyszłości”. ■ Ryszard Wojna, który podobno przygotowuje się do objęcia ambasadorstwa w RFN: „Przy całej złożoności naszego stosunku do Niemców, przy naszych niepokojach, wyraźnych kompleksach, uprzedzeniach, RFN jest w istocie naszym drugim po ZSSR partnerem gospodarczym. Nikt tak chętnie jak Niemcy Zachodnie nie kupuje dóbr naszej kultury, dzieł naszych artystów, do żadnego z krajów nie odbywamy tylu peregrynacji, jak do RFN. (...) Być może jest to zapowiedź przyszłej ewolucji naszych postaw wobec Niemców?”. ■ *Solidarność Walcząca* (Wrocław 12-26 stycznia 1986): *Wyjaśnienie sprawy listu do Willy Brandta*. „List do przewodniczącego *SPD* Willy Brandta, podpisany moim nazwiskiem i wydrukowany 7 grudnia w *Die Welt*, trafił tam poprzez Andrzeja Wirgę, naszego przedstawiciela w RFN. Tekst ten powstał bez naszej wiedzy, jako wynik dyskusji członków *Solidarności Walczącej*, przebywających w RFN i uważających, że taki tekst jest pilnie potrzebny. Sądził oni, że wcześniejsza korespondencja z nami upoważnia ich do zajęcia stanowiska w imieniu całej Organizacji. Z powodów konspiracyjnych autorzy listu nie zdołali przekazać go do autoryzacji. Treść listu, aczkolwiek ogólnie zgodna z naszym programem, nie dość jasno stwierdza stałość polskiej granicy zachodniej oraz kwestionuje, w świetle obecnej polityki Willy Brandta, jego zasługi na polu pojednania narodów polskiego i niemieckiego. Chcę podkreślić raz jeszcze, że *Solidarność Walcząca* jest przeciwna wszelkim roszczeniom terytorialnym w Europie. Nasza organizacja uznaje prawo narodu niemieckiego do zjednoczenia w obecnych granicach obu państw niemieckich. Przewodniczący *Solidarności Walczącej*: Kornel Morawiecki. 29 grudnia 1985 roku. ■ 400 rysunków uczniów jednej z gdańskich szkół, tematycznie związanych z okresem *Solidarności*, wystawiono w ratuszu w Moguncji. ■ Tegoroczna nagroda Hesji w dziedzinie kultury (50 tys. marek), została przyznana Karłowi Dedeciusowi, znanemu tłumaczowi i propagatorowi polskiej literatury, za wybitny wkład w dzieło pojednania między narodami niemieckim i polskim. ■ W oświadczeniu zachodniemieckiej sekcji *PAX-Christi* stwierdzono m.in., że „nieodpowiedzialne enuncjacje politycznych zapaleńców u nas są wykorzystywane przez agita-

torów z Warszawy, aby na nowo tworzyć obraz rewanżizmu w RFN". ■ W Berlinie Wschodnim podpisano umowę o przedłużeniu do końca 1987 roku specjalnego protokołu zawartego między rządami PRL i NRD w sprawie zatrudnienia w tym kraju polskich robotników najemnych. W 1986 roku w NRD będzie pracować około 3.800 Polaków, a około 4.000 osób w tzw. ruchu przygranicznym. ■ Ujemny bilans PRL w handlu z NRD jest wyrównywany głównie opłatami tranzytowymi (niebawem NRD-owskie towary będą omijały Polskę drogą morską!). Głównym partnerem handlowym NRD są Sowiety, stąd też przewozy z NRD przez Polskę są dużo większe, niż z Polski przez NRD. ■ Według monachijskiego tygodnika *Bunte skradziony* (w 1948 roku?) z katedry wrocławskiej i potajemnie wywieziony z Polski słynny obraz „*Madonny pod jodłami*” Lukasa Cranacha („*Starszego*”) znajduje się w Szwajcarii do odsprzedania za sumę 1,5 mln marek. Według ekspertyz prawo własności tego obrazu przeszło na Kościół katolicki w Niemczech i przy nim dotąd pozostaje. ■ W bibliotece *Katolickiego Uniwersytetu* w Eichstätt (Bawaria) otwarto wystawę — *Das Recht auf freies Wort. Der Kampf der Solidarität in Polen im Spiegel der polnischen Untergrundpresse. Dezember 1981-Dezember 1985* (*Prawo do wolnego słowa. Walka Solidarności w Polsce w świetle polskiej prasy podziemnej. Grudzień 1981-Grudzień 1985*). W dniu otwarcia profesor Władysław Bartoszewski wygłosił odczyt na temat *Roli i znaczenia podziemnych wydawnictw w najnowszej historii Polski*. ■ Profesor Marian Dobrosielski (obecnie *Uniwersytet Warszawski*) wygłosił na bońskim *Uniwersytecie* odczyt pt. *Polska polityka pokojowa w przeszłości i obecnie*. Prelegent podkreślał ważność kontaktów *SPD-PZPR*. Frekwencja bardzo słaba (około 40 osób). Bońskie *Towarzystwo KONTINENT* wystawiało podczas odczytu na specjalnie urządzonej stoisku niemieckie i polskie wydawnictwa. Prelegent z PRL przyjął w prezencie specjalny numer *Kultury* wydany w języku niemieckim. ■ W Warszawie podpisano umowę o restrukturyzacji gwarantowanego zadłużenia Polski w stosunku do RFN za 1985 rok. Odroczona kwota w wysokości około 1 mld marek, przypadająca pierwotnie do spłaty w 1985 roku i obejmująca raty kapitałowe oraz odsetki, spłacana będzie w latach 1991-1995. Ponadto Polska nie była w stanie spłacić wszystkich zobowiązań w ub. roku wobec wierzycieli zagranicznych, głównie zachodnio-niemieckich (około 550 mln dolarów). Spłata została odroczone do końca marca bież. roku — „aby był czas na dalsze negocjacje”. Minister *Finansów* — Stanisław Nieckarz: Polska nie będzie mogła długów spłacić jeśli nie otrzyma nowych kredytów. ■ Jednocześnie prasa krajowa zaczęła drukować artykuły, stwierdzające że na roboty do Niemiec w okresie wojennym wywieziono ogromne rzesze Polaków i ludziom tym także należy się odszkodowanie. Zupełnie zapomniano o wielkich funduszach przyznanych przez rząd RFN Polakom (1,3 mld marek) w ramach odszkodowań emerytalnych za cierpienia, jakie przyniosła wojna i okupacja. Przekazano do Polski milionowe sumy od *IG Farben* (1975 r.), wypłacono rządowi PRL ponad 100 mln marek w formie odszkodowań dla ofiar pseudomedycznych doświadczeń. Pieniądze te „wyparowały”... A co z odszkodowaniami dla Polaków wywiezionych do Związku Sowieckiego po 17 września 1939 roku?

Andrzej J. CHILECKI

## Kronika kulturalna

### Piotr Słonimski

Piotr Słonimski jest dyrektorem laboratorium Genetyki Molekularnej w ośrodku CNRS w Gif-sur-Yvette oraz profesorem genetyki Uniwersytetu Paryskiego.

Słonimski rozpoczął karierę naukową jako asystent na Wydziale Embriologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Do Francji przyjechał w roku 1947 i wtedy dołączył do ekipy profesora Borysa Ephrussiego. Laboratorium profesora Ephrussiego zajmowało się niezwykle ciekawym tematem dziedziczenia pozachromosomowego.

Olbrzymia większość materiału genetycznego żywej komórki organizmów wyższych (to jest wszystkich oprócz bakterii i wirusów) znajduje się w jądrze komórkowym. Materiał genetyczny, czyli kwas dezoksyrybonukleinowy (DNA) w jądrze komórkowym tworzy wraz z białkami strukturę zwaną chromosomami. Prawa dziedziczności jądrowej (lub chromosomowej) zostały po raz pierwszy opisane przez czeskiego mnicha Gregora Mendla w roku 1865. Genialna interpretacja doświadczeń genetycznych Mendla nie została wtedy doceniona a jego prawa ponownie „odkryto” w początkach naszego wieku. Od tego czasu zaczęło się gromadzenie informacji o rzadkich przypadkach dziedziczności niezgodnej z prawami Mendla, czyli dziedziczności pozachromosomowej.

Wkład Piotra Słonimskiego w opisanie i wyjaśnienie tego fascynującego problemu biologicznego jest bardzo duży.

Jednym z podstawowych problemów biologii jest wybór odpowiedniego organizmu, nad którym można pracować. Od czasu swego pobytu w laboratorium Ephrussiego aż do dziś Piotr Słonimski pracuje nad komórkami drożdży. Drożdże są organizmem na tyle skomplikowanym, że mogą służyć za model dla praw rządzących komórkami organizmów wyższych i na tyle prostym, że pozwalają na względnie łatwą analizę tych praw. Piotr Słonimski był jednym z pierwszych, którzy potrafili doce-

nić wielką wartość drożdży jako organizmu eksperymentalnego. Łącząc metody genetyki i biochemii, Słonimski, wraz ze swoimi współpracownikami, wykazał, że wiele z funkcji dziedziczonych pozachromosomalnie jest związane z mitochondriami, czyli organelami odpowiedzialnymi za oddychanie komórki.

Przełomowym momentem w tej dziedzinie był rok 1963: odkryto DNA w mitochondriach. Rozpoczęto studia nad genami mitochondrialnymi.

Aby przeprowadzić analizę genetyczną jednego genu potrzebne są organizmy różniące się między sobą właśnie w tym genie. Laboratorium Piotra Słonimskiego w Gif-sur-Yvette skonstruowało wielką kolekcję drożdży — mutantów (to znaczy organizmów, posiadających zmiany w genach) mitochondrialnych. Analiza mutantów, przeprowadzona w tym samym laboratorium, pozwoliła na odtworzenie mapy genetycznej DNA mitochondrii. Zaczęto też badać ciekawy i skomplikowany problem interakcji między genami jądrowymi i mitochondrialnymi.

W początkach lat 70-tych biologia weszła w nową erę technologii manipulacji genetycznych. Technologia ta pozwala na izolację pojedynczych genów i ich modyfikację w probówce (*in vitro*). Analiza biochemiczna pojedynczych genów stała się możliwa.

Jednym z najbardziej zdumiewających odkryć ostatnich lat było stwierdzenie, że większość genów organizmów wyższych nie jest zakodowana w DNA w sposób ciągły. W genach nieciągłych kawałki DNA zawierające kodujący materiał genetyczny (eksony) są oddzielone od siebie kawałkami zdającymi się nic nie kodować (introny). Białko zakodowane w genach nieciągłych nie ma w sobie żadnych pozostałości intronów: sekwencje niekodujące są usuwane z produktów genów.

W wielu laboratoriach na świecie zaczęto prace nad mechanizmem wycinania intronów. Oprócz kilku wyjątkowych przypadków, mechanizm ten jest ciągle zjawiskiem dość tajemniczym.

W laboratorium Piotra Słonimskiego odkryto, że niektóre geny mitochondrii drożdży też mają charakter nieciągły. Co dziwniejsze, okazało się, że część intronów, zdefiniowanych jako DNA nie kodujące, jednak koduje białko. Analiza genetyczna mutantów tych intronów wykazała, że białko przez nie kodowane ma bardzo specjalną funkcję: służy do wycinania intronów, w których samo jest zakodowane, niszcząc w ten sposób swoją własną informację genetyczną! Mechanizm ten jest bardzo interesującym i drastycznym przykładem regulacji ekspresji genu przez jego własny produkt.

Tak więc matura, bo tak to białko zostało nazwane, jest pierwszym zidentyfikowanym enzymem, którego funkcją jest usuwanie intronów,

Wiadomo już, że nie wszystkie introny usuwane są przez maturazę tego typu co enzym odkryty w laboratorium Piotra Słonimskiego. Czy inne maturazy też zostaną zidentyfikowane w

komórkach drożdży? Czy ich mechanizm działania okaże się podobny do mechanizmu maturazy już znanej? Jaka jest funkcja genów nieciągłych? Na czym polega współdziałanie genów jądrowych i mitochondrialnych? Jaka była ewolucja tego podziału?

Na razie istnieją tylko hipotezy; można mieć nadzieję, że bliska przyszłość przyniesie wiele odkryć pozwalających odpowiedzieć przynajmniej częściowo na te fascynujące pytania.

Wkład Piotra Słonimskiego do badań nad tymi ważnymi zagadnieniami współczesnej biologii został ostatnio podkreślony przyznaniem mu złotego medalu CNRS, którym są honorowani najwybitniejsi francuscy naukowcy. Piotr Słonimski stał się też niedawno członkiem Francuskiej Akademii Nauk.



Poza swoją pracą naukową Piotr Słonimski ma wielkie zasługi dla polskiej biologii, której przedstawicielom systematycznie udostępnia możliwości pracy w swym laboratorium. W 1980 roku założył też stowarzyszenie „France-Pologne Solidarité”, którego jest po dziś dzień przewodniczącym i które odegrało istotną rolę w organizowaniu pomocy francuskiej dla Polski.

W 1985 roku Piotr Słonimski otrzymał nagrodę Fundacji Jurzykowskich.

## Richard Aeschlimann i wyznanie malarskie

Przełamało się we mnie zaufanie, że moje pisanie może być ważne. Dziś, kiedy już nie maluję, wszystko co o malarstwie piszę zdaje mi się niepewne i podejrzone. Piszę to w związku z wystawą Richarda Aeschlimanna w Chexbres<sup>1</sup> i z albumem z wielką ilością reprodukcji i dużym wstępem, właściwie książką młodego pisarza Kuffera<sup>2</sup>. Aeschlimann, który od lat wystawia naszych wspólnych przyjaciół i mnie, pierwszy raz wystawił w swojej galerii siebie. Zadeedykował książkę mnie i nazwał ją „Dédale de l'angoisse”. To są rysunki, *encres de Chine*, akwatinty itd. Znam jego rzeczy już od szeregu lat. Zawsze mną wstrząsały przeczarłym pesymizmem, ale też nieraz odpychały. Miałem wrażenie, że to nie jest sztuka, tylko coś bardzo bliskiego sztuce, tuż przy sztuce. Jedyne malarz, którego można z nim zestawić to Topor, którego przeważnie absurdalne karykatury nigdy mnie specjalnie nie interesowały. Ale Aeschlimann ten

1. Galeria „Plexus”, 1605 Chexbres pod Lozanną.

2. „Richard Aeschlimann”, Jean-Louis Kuffer, Editions d'Age d'Homme, wstęp Aleksandra Zinowiewa, Lausanne 1985.

cały absurd, te karykatury przemienił w swój własny „labirynt grozy” i naraz uświadomiłem sobie, że kiedy zabierałem się do malarstwa, nic a nic jeszcze o malarstwie nie wiedząc, marzyłem o takim właśnie malarstwie. Może bez świadomego absurdu, ale z najwyższym przeżyciem grozy istnienia.

Pamiętam, że miałem w kajecie taką straszną głowę, którą uważałem za moje jedyne arcydzieło. Kiedy pokazałem ten mój skarb profesorowi Akademii Warszawskiej, miłemu malarzowi Tichemu, i dodałem bez prawdziwego przekonania: „Ja wiem, że to jest słabe”, ten patrzył, patrzył i powiedział tylko: „Pan nie wie, jakie to jest słabe!”. W tym samym czasie zrobiłem kilka szkiców jednej starej Żydówki, która miała niezliczone zmarszczki na czole nie równoległe, ale prostopadłe do oczu, co nadało jej twarzy specjalny tragizm. Te małe rysunekzki nosiłem ze sobą z zamiarem zrobienia z nich obrazu. Nic z tego nie wyszło, ale założenie takich czarno-białych rysunków było właściwie identyczne z obrazami Aeschlimanna.

W 1921 roku wszedłem do Akademii w Krakowie i zaraz związałem się z późniejszymi kapistami, którzy to, co robiłem uważali za nic, za to ja odkrywałem poprzez moich kolegów tajemnicę koloru, budowy kolorem i zapomniałem o tematyce, do której chciałem dojść. Kiedy teraz patrzę wstecz, znajduję może dzieśnię swoich obrazów o tematyce autentycznie tragicznej: dwa obrazy żebraków, z których jeden, chyba najważniejszy, został — o ile pamiętam — zakupiony przez Poznań i drugi, o wiele spokojniej malowany i już podszyty jakimś bonnardyzmem, pomimo tematu daleki od ekspresjonizmu. No i w późniejszych latach może najwyższej dziesięć obrazów starych kobiet, które ocierają się o grozę istnienia.

W moich początkach w Akademii przez parę lat stałem jak przed ciemną ścianą, malując bardzo źle, aż przyszła epoka, od jakiegoś 1927-1928 roku, kiedy naraz zacząłem malować. Odkryłem malarstwo. Już z pędzlem. Od tego czasu nie malowanie *dédale de l'angoisse*, ale najprościej malarstwo jako takie stało się moim jedynym celem. Walka kapistów w Paryżu i potem w Polsce miała nieustannie na celu nie tematykę, ale nagą *peinture peinture*. W tej dziedzinie do czegoś doszedłem, czy daleko, czy blisko — nigdy tego nie będę wiedział. Ale nie „labirynt grozy” był dla mnie celem. Skończyłem na paru garnuskach na przeciętnym stole i szeregu pogodnych pejzaży.

Kiedy oglądam tom Aeschlimanna, wydaje mi się, że on jest w sercu problemu, tak jak w sercu problemu jest Dostojewski, jak chciał być w sercu problemu Żeromski, który jednak coraz to wpadał w kicz. Straszne rysunki Aeschlimanna, zadziwiająco precyzyjne i dramatycznie naturalistyczne, nie docierały do mnie najprościej dlatego, że łączyć go można z symbolizmem, który był w dwudziestych latach naszym wrogiem i wzorem niemalarstwa. Tu wchodzi przeklęte „izmy”.

Mam przed sobą książkę Michaela Gibsona o symbolizmie<sup>3</sup>.

3. Michael Gibson, „Les symbolistes”, Nouvelles Editions Françaises, Paris 1984.

Książka ta zdaje mi się ważka, specjalnie w dzisiejszych czasach. Symbolizm w dwudziestych latach był u nas, na Akademii Krakowskiej, znieuwadżony. Łączyliśmy to pojęcie z tak zwaną „secesją” i z młodzieńcym zapałem, pod wpływem ówczesnych prądów francuskich, uważaliśmy za sztukę niebyłą. Dziś, przeglądając książkę Gibsona, uderza mnie jedna rzecz: wszystkie „izmy”, które są bardzo cenne jako ramy obronne pewnych kierunków, które przez te „izmy” właśnie stają się znane (także kapizm, który łączył artystów, chociaż patrząc dzisiaj na ich dzieła widzimy, jak bardzo byli różnorodni), te same „izmy” spływają stosunek do artystów.

Odrzucenie symbolizmu dlatego, że punkty wyjścia tej sztuki były na przeciwnym biegunie impresjonizmu i całej fali post-impresjonistycznej było naturalnie najbardziej niesprawiedliwe. Autor książki o symbolistach, w której całe rozdziały poświęcone są Niemcom, Szwedom, Anglikom, Francuzom i Polakom wykazuje, że i ten kierunek miał bardzo wybitnych przedstawicieli, którzy w historii sztuki pozostaną. Nie mogąc czytać tej książki, sądzę ją według bardzo licznych i świetnych reprodukcji, ścisłego podziału na grupy narodowe, gdzie rozdział o symbolizmie polskim (Malczewski, Witkacy, Schulz, Wojtkiewicz) jest rozumnie rozpracowany. Naturalnie trudno jest ustalić granice symbolizmu. Wśród malarzy polskich przede wszystkim Malczewski wydaje mi się nie tylko najwybitniejszym symbolistą, ale może i najwybitniejszym malarzem polskim, którego my, kapiści, jakbyśmy nie zauważyli z tego właśnie powodu, że był symbolistą.

Wróćmy do Aeschlimanna, niezwykłego malarza grozy życia. Zaduszone zakamarki bez okien, labirynty, twarze szpetne lub groźne. Wśród nich twarze dzieci niewinne i zranione. Młody wynędzniały chłopak, jakby przymocowany do arcszykowego buta narciarskiego na czarnym tle, na kamienistej posadzce ułożonej z drobnych kamyków. (Ta twarz dziecka, tak bolesna w obojętnej ramie, kontrastująca tylko z tym butem — wyrazem największego luksusu i dosytu — przypomina mi niektóre dziecinne twarze Malczewskiego, przede wszystkim twarz małego śmieciarza, siedzącego na ławce pod wysokim drzewem). Drugi przykład, już nie malarstwa, ale rysunku, który bardziej niż wszystkie inne symbolizuje tę warstwę twórczości Aeschlimanna: skrzynka wielkości człowieka, do połowy obita drewnianymi płytami, od połowy oszklona. Cóż widzimy: pusty kwadrat przysypany żwirzem, u góry zaś gruby węzeł ze sznura, jakby na to tam zawieszony, by człowiek, który tonie mógł się uczepić i uratować. Puszczona w ruch maszyna wewnątrz skrzyni wyprowadza ze żwiru rękę z brązu. Ta ręka powoli podnosi się, jakby z wielkim trudem, ku węzłowi, ale w chwili gdy już sznura dotyka, opada i ginie w żwirze. Nie znam beznadziejności wyrażonej równie okrutnie. Jeżeli podaję ten przykład, to dlatego, że ta dziwna skrzynka jest dla mnie najwyższym wyrazem *dédale de l'angoisse*.

W tym samym tomie, z doskonałym tekstem Kuffera i wstępem Zinowiewa, mamy szereg stron z rysunkami i grafikami

przestrzennych pejzaży, łąk, pól czy winnic. Zdaje mi się, że te pola i winnice to jedyne sfery, gdzie autor jakby życie przyjuje i z życiem się godzi. Co da sztuka Aeschlimanna w przyszłości — nie wiem. Może te pejzaże są nadzieją, że jego dzieło nie pozostanie tylko świadectwem grozy.

Oglądając Aeschlimanna nagle wydaje mi się, że życie moje zmarnowałem. Ciągłe żywiłem nadzieję, że będę miał kilka lat ekspresjonizmu, to znaczy czegoś, co by mnie wiązało ze słynnym „Krzykiem” Muncha, z Dostojewskim, z Audibertim. Naraz zobaczyłem, że przez morze przepłynąłem i nie to, że utonąłem, ale wylądowałem na innym brzegu, do tego stopnia na innym brzegu, że gdybym dzisiaj mógł jeszcze dalej malować, to prawdopodobnie szedłbym prędzej śladami Morandiego, to znaczy przeciwieństwa „Krzyku”. I poczułem się oszukany, jak człowiek, który nie osiągnął nic z tego, co chciał osiągnąć. Spowodowało to ostry atak ponurości. Wyratowała mnie z tego przyjaciółka, z którą razem zacząłem oglądać mój wielki tom z kolorowymi reprodukcjami, w którym mi pokazała, że moja sztuka utworzyła swoją drogę, nieobcą również akcentom tragicznym.

Zdaje mi się, że po „śmierci” Cézanne'a musi przyjść nowa epoka malarska i podejrzewam, że będzie to nowy symbolizm, nowy Malczewski, nowy Munch. Dlaczego? Dlatego, że według tego wszystkiego, co dociera do mnie z Polski, jest tam jakiś dziki głód właśnie malarstwa tematycznego i dramatycznego. Epoka Cézanne'a — z grubsza mówiąc epoka kapistów, to znaczy i moja — jeżeli się na coś przydała, to tylko na to, że się oderwała od tematyki ściśle literackiej (wcale nie malarskiej). Cała nasza zasługa — jeżeli jakaś była — sprowadza się do tego, żeby malarz naprawdę malował, a nie tylko opowiadał. Jakże chciałbym to wszystko na nowo przemysleć z pędzlem w ręku! Co już niestety nie będzie mi dane.

Józef CZAPSKI

## Leopold Staff - syn czeskiego ojca

Irena Maciejewska, autorka cennej monografii *Leopold Staff. Lwowski okres twórczości* (PIW, 1965), wspomina o czeskim pochodzeniu ojca poety (str. 7)<sup>1</sup>. W swojej pracy pisze m.in.: „Rodzice poety (...) osiedlili się około 1870 roku we Lwowie, gdzie rodzina szybko się spolonizowała”. Sprawa nie przedstawia się

1. Czesław Miłosz w swojej *The History of Polish Literature*, Londyn 1969, str. 343, powtarza nieuzasadnioną legendę: „Born in Lwów into a family of Polonized Austrians...”.

jednak tak prosto. Trafna jest chyba uwaga Mieczysława Giergielewicza w artykule pt. „Leopold Staff i jego genealogia” (*Tygodnik Polski*, Londyn, 3 kwietnia 1978, str. 6) o matce poety: „Pani Leopoldyna Staffowa do końca życia nie nauczyła się mówić poprawnie po polsku...”.

Pierwszym dzieckiem Staffów była córka, którą ochrzczono — przypuszczalnie na życzenie ojca — czeskim imieniem Milada, nawiasem mówiąc romantycznie słowiańskim. Pierwszy syn, przyszedł poeta, urodzony 14 listopada 1978 roku, otrzymał na chrzcie imię Lcopold, po matce. Czeskie imię pierworodnej córki państwa Staffów nie przeczy oczywiście tezie o szybkim spolonizowaniu się rodziny, ale inne fakty z życia ojca poety kazały się nad nią zastanowić<sup>2</sup>.

Zmarły w 1902 roku Franciszek Staff był przynajmniej przez osiemnaście lat aktywnym członkiem oraz działaczem Czeskiej Besedy. Do tego stowarzyszenia Czechów osiadłych we Lwowie wstąpił w maju 1874 roku. W tym samym roku wszedł do komisji, powołanej w celu zorganizowania wielkiej zabawy. Dowiadujemy się następnie, że Franciszek Staff przekazał księgowemu Besedy 10 guldenów, zaznaczając, aby sumę tę przeznaczono na roczną prenumeratę pisma *Pokrok*, począwszy od 1 kwietnia 1875 roku. Wydawany w Pradze *Pokrok* był organem partii tzw. Staroczechów. Ojciec wielkiego poety wpłacił jednak wspomnianą sumę pod pewnym warunkiem, a mianowicie, że Beseda wyśle jednocześnie kwotę w tej samej wysokości w charakterze zapomogi „*ve prospěch zubožených rodin, padlých za svobodu svých vlasti Jihošlovanu* — „na rzecz zubożałych rodzin, których członkowie polegli za wolność swoich południowosłowiańskich krajów ojczyźnych”. Wynika z tego, że Franciszek Staff był nie tylko czeskim patriotą i popiecznikiem Staroczechów, ale i zwolennikiem idei solidarności słowiańskiej. W walce południowych Słowian z Turkami, popieranej przez Rosjan, stał po stronie rosyjsko-południowosłowiańskiej, bynajmniej nie po stronie oficjalnych sympatii rządu austriackiego.

W dokumentach świadczących o dalszej działalności Franciszka Staffa w Czeskiej Besedzie istnieje kilkuletnia przerwa. 26 września 1878 roku obrany został zastępcą członka egzekutywy Besedy, a 16 lipca 1881 roku mianowano go członkiem trzyosobowej komisji, której powierzono zadanie uzyskania lokalu dla Besedy. W roku 1885 dwukrotnie wybrano go na członka egzekutywy: 5 marca i 22 listopada. Staff pozostał wierny swoim „staroczeskim” sympatiom, o czym świadczy drobny fakt: od 10 października 1885 roku oddał do dyspozycji członków Besedy pismo *Pokrok*, które sam abonował. Dodać tu trzeba, że Franciszek Staff był człowiekiem oszczędnym, prenumerował bowiem organ Staroczechów z drugiej ręki, bo tak było taniej.

2. Informacje czerpię z książki Ludvika Feigla *Sto let českého života ve Lvově*, Plzeň 1924-1925. — Zobacz też mój artykuł: „Ojciec Leopolda Staffa jako działacz czeskiego stowarzyszenia we Lwowie” — w: *Ruch Literacki*, r. XVI (1975), zes. 6, str. 391-392.

Ukoronowaniem kariery Staffa w Besedzie było obranie go na stanowisko prezesa tego stowarzyszenia w 1886 roku. Funkcję tę piastował niespełna dziewięć miesięcy, od 3 lutego do 28 listopada. O działalności stowarzyszenia za prezesury Franciszka Staffa wiemy niewiele. 14 czerwca 1886 roku zorganizowano wycieczkę do Zimnej Wody, później odbył się bankiet. Zaabonowano czasopismo *Světovzor* z Pragi. Z inicjatywy prezesa wysłano 15 guldenów czeskiemu stowarzyszeniu pn. Komenský, które wspierało czeskie szkoły mniejszościowe w Wiedniu. Przekazano również pewną sumę pieniędzy organizacji Ustředni Matice Školská (Centralna Macierz Szkolna) w Pradze, która utrzymywała czeskie szkoły mniejszościowe, przede wszystkim na niemieckim obszarze językowym. Jak widać, Franciszek Staff w czasie swojej krótkiej prezesury starał się popierać działania, mające na celu ochronę dzieci czeskich przed wynarodowieniem w obcym środowisku. Jego syn Leopold miał w owym czasie prawie osiem lat, więc problem ten dotyczył również rodziny prezesa.

Tymczasem sytuacja polityczna w Czechach zmieniła się szybko i konserwatywnych Staroczechów zaczęli stopniowo wypierać aktywni Młodoczesi. Ten proces odzwierciedlił się również we Lwowie, w szeregach Czeskiej Besedy. Po zakończeniu kadencji prezesa Franciszek Staff został jeszcze wybrany w dniu 28 listopada członkiem egzekutywy, ale klimat stowarzyszenia uległ zmianie. Od 1887 roku Czeska Beseda prenumeryje — wbrew oporom Staroczechów, wśród nich Franciszka Staffa — zamiast staroczeskiego *Pokroku* młodoczeskie *Národní listy*.

Nawet po zmianie kierunku politycznego stowarzyszenia Franciszek Staff pozostał jego czynnym członkiem. W lutym 1887 roku przekazał Besedzie na zabawę fantową wielkie serce z piernika (przypomnijmy, że Staff był cukiernikiem) z okazji zabawy karnawałowej. Ofiarodawca zastrzegł jednak, że pieniądze uzyskane ze sprzedaży tego fantu mają być przekazane czeskiej Macierzy Szkolnej w Pradze.

22 kwietnia 1890 roku obrano Franciszka Staffa ponownie zastępcą członka egzekutywy Besedy. W oficjalnym spisie tego stowarzyszenia z marca 1892 roku figuruje na dziewiątym miejscu „Staff František, cukrář, Skarbkowska 11” (w kronice Besedy forma nazwiska „Staff” pojawia się dość często obok formy „Staff”). Od roku 1892 o jego działalności w Besedzie nic już nie wiemy.

Franciszek Staff był działaczem czeskiego stowarzyszenia, kiedy jego syn Leopold był dorastającym chłopcem (w 1892 miał lat 14). Trudno więc przypuścić, aby syn nie wiedział o działalności swego ojca i nie był świadom jego czeskiego patriotyzmu. Jak świadczy wzmianka Ludwika Feigla we wstępie do jego książki o środowisku Czechów we Lwowie, po pierwszej wojnie światowej w kołach tamtejszej czeskiej mniejszości panował pogląd, że polskość Leopolda Staffa (oraz jego brata Ludwika) była wynikiem konfliktu na tle czeskiego pochodzenia ojca i niemieckiego — matki. Konflikt ten miał spowodować ściśle związanie się wybitnego poety z kulturą polską.

Wykrycie ewentualnych wpływów świadomej czeskości ojca Leopolda Staffa na twórczość poety zasługuje na uwagę badaczy. Franciszek Staff był wielkim miłośnikiem książek — polskich i czeskich. Można więc przypuszczać, że zachęcał syna w dzieciństwie do lektury czeskich książek, jak baśni ludowych, łatwych wierszy, czytanek itp. Wiadomo też, że Leopold Staff interesował się w młodości słowianofilstwem — np. na drugim roku studiów uniwersyteckich we Lwowie, w latach 1898-1899, należał do *Kółka Słowiańskiego*<sup>3</sup>. Nie można w tym wypadku wykluczyć wpływu poglądów ojca<sup>4</sup>.

Leopold Staff był oczywiście Polakiem i wybitnym polskim poetą. Sądzę jednak, że warto przeanalizować jego dorobek literacki, korespondencję i inne dostępne dokumenty z jego biografii pod kątem wpływu idei, wyniesionych z domu rodzinnego. Nie jest wykluczone, że czeskie pochodzenie ojca oraz jego działalność na rzecz Czechów nie pozostały bez echa w twórczości poetyckiej syna.

Antoni MESTAN  
(Fryburg, RFN)

## Nowojorski Kongres PEN-Clubu

Od 13 do 17 stycznia obradował w Nowym Jorku 48 Kongres Międzynarodowego PEN-Clubu. Wzięli w nim udział oficjalni delegaci wszystkich nieomal centrów PEN działających w 84 krajach. Zjazdowi delegatów i posiedzeniom międzynarodowych komitetów — najważniejszy z nich to *Writers in Prison Committee* zajmujący się więzionymi pisarzami — towarzyszyły sesje literackie na zaproponowany przez Normana Mailera temat „Wyobraźnia pisarza i wyobraźnia państwa”.

Uwagę prasy, nie dopuszczanej na zamknięte obrady delegatów i komisji, zajęły głównie sesje literackie, te zwłaszcza, podczas których debaty przebiegały burzliwie. Szczególne zainteresowanie otaczało też powszechnie znanych autorów. Wśród siedmiuset uczestników sesji literackich znajdowali się trzej laureaci Nagrody Nobla — Czesław Miłosz, Saul Bellow i Claude Simon — a także Arthur Miller, Mario Vargas Llosa, Günter Grass, Nadine Gordimer, Susan Sontag, Norman Mailer, który jest w tej kadencji prezesem Amerykańskiego PEN-Clubu, Kobo Abe, Kurt Vonnegut, Wasylij Aksjonow, Tomas Venclova, John Updike.

3. Cyt. książka Maciejewskiej, str. 20.

4. Już ojciec Franciszka Staffa musiał skłaniać się ku słowianofilom, gdyż Franciszek dostał na chrzcie drugie imię Cyryl. Imię to było wtedy u Czechów sygnałem słowianofilstwa (zwłaszcza na Morawach).

Kongres miał więc swoje pracowite i stroniące od rozgłosu obrady zjazdu delegatów — i swoje prasowe sensacje z publicznych seansów. Sensacją taką był np. protest dość szczerzego zresztą grona nowojorskich literatów przeciw zaproszeniu sekretarza stanu George'a Shultza na sesję powitalną, czy starcie Mailera z nowojorskimi pisarkami żądającymi większego udziału kobiet w inaugurujących sesje referatach. Często też trafiały do prasy i telewizji okolicznościowe deklaracje Güntera Grassa, który atakował to Saula Bellowa — za pochwałę amerykańskiej demokracji — to znów, innego dnia, Mario Vargas Llosę. Świetny pisarz peruwiański, dawny prezes Międzynarodowego PEN-Clubu, Vargas Llosa wygłosił gorąco przyjęte przemówienie, w którym przestrzegał przed schematycznym przeświadczeniem, że pisarz zawsze reprezentuje polityczną wyobraźnię i ideały wolności w przeciwieństwie do pozbawionego wyobraźni państwa, rozróżniał państwo demokratyczne i totalitarne, wyrażał obawę, że znaczna część jego kolegów z Ameryki Łacińskiej wypowiedziałyby się dzisiaj nie za demokratycznymi rozwiązaniami, lecz raczej za takim czy innym programem totalitarnym, który ledwo wprowadzony w życie, zniósłby ich wolność pisarską i osobistą. Na tej samej sesji pod hasłem „Politycy o wyobraźni państwa” zabierali głos George McGovern, P. E. Trudeau i Bruno Kreisky, ograniczając się w zasadzie do obrony swoich wielokrotnie już wypowiedzianych poglądów.

Dużym zainteresowaniem cieszyła się sesja poświęcona wyobraźni i utopii, z udziałem Czesława Miłozsa i Tomasa Venclovy. Obszernie relacjonował ją *New York Times*.

Znajdujący się nadal „w stanie uśpienia” Polski PEN-Club również i tym razem nie miał oficjalnych delegatów. W zjazdowym sprawozdaniu dla prasy stwierdzono, że „nie zmieniła się sytuacja Polskiego PEN-Clubu, jednego z najstarszych, mającego 64-letnią historię i liczącego 250 członków”. Obok Czesława Miłozsa literaturę polską reprezentowali, jako indywidualnie zaproszeni goście, Artur Międzyrzecki — wiceprezes rozwiązanego przez władze zarządu Polskiego PEN-Clubu — oraz Ryszard Kapuściński i Adam Zagajewski, których wystąpienia na sesjach literackich zwróciły ogólną uwagę. Sesjom literackim przysłużyli się zamieszkałymi w Stanach Zjednoczonych Henryk Grynberg, Jarosław Anders i Anna Frajlich. Jednym z nowojorskich gospodarzy był Jerzy Kosiński, dawny prezes amerykańskiego PEN.

Uchwały i decyzje zapadały jednak na zjeździe delegatów. Z prezesury międzynarodowej odszedł po dwóch kandydaturach Szwed, Per Wästberg — redaktor naczelną *Dagens Nyheter* — i ustąpił miejsca Francis Kingowi, prezesowi Angielskiego PEN-Clubu. Faktem godnym odnotowania było przyjęcie Deklaracji Praw i Odpowiedzialności Tłumacza, dokumentu uznającego przekład literacki za „podstawowy czynnik kultury” i zmierzającego do zrównania praw tłumacza z prawami autora.

W sprawozdaniu *Writers in Prison Committee*, udostępnionym następnie prasie, konstatowano nasilenie się w wielu krajach różnorodnych form cenzury i represji. Fakty wypuszczania z wię-

zien — m.in. Lothara Herbsta, prezesa wrocławskiego oddziału rozwiązane ZLP — były w skali międzynarodowej nieliczne. W więzieniach przebywało, w styczniu 1986, 441 pisarzy. Na czolowych miejscach więziennej statystyki znajdowały się Kuba, Iran, ZSSR, Turcja i Wietnam.

Zjazd wystosował do szeregu rządów apele o rozpatrzenie spraw uwięzionych w duchu sprawiedliwości i humanitaryzmu, i o przywrócenie im wolności. Jeden z pierwszych apeli Kongresu dotyczył Adama Michnika. Przewodniczący komitetu, Michael Scammel, przedstawił również sprawy Czesława Bieleckiego, Mariana Terleckiego i innych.

Następny zjazd Międzynarodowego PEN-Clubu odbyć się ma w Hamburgu, w ostatniej dekadzie czerwca.

(j)

## Nagrody, nagrody...

### NAGRODY KULTURALNE „SOLIDARNOŚCI” ZA ROK 1985

Po rozpatrzeniu wielu kandydatur, zgłoszonych przez środowiska twórców i uczestników kultury, Komitet Kultury Niezależnej przyznał w styczniu 1986 Nagrody Kulturalne „Solidarności” za rok 1985. Nagrody są honorowe. Otrzymali je:

1. Jan Bokiewicz (Warszawa) — za plakaty niezależnych wystaw.
2. Krystyna Kersten (Warszawa) — za książkę „Narodziny systemu władzy. Polska 1943-1948”. Wyd. „Krağ”.
3. Krzysztof Knittel (Warszawa) — za kwartet smyczkowy poświęcony pamięci ks. Jerzego Popiełuszki.
4. Władysław Kopański (Warszawa) — za „Słownik mitów i tradycji kultury”. Wyd. PIW.
5. Hanna Krall (Warszawa) — za powieść „Sublokatorka”. Wyd. Libella, Paryż.
6. Kwartalnik *Krytyka* (Warszawa) — za różnorodność i wysoki poziom publicystyki.
7. Tadeusz Łomnicki (Warszawa) — za rolę w przedstawieniu „Ostatnia taśma Krappa” S. Becketta. Teatr Dramatyczny.
8. Marcel Łoziński i Jacek Petrycki (Warszawa) — za film „Ćwiczenia warsztatowe”. Prod. WFD.
9. Zespół „Nie samym teatrem” (Wrocław) — za spektakl „Epitafium św. Kazimierzowi”.
10. Wydawnictwo „NOWA” (Warszawa) — za różnorodne formy działania.
11. Kazimierz Podlaski (Warszawa) — za książkę „Białorusini, Litwini, Ukraińcy. Nasi wrogowie czy bracia?”. Wyd. „Przedświt”.
12. Marek Rostworowski (Kraków) — za wystawę „Niebo nowe i ziemia nowa?”. Parafia Miłosierdzia Bożego, Warszawa.

13. Jerzy Tchórzewski (Warszawa) — za cykl obrazów „Golgota”.
14. Teatr Domowy (Warszawa) — za profesjonalny model teatru domowego.
15. Tomasz Tomaszewski (Warszawa) — za wystawę fotografii „Ostatni”. Galeria ZPAF, Warszawa.
16. Teresa Torańska (Warszawa) — za książkę „Oni”. Wyd. „Przedświt”.
17. Jacek Waltoś (Kraków) — za cykl obrazów „Płaszcz miłosiernego Samarytanina”.

W 1983 roku została ustanowiona w PRL nagroda literacka Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, która jest przyznawana przez Zarząd Główny S.B.P. współczesnym polskim autorom najbardziej poczytnych i najlepszych, zdaniem bibliotekarzy, książek beletrystycznych i popularno-naukowych. Laureaci za 1984 rok zostali wyłonieni na podstawie plebiscytu, przeprowadzonego wśród bibliotekarzy 29 województw. Nagroda w dziale literatury niebeletrystycznej została przyznana Janowi Ciechanowskiemu za książkę „Powstanie Warszawskie”. Zgodnie z regulaminem nagrody S.B.P. występuje do Ministerstwa Kultury i Sztuki z wnioskiem o wznowienie tej książki w najbliższych planach wydawniczych. W tym samym dziale kolejne miejsca uzyskali: Olgierd Terlecki za książkę „Generał Sikorski”, Aleksander Krawczuk za książkę „Neron”, Ryszard Kapuściński za książkę „Cesarz” oraz Cezary Chlebowski za „Wachlarz”. W dziale literatury beletrystycznej przyznano nagrody: Wiesławowi Myśliwskiemu za książkę „Kamień na kamieniu”, Zbigniewowi Nienackiemu za „Raz w roku w Skiroławkach”, Romanowi Bratnemu za „Rok w trumnie”.

Nagrody pisarskie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Londynie za rok 1984 zostały przyznane Instytutowi Józefa Piłsudskiego w Londynie za wydanie „Korespondencji 1914-1917 Józefa Piłsudskiego” i płk. Kornelowi Krzeczunowiczowi za całokształt twórczości.

Ekumeniczna Wspólnota w Taizé (Francja) stworzyła specjalną Nagrodę Pojednania im. Mahatmy Gandhiego, która będzie przyznawana co roku w Światowym Dniu Pokoju (1 stycznia). Otrzymywać ją będzie osoba w szczególnie sposób zasłużona dla wzrostu zaufania i pojednania między ludźmi. Po raz pierwszy nagrodę przyznano 86-letniej Polce, p. Anieli Urbanowicz, działaczce ruchu oporu w czasie drugiej wojny światowej, która uratowała wiele osób. Mąż i córka p. Urbanowicz zginęli w Oświęcimiu.

Nagrody krakowskiej *Arki* za rok 1985 otrzymali: Gustaw Herling-Grudziński za całokształt dorobku twórczego oraz Adam Michnik za prace eseistyczne wydane ostatnio w tomach: „Niezłomny z Londynu i inne szkice”, „Dzieje honoru w Polsce” i „Szansa polskiej demokracji”.

W odpowiedzi na inicjatywę Komitetu Kultury Niezależnej grono pisarzy, przyjaciół Andrzeja Kijowskiego, utworzyło jury przyznające nagrodę Jego imienia. Nagroda będzie przyznawana następcom Andrzeja Kijowskie-

go za twórczość eseistyczną, poświadczającą wartości szczególnie bliskie Zmarłemu. Jury bierze pod uwagę autorów polskich niezależnie od miejsca ich powstania i opublikowania, dokonując wyboru laureata 29 listopada, w dniu urodzin Andrzeja Kijowskiego.

Walne zgromadzenie PAX-u ustanowiło doroczną nagrodę im. Bolesława Piaseckiego. W skali krajowej: za osiągnięcia w kształtowaniu ruchu umysłowego w sferze światopoglądowej i ideowo-politycznej — a w skali międzynarodowej: dla osób zasłużonych w dziele wspólnej walki o pokój i sprawiedliwość społeczną.

## NAGRODY FUNDACJI ALFREDA JURZYKOWSKIEGO

Nagrody za rok 1985 otrzymali: w dziedzinie medycyny prof. Ludwik Gross (USA) od lat prowadzący badania chorób nowotworowych, w tym leukemii; w dziedzinie biochemii i biologii molekularnej prof. Piotr Słomimski (Francja), członek Francuskiej Akademii Nauk, dyrektor laboratorium genetyki molekularnej C.N.R.S.; w dziedzinie fizyki prof. Jerzy Pniewski (Polska), zajmujący się badaniami w zakresie fizyki nuklearnej, blisko współpracujący z sowieckim ośrodkiem naukowym w Dubnej pod Moskwą; w dziedzinie matematyki prof. Stanisław Łojasiewicz, członek Papeńskiej Akademii Nauk; w dziedzinie historii doc. Bronisław Geremek, wybitny znawca dziejów Europy średniowiecznej oraz Adam Michnik, publicysta — obydwaj mieszkają w Polsce, przy czym Adam Michnik w więzieniu; w dziedzinie literatury poeta ks. Jan Twardowski, autor wielu zbiorów wierszy, duszpasterz warszawskiego kościoła S.S. Wizytek oraz Teodor Parnicki, znany pisarz — obydwaj mieszkają w Polsce; w dziedzinie sztuk pięknych malarz i pedagog Waław Taranczewski oraz muzykolog Krystyna Kobylańska, autorka wielu prac poświęconych Chopinowi — obydwoje mieszkają w Polsce.

Z nie bardzo zrozumiałych względów Fundacja A. Jurzykowskiego podała przy nagrodzie prof. Pniewskiego, że Dubna to *Poland*, a przy omawianiu jego działalności pominęła ZSSR; tak samo przy nagrodzie Adama Michnika wymieniono bardzo szczegółowo pisma, w których publikował swoje teksty, pomijając *Kulturę* i *Zeszyty Historyczne* oraz zapominając, że w Bibliotece *Kultury* ukazały się dwie jego książki.

Stowarzyszenie Korczakowskie w RFN przyznało nagrodę Igorowi Neverly, który był przyjacielem Korczaka i przez pewien czas Jego osobistym sekretarzem.

Fund for Free Expression w USA przyznał nagrodę Ewie Kuryluk, jako „bojownikowi o prawa człowieka” i za współpracę z *Zeszytami Literackimi* w Paryżu.



## Wolna trybuna

### O niektórych postawach w opozycji\*

Powszechnie uważa się, że najważniejszą nowością w kraju jest odrodzenie świadomości, odzyskanie przez ludzi zdolności do widzenia rzeczy własnymi oczami, a nie przez okulary, które stworzyło kilkadziesiąt lat życia pod ciśnieniem oficjalnej propagandy. Mówi się nawet, że to odrodzenie można uznać za odzyskanie przez Polaków niepodległości ducha.

Tak, to zapewne prawda. Mamy do czynienia z faktem dużej wagi i ponadto niezwykle widowiskowym. Tak widowiskowym, że łatwo przed nim oniemić z zachwytu. Te otwarte z oniemienia usta widzi się spoza wielu wypowiedzi krajowych, emigracyjnych i cudzoziemskich. Zaczyna to nudzić i niepokoić. Zachwyty bowiem jest bliski paraliżowi wzroku i myśli. Czas więc może skończyć z podziwianiem owej świadomości i pomyśleć, czy nie przesadzamy. A także popatrzeć, co się na nią składa i jak będzie ona służyła społeczeństwu w jego drodze do wolności, której końca nie widać, a *nie ma powodu, by musiała być krótsza od rozbiorów*. Może być krótsza albo dłuższa.

Ważnym elementem świadomości narodu jest świadomość jego elit. Mnie zaś interesuje szczególnie opozycja, *ponieważ powstanie opozycji uważam za jeden z najważniejszych zwrotów w powojennej historii kraju, a jej trwanie i rozwój za jedną z najważniejszych w Polsce spraw*. Ponieważ tak wielkie przypisuję temu znaczenie, rozumiałe jest, że nie chcę klaskać, lecz raczej skrobać w poszukiwaniu tego, co może ruch opozycyjny osłabiać, odrywając go od społeczeństwa i konfrontując ponad potrzebę z komunistami, którzy chcą go zniszczyć.

\* Referat wygłoszony na plenarnym zebraniu Sekcji Krajowej Kongresu Kultury Polskiej na Obczyźnie w Londynie we wrześniu 1985.

#### 1. Gorączka radykalizmu

Uważam, że takim niebezpieczeństwem jest zjawisko, które nazwałbym gorączką radykalizmu. Przebija ona z wielu publikacji w prasie niezależnej, jest więc rozpowszechniona, choć oczywiście nie dotyczy całej opozycji.

Gorączce radykalizmu ulegają — moim zdaniem — ci, u których emocjonalny odrzut komunizmu przerasta w przeświadczenie, zbudowane nie na rachunku, lecz na pragnieniu, że przy okazji jakiegoś lokalnego „trzęsienia ziemi” nad Wisłą można komunizm zniszczyć, zostawiając ewentualnie fasadę dla udobruchania Moskwy. Ci, dla których głównym zadaniem dla Polaków już dzisiaj jest pozbycie się tego wschodniego importu, podczas gdy dziś chodzi bardziej o to, jak przez umiejętną walkę stworzyć najlepsze warunki bytu narodowego w cieniu komunizmu tak długo, jak długo nie przyjdzie jego ostatnia godzina, której sami nie jesteśmy w stanie określić. Ci, którzy wobec tego w każdym wzburzeniu dostrzegają „godzinę zero” i starają się popychać sytuację ku upragnionemu przez nich celowi.

W okresie „Solidarności” mówiono, że współistnienie i rywalizacja nurtu radykalnego i umiarkowanego były czymś dobrym, bo nie pozwalały ześliznąć się związkowi na skrajności. Uważam tę opinię za błędną, ponieważ sądzę, że jeśli w latach 1980-1981 była jakaś szansa lepszego wyklarowania sytuacji niż stan wojenny, to było nią właśnie „ześliznięcie się” związku ku jakiejś ugodzie i współistnieniu z komunistami, nawet za cenę poważnych rezygnacji z ambicji ruchu. Chciał tego Wałęsa i bliski mu krąg ludzi. Chcieli zbudować politykę związku na doświadczeniach Kościoła, który w swej powojennej historii, gdy było to konieczne, szedł na ustępstwa nawet upokarzające w imię racji najwyższej, jaką było przetrwanie bez zraty niezależności, choćby na mniejszym terenie. Drogę do tego doświadczenia zagradzały „Solidarności” ogromne przeszkody. Jedną z nich byli ludzie, zmierzający do wyprawienia komunizmowi pogrzebu lub przynajmniej do zamienienia go w atrapę. Zmierzający świadomie, lecz może jeszcze częściej w miłym dla nich przekonaniu, że muszą iść w tym kierunku, bo skoro w kondukt pogrzebowy ustawia się cały naród, to nie ma sposobu, by go od tego odwieść. Tak to wtedy wyglądało i tak to widziało wielu, wielu z nas. Również wśród tych, którzy wiedzieli, że komunizm nie może umrzeć w Polsce w roku 1981, bo wskrzesi go silna sowiecka dłoń.

Pamiętam rozmowę z Tadeuszem Mazowieckim latem tamte-

go roku. Siedzieliśmy w „Szanghaju” przy Marszałkowskiej. Mazowiecki powiedział: „Wiesz, wszystko wygląda tak, jakby ten naród zabierał się do obalenia systemu. Ale przecież my nie możemy za tym pójść, bo tego się nie da zrobić!”. Trzynasty grudnia wykazał, że trup był żywy i całkiem sprawny, że chętnych do konduktu pogrzebowego nie było aż tak wielu i że za rzeczywistość wzięto chętnie pozory.

Radykalne skłonności nie tylko gładko przetrwały stan wojenny, lecz powiedziałbym, że stał się on dla nich znakomitą pożywką, szansą na niemalże epidemiczny rozwój, na pozyskanie wielu, który wcześniej uważali, że rozplamiony antyreżymowością wzrok nie jest dobrym narzędziem do wypatrzenia właściwej dla Polski drogi.

Równocześnie następował odpływ. Ta znikoma mniejszość przedgrudniowej bazy związkowej, która trzynastego rano podołała się w obronie „Solidarności”, stygła szybko w zapale po kolejnych lekcjach od ZOMO, powiększając szeregi tych, co sprawę uznali za przegraną już pierwszego dnia. Rewolucja rozbita w fabrykach i na ulicach, lecz trwająca nadal w wielu głowach zaczęła w tej sytuacji przerastać w różne postacie ucieczki od rzeczywistości, których widzę kilka.

## 2. Ucieczka w przyszłość

Jedną z nich nazywam ucieczką w przyszłość. Istnieje różnica między przygotowywaniem się do przyszłości, co jest mądre, a uciekaniem w przyszłość, co jest nerwicowe. Nie są moim zdaniem przygotowywaniem się do tego co będzie, lecz uciekaniem w przyszły szczęśliwszy czas te wszystkie rozważania i programy na temat instytucji Polski niepodległej, na temat tego, co będzie robił prezydent, rząd i sejm oraz czy senat jest, czy nie jest potrzebny. Taką samą ucieczką jest zastanawianie się, do kogo ma należeć Lwów, jakie ma tam mieć prawa polska społeczność, jaki będzie nasz stosunek do niepodległej Litwy i jak urządzić międzymorze. Uważam to wszystko za tworzenie *politique fiction* dla chwili, o której nie wiemy ani jak jest od nas odległa, ani jakie będą jej okoliczności, za konstruowanie szczegółowych budowli z klocków, o których nie wiemy czy będą wtedy jeszcze w obiegu, czy już w muzeach. Każdy oczywiście ma prawo wymyślać przyszłość na papierze i czasami nawet, przez zbieg ze szczęśliwym trafem, może to się przydać. Ucieczką od rzeczywistości stają się takie spekulacje wtedy dopiero, gdy robi się z nich oś działalności opozycyjnej, atakując jeszcze innych za to, że szukają sposobów, by już dziś poprawić warunki współistnie-

nia niekomunistycznego społeczeństwa z systemem, który jest i, póki co, musi być komunistyczny. Tak właśnie postępuje pewien odłam opozycji, nazywany czasami — szczególnie na emigracji — opozycją niepodległościową. Nie wiadomo dlaczego, bo w istocie cała polska opozycja jest niepodległościowa, a różni ją tylko to, jak do tej perspektywy trzeba odnieść się dziś.

Nie twierdzę, że problemy, które ten nurt opozycyjny wysuwa na czoło, nie będą kiedyś wymagały nowego rozwiązania w Polsce i wschodniej Europie. Twierdzę natomiast, że bez względu na to, czy sprawy te staną przed którymś z żyjących pokoleń, czy przed tymi co przyjdą, dzisiejsze spekulacje nie będą miały większego znaczenia. To co mówię dotyczy oczywiście kraju. Na emigracji, gdzie stykają się wygnańcy różnych narodów komunistycznego obozu, dyskusowanie i wzajemne wyjaśnianie spraw, które były sporne w przeszłości i mogą stać się sporne w przyszłości jest ważne, bo od tego zależy, czy emigracje polityczne będą działały wspólnie, czy w pojedynkę. W kraju można to wszystko załatwić krótkimi deklaracjami zasad i intencji. Zajmując się zaś wymienionymi wyżej tematami jako sprawą główną, traci się czas dla przygotowywania przesłanek, na które dziś możemy mieć pewien wpływ, a które dopomogą być może temu, by system polityczny niepodległej Rzeczypospolitej był sprawny, a międzymorze zostało właściwie urządzone.

Ucieczką w przyszłość jest wymyślanie przyszłych instytucji i porządków regionalnych. Nie jest nią poznawanie tego, jak funkcjonują współczesne demokracje, co je umacnia, a co osłabia. Poznawanie to znaczy kształcenie w kręgu opozycji ludzi, którzy — gdy zdarzy się im okazja — potrafią doradzić coś rozsądnego tym, co będą decydowali, a jeśli okazja im się nie zdarzy, przekażą wiedzę następcom aż do tej zmiany, na którą padnie dobry los. Poznawanie demokracji, ale również zapoznawanie z nią szerszej publiczności, szczególnie zaś tropienie i publiczne pokazywanie tego w postawach Polaków co, gdy przyjdzie czas walki o nowy porządek i urządzanie państwa, może się okazać groźne dla jej wygrania, a potem dla sprawnego funkcjonowania instytucji politycznych w kraju. Praktyka demokratyczna z czasów „Solidarności” — której analiza ciągle leży odłogiem — jest świetnym materiałem instruktażowym dla pokazania ludziom tego co w nich tkwi i co demokrację może niszczyć. Do uświadomienia im na przykład, że rząd demokratyczny w imię racji państwowych ma obowiązek zachować pewne fakty w tajemnicy nie tylko przed opinią publiczną, ale i przed parlamentem, że demokracja nie oznacza negocjacji przed kamerami telewizyjnymi, że zniesienie cenzury nie oznacza zniesienia odpowiedzialności za słowo, że demokratycznie podjętych decyzji trzeba się trzymać, a demokratycznie wybranemu szefowi podporządkować w gra-

nicach jego uprawnień. I wreszcie do uświadomienia tego, że są sytuacje, w których procedura demokratyczna powinna być zawieszona w imię wyższych racji. Sądzę, że te i inne oczywistości powinno sobie uświadomić wielu działaczy opozycji i że powinny być one dobitnie pokazane społeczeństwu poprzez te nasze wszystkie ciężkie przewinienia wobec demokracji właśnie, których przy pierwszym ćwiczeniu być może nie można było uniknąć, lecz nie wolno powtórzyć przy następnym. Tak rozumie przygotowywanie się do przyszłości. Rozumiem przez to przede wszystkim trzebieenie antydemokratycznych wirusów w opozycji i społeczeństwie i trzebieenie też tych wirusów, głównie nacjonalistycznego rodowodu, które kiedyś mogą przeskądzać we właściwym ułożeniu stosunków ze wszystkimi sąsiadami.

Konstruowanie i dekretowanie przyszłych rozwiązań jest również ucieczką od własnej bazy, od społeczeństwa, które jest umęczone, którego główną troską jest ciężkie dziś, jutro i pojutrze, które oczekuje pomocy, które pragnie, by ktoś wymyślił jakieś sposoby, by już teraz można było żyć w lepszym nastroju, lepiej i dostatniej.

*Jeżeli opozycja miałaby mówić społeczeństwu tylko o jego przyszłych rządach, prezydentach, senatach i granicach, to byłoby to równoznaczne z tym, że nie ma mu ona dziś nic do powiedzenia i nic do zaproponowania.*

### 3. Ucieczka w przeszłość

Ucieczką od rzeczywistości jest również niezmiernie rozpowszechnione w kręgach opozycji myślenie dyktowane i organizowane przez pragnienie nowego zrywu, który przywróciłby utracony świat początku lat 80-tych w jego ówczesnej lub jakiejś nowej postaci. Przykładami są liczne analizy różnych dziedzin życia społecznego, robione zapewne z myślą o poznaniu prawdy, lecz przekształcające się pod wpływem owego pragnienia — być może nie do końca uświadomionego — w obrazy złożone z czarnych faktów, wyselekcjonowanych z rzeczywistości po to, by przekonać siebie i czytelników, że żyjemy w ciężkim, lecz nieważnym międzyczasie, który szybko zmierza do samozniszczenia. Najobfitsze ślady tej postawy znaleźć można w opozycyjnej publicystyce ekonomicznej ostatnich trzech lat, gdzie pełno apokaliptycznych przepowiedni o spadku produkcji o połowę, eksportu na Zachód do zera, o głodzie, przymusowych rekwizycjach u chłopów, kolektywizacji i tak dalej. Dlaczego akurat w ekonomii? To proste. Stabilizacja polityczna w Polsce opiera się dziś na tym, że pałkarska edukacja ostatnich czterech lat — pacyfikując

znaczoną część dawnej bazy „Solidarności” — powiększyła wydatnie to, co nazywa się milczącą większością. Obejmuje ona dzisiaj niewątpliwie większość i to znaczną większość społeczeństwa. Jedynym bodźcem, który może znów pobudzić przynajmniej część tej większości i podważyć obecną sytuację, są sprawy noża i widelca. Dlatego właśnie wzrok tych wszystkich, dla których terazniejszość jest nie do wytrzymania, kieruje się ku ekonomii. Doskonale ich rozumiem, bo wszystko to sam przeżyłem, a rozumiejąc, nie zamierzam nikogo potępiać za reakcje, które są bardzo ludzkie. Uważam natomiast, że właśnie w kraju, gdzie dokuczliwa rzeczywistość, której się bezpośrednio doświadcza, najsilniej drażni uczucia, potrzebny jest wysiłek, by myślenie o sprawach kraju, by myślenie polityczne oderwać od wpływu skołatanych serc. Dlatego, że podsuwają wyobrażenia prowadzące na manowce. Podsuwają wyobrażenia o tymczasowości, a więc nieważności dzisiejszego czasu, który oglądany chłodniej *nie przedstawia się bynajmniej jako tymczasowy, a więc jest ważny. Ważny, a więc wymagający, by opozycja w nim właśnie określiła swe role, bo może być to czas, w którym przyjdzie jej trwać długo.*

Jak wiadomo, nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Nikt nie może uważać, że tak zgłębił duszę narodu, że potrafi przewidzieć jego reakcje. Prognozy są niebezpieczne dla tych co je robią. Mimo to zaryzykuję. *Moim zdaniem trzynasty grudnia jest wyjątkowym i niezwykle głębokim przełomem.* Jest to pierwsza po wojnie klęska masowego zrywu społecznego w starciu z władzą. Bez względu na wszystko nowe, co zostało po Sierpniu, takiej klęski wcześniej nie było. Wobec tego wszystkie schematy myślenia i prognozowania przyszłości muszą zostać ponownie przemyślane. W szczególności muszą być przemyślane i zrewidowane schematy, które ukształtowało nadzwyczajne dziesięciolecie lat 70-tych. *Sądzę przede wszystkim, że nie obowiązuje dłużej pogląd o zagęszczających się polskich wybuchach.* Nie obowiązuje, ponieważ zniszczone zostały podstawowe elementy mechanizmu, który w latach 70-tych dał podstawy do jego sformułowania. Zniszczony został mit strajku, zrodzony z Grudnia 1970 roku i tak wysoko podniesiony za „Solidarności”. Zniszczone zostało prawo „podwyżka cen — protesty — ustępstwo władz”. W samej władzy umocniło się przekonanie, że siła jest skutecznym środkiem tłumienia protestu pod warunkiem konsekwentnego stosowania i że nigdy nie wolno ustępować pod naciskiem.

Do tych pogrudniowych nowości dodać trzeba jeszcze kilka. Po pierwsze to, że społeczeństwo jest dziś po wielkim zrywie rewolucyjnym, który został przegrany. Po takim zrywie potrzebna jest często zmiana przynajmniej jednego pokolenia, by poja-

wiła się następna szansa. Po drugie to, że znaczna część społeczeństwa nie wspomina okresu „Solidarności” jedynie jako wolnościowego święta, lecz także jako okres wielkiego strachu; przed głodem, wojną domową, interwencją itd. Potrzeba wolności jest wielką potrzebą, ale potrzeba bezpieczeństwa jeszcze większą. Nie ma instynktu silniejszego niż instynkt samozachowawczy, a ten został w okresie „Solidarności” wystawiony na wiele ciężkich prób i to nie zawsze przez władze. Ludzie to pamiętają. Dziś jakaś perspektywa kolejnego poruszenia pobudziłaby być może bardziej pamięć o wielkim strachu lat 1980-1981 niż o wielkiej swobodzie. Po trzecie: między końcem lat 70-tych a połową lat 80-tych istnieje zasadnicza różnica stosunku konsumpcyjnych oczekiwań społeczeństwa i realnego poziomu życia. W końcu lat 70-tych oczekiwania odziedziczone po pierwszej połowie dziesięciolecia były ogromne, a poziom życia się pogarszał. Rozwierały się nożyce między tymi dwoma elementami, co zawsze jest niebezpieczne dla porządku społecznego. Dziś ludzie żyją znacznie gorzej niż w końcu lat 70-tych, ale ich oczekiwania po jakichś siedmiu latach ostrego kryzysu bardzo opadły. Nie ma więc rozpiętości tak ostrej, a jest jednak pewna poprawa zaopatrzenia. Gdyby sytuacja wróciła do roku 1979, odczuto by ten powrót jako wielką ulgę, choć wtedy wydawała się nie do zniesienia.

Krótko mówiąc, nawet w odległej perspektywie nie widać dziś niczego, co mogłoby społeczeństwo pobudzić. Można powiedzieć, że po wielkiej fali wielki odpływ. Okres, który zaczął się 13 grudnia 1981 roku nie jest więc międzyczasem, nie może być tak traktowany. Opozycja nie może przetrwać — bez wielkich szkód — tego okresu z oczami wypatrującymi nowego Sierpnia i nie może ulec sugestiom, że jej jedynym zadaniem jest przygotowywanie się do kolejnego starcia. Musi starać się wpływać na sprawy ważne dla ludności dziś przy pomocy tych środków, które są właściwe dla czasów odpływu.

#### 4. Ucieczka w drugi obieg

W związku z tym pozostaje jeszcze jedna postać ucieczki od rzeczywistości. Nazywam ją ucieczką w drugi obieg, wyprowadzeniem się do tych przyczółków Polski niezależnej, które udało się stworzyć nad Wisłą, całkowitym odwróceniem się od Polski oficjalnej. Jak powiedziałem na początku, uważam drugi obieg za najważniejszą polityczną zdobycz powojenną, a jego uchronienie i rozwinięcie za jedną z najważniejszych spraw. Lecz poza drugim obiegiem pozostaje i pozostanie większość Polaków wraz

z większością spraw, które wyznaczają ich dzisiejszy i przyszły los. A także prawie cały materialny dorobek narodu i najważniejsze organizacje, które są potrzebne społeczeństwu w każdych warunkach. Pamiętając, jak ważną sprawą jest zachowanie tych pól, na których można coś robić bez aprobaty komunistów, nie trzeba zapominać, że najważniejszym obowiązkiem opozycji jest wpływanie na poprawę stanu i perspektyw całej Polski i dopomaganie społeczeństwu w rozwiązywaniu po jego myśli spraw, które są dla niego ważne. A ponieważ większość tego co wyznacza losy kraju i zamieszkujących go ludzi rozstrzyga się w Polsce oficjalnej, opozycja nie może się od niej odwracać. *PRL-u nie można zhojkotować inaczej jak za cenę opuszczenia społeczeństwa w tych sprawach, z którymi ono nie może udać się gdzie indziej, jak tylko tam właśnie.*

Jeżeli partia trwa w degrengoladzie, to jej oponenti nie mają powodu, by się tym martwić. Jeżeli ideologia oficjalna jest w Polsce martwa, to przeciwnicy tej ideologii mogą się z tego tylko cieszyć. Jeżeli bezpieka mimo kilkuletnich polowań nie ma ostatecznych sukcesów w walce z podziemiem, to ci co uważają, że nie należy wykorzystywać policji do walki z przeciwnikami politycznymi mogą tylko zatrzeć ręce. Ale jeżeli — tytułem tylko jednego przykładu, choć można podać ich więcej — gospodarka narodowa trwa w marazmie i grozi on jej jeszcze przez wiele lat, to fakt ten wymaga zupełnie innego podejścia. Trudności ekonomiczne nie mogą budzić zainteresowania tylko dlatego, że może z nich wynikać kolejna kryzysowa sytuacja polityczna. Gospodarka bowiem, choć dziś w gestii komunistów, pozostaje dobrem narodu i zależy od niej jego status cywilizacyjny oraz pozycja w społeczności międzynarodowej.

*W Polsce oficjalnej znajdują się więc meble o różnych znakach wartościowych, meble komunistów, o które nie musi nas boleć głowa, i zawłaszczone przez nich meble narodowe, których los nie może być nam obojętny. Jeżeli tak, to do PRL trzeba mieć stosunek zróżnicowany, a nie jednolity. Otóż w stylu myślenia wielu opozycjonistów, a nawet w deklaracjach można znaleźć objawy takiego jednolitego, negatywnego nastawienia. Odrzut od komunizmu jest tak silny, że każdy kawałek naszego gruntu, na którym „oni” stawiają stopę zabarwia się na czerwono i nabiera cech wrogiego terytorium, któremu mimo woli nie życzy się niczego dobrego. Ogarnięta przez komunistów część materialnej własności narodu, upodobniając się w ten sposób do ich własnego inwentarza, zaczyna być odrzucana jak on.*

Gdybyśmy żyli w czasach dających jakieś realne podstawy do przekonania, że w niedługiej perspektywie powstaną warunki dla

zasadniczych przekształceń na naszym obszarze geograficznym, wówczas taka postawa miałaby sens. Warto byłoby zaszyć się w drugim obiegu po to, by zrobić z niego jak najsprawniejsze narzędzie nadchodzących zmian, by przygotować opozycję do trudnej roli, polegającej na zdarciu z kraju obcej skorupy i do urzędzenia go wedle wyobrażeń narodu. Lecz wszystko dziś wskazuje, że nie żyjemy w takim czasie wielkiej nadziei i że wobec tego naszym głównym obowiązkiem pozostanie Polska taka jaka jest, w tym ta jej ogromna większość, którą historia zaklęła w PRL.

Pamiętamy z dzieciństwa bajki o księciu zaklętym w jakieś paskudztwo. *Otóż nie należy zapominać o tym, że w PRL-u tkwi zaklęta Rzeczpospolita*, że my tego zaklęcia nie jesteśmy w stanie dziś zdjąć, choć kiedyś ono opadnie. Kształt, jaki się wtedy wyłoni, zależeć będzie od tego także, jak dziś opozycja odniesie się do Polski oficjalnej. Czy z obecności w jej różnych instytucjach zrobi zasadę programową, czy będzie nadal traktowała problem półgębkiem. Obecność w instytucjach oficjalnych po to, by prowadzić w nich pracę pozytywną to nie jest pogląd popularny w kręgach opozycji, choć ludzie z nią związani są tam i pracę taką prowadzą. Pogląd jest niepopularny, bo uważa się go za nawracanie do uzasadnień ludzi określanych kiedyś mianem gnid. *Otóż to, co brzmi tak samo, nie zawsze znaczy to samo. Dziś ruch opozycyjny jest dużą zorganizowaną formacją, która tkwiąc poza systemem może z pewną skutecznością go penetrować i zwiększać w ten sposób swój wpływ na to, co się tam dzieje, nie tracąc równocześnie swego oblicza.* A ponieważ uważam, że autorytet opozycji wśród ludzi zależeć będzie na dłuższą metę wyłącznie od tego, na ile potrafi ona wpływać na bieżące życie kraju, sądzę, że do uczuć podpowiadających filozofię bojkotu jako główny stosunek do PRL trzeba podchodzić z rezerwą. Chcę być dobrze zrozumiany: nie namawiam do wyrzeczenia się bojkotu jako instrumentu walki politycznej stosowanego w konkretnych sytuacjach. Wprost przeciwnie, chodzi mi o to, by bojkot traktować jako narzędzie właśnie, które stosuje się wybiórczo, a nie jako propozycję generalnej postawy wobec Polski oficjalnej. *Postawą generalną musi być obecność, i to trzeba wyraźnie powiedzieć, bez uników.* W kilka miesięcy po zlikwidowaniu „Solidarności” i innych organizacji lat 1980-1981, po zniszczeniu tego azylu dla kilkunastu milionów ludzi można było łatwo przewidzieć, że ta ogromna rzesza, a na pewno jej większość, spłynie stopniowo, wolniej lub szybciej, do różnych organizacji oficjalnych. Dziś też można przewidzieć, że za kilka lat w związkach zawodowych, partii, organizacjach młodzieżowych będzie znacznie więcej członków niż obecnie. To jest proces naturalny. Można go powstrzymywać, nie można go zatrzymać. Powstaje pytanie,

czy dla zachowania związków ruchu opozycyjnego z tą rzeszą ludzi, którzy kiedyś byli bazą „Solidarności”, a teraz wrócili lub wrócą do PRL, dobrze jest, gdy wracając mają oni poczucie, że łamią nakaz solidarności, że wyrzekają się tych nadzwyczajnych kilkunastu miesięcy w swym życiu po to, by lepiej ułożyć różne własne sprawy codzienne? Czy nie byłoby lepiej, gdyby mieli świadomość, że idą tam z misją kontynuacji po to, by w nowych cięższych warunkach realizować solidarnościowe *credo*. Okres po trzynastym grudnia do dziś można określić z punktu widzenia psychologicznego jako sytuację powszechnego konfliktu sumień i przyziemnych konieczności. Filozofia bojkotu, zaostrzając ten konflikt, pozwala w pewnej liczbie przypadków rozstrzygnąć go na rzecz sumień, ale w większości przypadków sumienia uszkadza. Dlatego opowiadam się za obecnością jako podstawą stosunku opozycji do PRL, a także jako podstawą myśli programowej, z którą zwraca się ona do społeczeństwa. Nie muszę chyba wyjaśniać, że mówiąc o obecności nie sugeruję, by opozycja wpłynęła się w strukturach oficjalnych, a ludzie z nią związani powrócili do owego skromniutkiego pozytywizmu z lat 60-tych. Mówiąc o obecności nie mam na myśli także tego, by ludzie opozycji jak jeden mąż i za wszelką cenę zaczęli dążyć do pojawienia się w jakichś zorganizowanych i zalegalizowanych formach w jawnym życiu publicznym. *Mówiąc o obecności nie mam na myśli porozumienia, to nie jest to samo, choć za porozumieniem jestem.* Lecz do niego potrzeba dwóch, a dzisiaj ich nie ma. Obecność to po pierwsze takie myślenie o Polsce Ludowej, które w odniesieniu do tego co jest w niej nasze odrzuca konsekwentnie zasadę „im gorzej tym lepiej”, a podporządkowane jest zasadzie „im lepiej tym lepiej”. Obecność po drugie to dostarczenie naszej motywacji ideowej tym ludziom, którzy nie mogą lub nie chcą stać zupełnie z boku, a nie uważają, by ich miejsce było w drugim obiegu. Umotywowanie przez nas ich obecności tam. Gdziekolwiek są, także w partii i milicji. Nie zapominajmy o tym, jak zachowały się w okresie „Solidarności” partyjne rzesze, a także znaczna część funkcjonariuszy milicji. Nie antagonizujemy ich z nami bez potrzeby. Wreszcie obecność to obecność w wąskim tego słowa znaczeniu. Trzymanie każdej pozycji i zdobywanie następnych, także za cenę kompromisów. Nie można ustalić dla wszystkich ludzi i dla wszystkich sytuacji granicy, która dzieli kompromis od kapitulacji. To wymaga każdorazowej oceny, lecz na wyniki tych ocen wpływa klimat, panujący w opozycyjnych środowiskach. Jeśli jest to klimat bojkotu, to łatwo przegapić różne warte podjęcia okazje; jeśli byłby to klimat obecności, to oczywiście łatwiej wpaść w pułapkę. Lecz z pułapki można się wycofać, straconych okazji na ogół się nie odzyskuje.

## Zakończenie

Na zakończenie chciałbym podkreślić wyraźnie, że moje uwagi krytyczne nie odnosiły się do sfery zasad, do pryncypiów, którymi kierują się dziś praktycznie wszyscy ludzie opozycji. Nie były one krytyką naszego podstawowego stosunku do komunistycznego porządku, który jest stosunkiem negacji. Odrzucamy komunizm jako rozwiązanie ustrojowe i w tym sensie, na płaszczyźnie ideowej, wszyscy jesteśmy radykałami. Lecz między sferą zasad a sferą postaw politycznych istnieje rzeczywistość, której nie wolno poddać się niewolniczo, lecz której nie należy też ignorować.

Na stosunku negacji, na tym samym radykalnym fundamencie ideowym mogą być zbudowane różne postawy. Może na nim być zbudowana postawa określona słowami „musimy się w tym systemie umieścić” (to są słowa Lecha Wałęsy z 1981 roku). Postawa oparta na założeniu, że skoro do współistnienia z systemem jesteśmy zmuszeni siłą rzeczy, to trzeba ten fakt uznać i trzeba, by stał się on jednym z podstawowych elementów organizujących nasze myślenie o polskiej teraźniejszości i przyszłości.

Na stosunku negacji może być także zbudowana inna postawa, określona słowami: „Jak górnicy polscy uderzą pięścią w stół, to kuranty kremłowskie zagrają Mazurka Dąbrowskiego” (to są słowa Andrzeja Rozpłochowskiego z roku 1981). Postawa oparta na całkowicie zmitologizowanym wyobrażeniu o układzie sił.

Tej właśnie postawy dotyczyła moja krytyka, ponieważ uważam ją za jałową intelektualnie i za niebezpieczną politycznie. Uważam ją za jałową intelektualnie, bo myślenie które z niej wynika, z chwilą gdy dochodzi do jakichkolwiek konkluzji, sugeruje rozwiązania wymagające środków działania, których nie mamy. Żeby być jastrzębiem, nie wystarczy jak on krzyżeć, trzeba jeszcze mieć ostry dziób i szpony. Myślenie radykalne w polskiej sytuacji jest myśleniem nihilistycznym, prowadzącym się praktycznie do zamalowywania i tak ponurej budowli komunizmu jeszcze jedną ponurą warstwą.

Uważam tę postawę także za politycznie niebezpieczną. I to zarówno w długich okresach stabilizacji oraz odpływu nastrojów, jak i w krótkich okresach zrywów. Jest ona niebezpieczna w okresach odpływu nastrojów społecznych, ponieważ pozostaje z nimi w sprzeczności, ponieważ podsuwa zachowania, do których społeczeństwo nie jest w takich okresach zdolne. Faktycznie więc odsuwa je od ruchu opozycyjnego, który w tym wydaniu w takich sytuacjach ma do zaoferowania ludziom jedynie czarne freski, wspomagające praktycznie pacyfikacyjną akcję władz.

Za szczególnie niebezpieczny zaś uważam go w okresach wzburzeń, bo podważa szanse zrobienia jakiegoś kolejnego kroku poprawiającego pozycję narodu, które zwykle przy okazji takich wzburzeń się pojawiają.

Stosunek do myślenia radykalnego taki jak go wyżej przedstawiłem nie jest dla mnie dogmatem. Są różne fronty i różne sytuacje. Walka z komunizmem trwa także na Zachodzie i polega na zdejmowaniu bielma z oczu tutejszych społeczeństw i ich elit intelektualnych oraz politycznych. Na tym froncie w każdej sytuacji realizmem jest radykalizm. Na froncie krajowym obowiązuje relatywizm. Moja krytyka *nie odnosi się* do takiej sytuacji politycznej, gdy jakieś przyszłe trzęsienie ziemi nad Wisłą okaże się fragmentem ruchów tektonicznych na szerszych obszarach komunistycznej domeny. Odnosi się natomiast do tych przyszłych sytuacji, gdy nie będzie się trzęsło nigdzie lub gdy trzęsło się będzie tylko w Polsce. Taka sytuacja — z naszego punktu widzenia — weszła już w ostatnią dekadę pierwszego półwiecza, a może być jeszcze całą epoką historyczną. Dopóki będziemy w niej żyli — jest to moje głębokie przekonanie — każda izolowana próba usunięcia systemu jednym zamachem skończy się w istocie jego umocnieniem, podczas gdy umiejętne kombinowanie walki ze współistnieniem może stopniowo wykruszać jego antyhumanistyczne rogi. Właśnie dlatego, byśmy w przyszłości byli bardziej zdolni niż w latach 1980-1981 do dobrania właściwych działań do sytuacji, trzeba o tych sprawach mówić dziś.

Waldemar KUCZYŃSKI

Paryż, wrzesień 1985

## KOMENTARZ REDAKCJI

Publikowany powyżej artykuł Waldemara Kuczyńskiego wyraża niewątpliwie z troski o przyszłość polskiej opozycji. Autor słusznie uważa 13 grudnia 1981 roku za datę przełomową w powojennej historii Polski i słusznie nawołuje do odrzucenia schematów myślowych nie dostosowanych do sytuacji obecnej. W zasadzie trafna jest również jego krytyka rojeń przyszłościowych i nostalgicznego zapatrzenia w przeszłość, które zastępują analizę teraźniejszości, oraz egzaltowanej antykomunistycznej retoryki, która zastępuje działanie. Na wiele wypowiedzianych przezeń poglądów nie podobna się jednak zgodzić:

1. Kuczyński utożsamia opozycję z „drugim obiegiem”. Nie wiadomo, czy ma na myśli tylko niezależny ruch wydawniczy czy również działalność samokształceniową, oświatową, artystyczną. Pominięcie milczeniem „Solidarności” świadczy wszakże, iż Ku-

czyński nie przywiązuje żadnej wagi do działalności związkowej. Zresztą, jego zdaniem „Solidarność” przestała właściwie istnieć już 13 grudnia 1981 roku: „znikoma mniejszość przedgrudniowej bazy związkowej, która poderwała się w obronie 'Solidarności' trzynastego rano stygła szybko w zapale po kolejnych lekcjach od ZOMO, powiększając szeregi tych, co sprawę uznali za przegraną już pierwszego dnia”.

Nie tu miejsce na wszczynanie sporu o ocenę zachowania „bazy związkowej”, której ani działacze związku ani jego publicyści nie przygotowali do stawienia czoła uderzeniu władzy. Pozostaniemy przy dniu dzisiejszym. Nie idealizując stanu, w jakim znajduje się „Solidarność” i nie ulegając mitologii „dziesięcioletniego rewolucyjnego związku”, trzeba jednak stwierdzić, że po czterech z górą latach od antynarodowego przewrotu generała Jaruzelskiego wciąż jeszcze istnieje TKK oraz niektóre struktury regionalne i zakładowe. Zewnętrznym tego przejawem jest ukazywanie się prasy związkowej czy choćby sprawność, z jaką zdołano zorganizować kontrolę frekwencji podczas wyborów do Sejmu i podać wyniki do wiadomości publicznej.

Co ważniejsze, wybory do Rad Narodowych — znane Kuczyńskiemu, gdy pisał swój artykuł — oraz późniejsze wybory do Sejmu pozwalają przyjąć, że wpływy „Solidarności”: Lecha Wałęsy, TKK, instancji regionalnych i lokalnych — obejmują 20 % do 35 % dorosłych mieszkańców miast. Nie znaczy to, rzecz jasna, jakoby było w Polsce kilka milionów osób gotowych na każde zawołanie strajkować czy manifestować. Ale znaczy, że opozycja, której trzmem nadal pozostaje „Solidarność”, dysponuje potencjałem, jakim nie dysponował — pomijając krótkotrwałe zrywy — żaden ruch niezależny w państwach bloku sowieckiego. Że może liczyć w skali masowej na gotowość do rozsądnego ryzyka — takiego np., jak to, które wiązało się z odmową udziału w wyborach — pod warunkiem jednak, by umiała wytyczyć cele zdolne nadać temu ryzyku sens.

2. Kuczyński jak gdyby o tym wiedział. Wspomina przecież, że „ruch opozycyjny jest dużą zorganizowaną formacją”, przeceniając zapewne jego zwartność, która pozostawia bardzo dużo do życzenia. Ale zarazem w całym swym artykule akceptuje bierność, zniechęcenie, pogodzenie opinii z władzą i strach przed powrotem do stanu, jaki istniał między sierpniem 1980 a grudniem 1981. Zaś cele, do jakich jego zdaniem opozycja winna dziś dążyć, oraz postawa, jaką jej proponuje, nie uwzględniają wcale ani jej zasięgu, ani pokładanych w niej nadal oczekiwań. „Chodzi mi o to — stwierdza — by bojkot traktować jako narzędzie właśnie, które stosuje się wybiórczo, a nie jako propozycję generalnej postawy wobec Polski oficjalnej. Postawą generalną powinna być obecność i to trzeba wyraźnie powiedzieć, bez uników”.

Obecność — gdzie? Jaka obecność? Kuczyński wyjaśnia: „Za parę lat w związkach zawodowych, partii, organizacjach młodzieżowych będzie znacznie więcej członków niż obecnie. To jest proces naturalny. Można go powstrzymać, nie można go zatrzy-

mac”. Autora poniosło tu chyba pióro. Proponować opozycji, by uznała wzrost liczby członków PZPR, nowych związków i innych organizacji urzędowych za „proces naturalny” — to przecież tyle, co proponować jej, by przestała istnieć. Działanie opozycji wyrasta bowiem nie tylko z imperatywu moralnego lecz również z przekonania, że można skutecznie i na długo zahamować szeregienie się postaw kolaboranckich — bo tak właśnie powinny być nazywane — że można i trzeba wytwarzać w tych, którzy wstępują teraz do PZPR czy organizacji satelickich poczucie, że naruszają obowiązującą normę zachowania obywatelskiego i że łamią nakaz ogólnonarodowej solidarności. W przeciwieństwie do Kuczyńskiego uważamy zatem, że nie należy tworzyć w kandydatkach do PZPR i PRON świadomości, „że idą tam z misją kontynuacji, by w nowych cięższych warunkach realizować solidarnościowe credo”. Nie należy, innymi słowy, z góry wystawiać każdemu oportuniście patentu na Konrada Wallenroda, bo może to tylko spowodować skutki sprzeczne z intencjami samego Kuczyńskiego, który nie chce przecież, „by opozycja rozplynęła się w strukturach oficjalnych”. Jedynym sposobem na utrzymanie przez nią swej tożsamości jest natomiast wskazywanie, gdzie w różnych sytuacjach przebiega granica między usprawiedliwionym kompromisem a postępowaniem niedopuszczalnym oraz dostarczanie motywacji nie tym, którzy chcą iść do PZPR czy milicji, ale tym — i tylko tym — którzy, choćby za cenę wyrzeczeń, chcą zachować osobistą niezależność, ograniczając więzy narzucane przez reżym do nieuniknionego minimum.

To minimum jest oczywiście inne dla profesora niż dla robotnika i inne dla inżyniera niż dla pisarza. Ale w każdym środowisku można je określić. I trzeba, by w każdym były autorytety moralne umiejące to zrobić i świadczące własnym przykładem, że niepodległość — ostateczny cel działań opozycji — zdobywać należy od dziś, zaczynając od samego siebie. Choć niepodległość Polski nie jest tylko sumą jednostkowych niepodległości Polaków, gdyż jej urzeczywistnienie wymaga również sprzyjających okoliczności międzynarodowych, niepodległości jednostkowe są wszelako jej warunkiem koniecznym. Odłączona od nich — staje się pustym frazesem, z którego nic nie wynika.

3. Cały artykuł Kuczyńskiego przepojony jest przekonaniem, że „milcząca większość”, która obejmuje dziś „znacznie większość społeczeństwa”, interesują tylko „sprawy noża i widelca” i że „nawet w odległej perspektywie nie widać dziś niczego, co mogłoby społeczeństwo pobudzić”. Pomińmy sprawę zasadności przenoszenia pojęcia *silent majority* do kraju socjalizmu realnego, gdzie władza ma prawnie zagwarantowany monopol słowa publicznego i gdzie próby łamania tego monopolu podlegają represji, choć w Polsce trzeba było w tej dziedzinie poczynić koncesje na rzecz Kościoła. Pomińmy też ocenę globalnego nastawienia społeczeństwa polskiego, naszym zdaniem zdecydowanie przeczermioną, i swego rodzaju historyczny pesymizm Kuczyńskiego, który odsuwa perspektywę zmiany na lepsze — choćby cząstkowej — w przyszłość tak daleką, że aż nierzeczywistą. Nie

możemy jednak zgodzić się z postawą, która zakłada, że opozycja nie powinna od nikogo niczego żądać, że nie powinna nikomu sprawiać kłopotów, że ma po prostu dostosować się do nastrojów chwili i powiedzieć każdemu to, co chce usłyszeć. A to właśnie postuluje Kuczyński, gdy domaga się, by opozycja zrobiła z obecności w instytucjach oficjalnych „zasadę programową”. Opozycja, która by przyjęła taką zasadę, byłaby opozycją ułatwioną, zwalniającą z jakichkolwiek konfliktów sumienia i gwarantującą wszystkim komfort moralny, gdyż z góry udzielającą rozgrzeszenia nawet zwolennikom władzy, bo i oni mają przecież czyste intencje. Tylko czy byłaby to jeszcze opozycja? A jeśli tak, to na czym by miała polegać jej opozycyjność?

4. Wymóg bojkotowania wszystkiego, co oficjalne, jest na pewno nierealny i niesłuszny; w tym punkcie jesteśmy zgodni z Kuczyńskim. Ale tylko w tym. Albowiem uważamy, że opozycja — jeśli ma pozostać opozycją — nie może uznać za zasadę obecności w instytucjach PRL. Ocena obecności w instytucjach PRL musi być zróżnicowana i każdorazowo uzależniona od okoliczności. Opozycja winna zatem odnosić się z uznaniem do poczynań tych wszystkich, którzy usiłują wykorzystywać oficjalne instytucje w interesie narodu, bronić dewastowanego środowiska naturalnego i rozpadających się zabytków, przyczyniać się do poprawy stanu sanitarno-higienicznego kraju, walczyć z alkoholizmem, uprawiać filantropię i działać na rzecz podniesienia stopy życiowej ludności, a zwłaszcza jej warstw najbardziej poszkodowanych. Ale opozycja winna zarazem piętnować tych, którzy narodowym frazesem osłaniają własne wygodnictwo lub wręcz karierowiczostwo, bądź też odrzucają naczelną zasadę moralną i polityczne rzekomo w imię wyższych celów, którym zaprzeczają używane środki. Opozycja nie musi wymagać publicznego zajmowania stanowiska politycznego od tych, którzy w instytucjach oficjalnych prowadzą pracę społecznie pożyteczną. Nie może jednak przyznać komukolwiek prawa potępiania działalności niezależnej i afirmowania swą postawą poczynań represyjnych.

Popierając wszystko, co sprzyja poprawie bytu narodowego, opozycja nie może jednak zrezygnować ze swoich celów naczelných, a zatem również z codziennego prowadzenia działalności związkowej i z budowania faktycznego pluralizmu związkowego na terenie zakładów, z umacniania struktur „Solidarności” tam, gdzie przetrwały i z odtwarzania ich tam, gdzie uległy rozbiciu oraz z utrzymywania już zdobytych obszarów niezależności. To prawda, że w warunkach represji i zmęczenia poczynania opozycji są opłacane bardzo wysokim kosztem. Inaczej niestety być nie może. Etos działalności niepodległościowej zawsze był etosem poświęcenia i pozostaje nim nadal.

REDAKCJA

## Książki

### Wspomnienia Niemca o okupacji w Polsce

Wspomnienia Niemców o latach okupacji spędzonych w Polsce nie należą do częstych lektur. Potępienie hitlerowskiej polityki, od którego uchyla się dzisiaj — i to półgębkiem — drobna zaledwie mniejszość społeczeństwa niemieckiego, wyraża się jednak na ogół w formie sądów globalnych — znacznie rzadziej w szczegółowych relacjach. Co tu mówić, krytyka najsurowsza nawet i bezkompromisowa, ale podniesiona ryczałtem do rangi moralnego uogólnienia, jest znacznie wygodniejsza niż opowiadanie o codzienności, w której samemu się uczestniczyło.

Właśnie wydobycia codzienności, a ściślej: jej wycinka, spod powłoki abstrakcji i milczenia podjął się Gerhard von Jordan w swej autobiograficznej relacji „Polnische Jahre” (Polskie lata)\*. Impuls autorskiego zamierzenia można odczytać już ze zdania w tekście wprowadzającym na okładce książki: „Milczy się, gdyż nikt nie odważa się powiedzieć głośno, że był przy tym”.

Autorowi, młodemu wówczas prawnikowi, udaje się w następnym wypadku przy pracy uzyskać zwolnienie ze służby wojskowej. Cały okres od wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej do niemieckiego odwrotu przeżywa zatem jako członek administracji okupacyjnej w Polsce, najpierw w charakterze odpowiedzialnego za rolnictwo w okręgu Kołomyi, później w randze zastępcy kierownika w starostwie z podległym sobie „referatem kar policyjnych” w Złoczowie, a wreszcie spełniając różne już funkcje w zarządzie wewnętrznym *Generalgouvernement* w Krakowie. Stąd rozjeżdża, zależnie od powierzanych mu zadań, po różnych terenach, jest również obecny — prowadząc protokół — przy tzw. kapitulacji cywilnej po upadku Powstania Warszawskiego, czyli przy rozmowach polsko-niemieckich, dotyczących losów cywilnej ludności Warszawy. Kolejne przeniesienia nie mieściły

\* Gerhard von Jordan, *Polnische Jahre*, wyd. Gerhard von Jordan, Bad Rappenau 1985.



się w żadnej logice awansów służbowych, wynikały raczej z układów personalnych, a także z rezonansu, jaki w kolejnych władach wywoływała niedeklarowana wprawdzie przez autora, lecz wyczuwana przez kolegów czy zwierzchników niechęć jego do poczynań administracji hitlerowskiej.

Obraz i narastanie tej niechęci kreśli autor w sposób szczegółowy, pragmatyczny, w zetknięciu z konkretnymi wypadkami z zarządzaniami swych władz, unikając ocen syntetycznych, *ex post* przymierzanych do owych czasów. Oto chyba klucz do wiarygodności całej relacji. To nie świadomy bojownik z gotowym antyhitlerowskim programem w bagażu wyrusza do okupowanej Polski. To przybywa młody człowiek, który zachował przyjemne wspomnienia z uprzedniej krótkiej wizyty u pełniącego już w Krakowie służbę przyjaciela: jedzenia i picia dla personelu okupacyjnego więcej tam było niż w Rzeszy, polska służba, samochody, konie, polowania... Zresztą w toku opowieści, w późniejszych fragmentach już tragicznej, powracają raz po raz, prawie do ostatniej chwili, owe momenty odprężenia, imprezy towarzyskie, rozrywki, polowania. Niczyje życie, ani okupantów, ani nawet przecież ich ofiar, nie brzmiało wtedy na jednej nucie.

Ale zarazem przyjeżdża autor do Polski jako człowiek z przejętą zapewne od swego środowiska (choć dokładniej o tym nie pisze) wyraźną dozą sceptycyzmu wobec Führera i jego hierarchii, wobec ideologii nienawiści, dzielącej świat na nadludzi i podludzi, człowiek przekonany o krzywdzie wyrządzonej Polsce i pragnący — jak podkreśla — u boku innych znanych sobie osób „ulżyć tej krzywdzie, traktować Polaków sprawiedliwiej, przyzwoiciej, bardziej po ludzku”.

Jak się to robi? Robi się to w *ramach* systemu. Nie poprzez frontalną krytykę, lecz poprzez argumenty praktyczne, kwestionujące wyłącznie konkretne zarządzenia. Czy więc chodziło o wymiary kar dla chłopów ukraińskich za niedostarczenie obowiązkowych kontyngentów zboża lub mleka, czy o przydziały żywności, o pomysły wywłaszczenia gospodarstw rolnych i oddawania ich sprowadzanym Niemcom; o plany przesiedlania całych grup ludnościowych, o projekty zakazu Polakom jazdy koleją, o wysyłki do obozów, o ewakuację całych wsi, o aresztowania i rozstrzeliwania, lub wreszcie o końcowy dylemat: obrócić czy nie obrócić w perzynę opuszczane przy ostatecznym odwrocie tereny — w każdym z tych wypadków, żeby choć trochę pomóc, choć kogoś ocalić, odrobinę ograniczyć szkody, chwilowo odwlec jakąś szaleńczą decyzję z rachubą na jej późniejsze zaniechanie — trzeba było skrycie szukać odpowiednich sprzymierzeńców, znajdować boczne lub kręte ścieżki, operować argumentem, iż określone zamierzenie sprzeczne byłoby z interesem Rzeszy i że brutalność wobec miejscowej ludności zmniejsza bezpieczeństwo Niemców.

Były to wszystko zabiegi *ad hoc*, służące sprawom doraźnym, nie spięte żadną klamrą ogólnego, uświadomionego celu. Wszelkie rozmyślenia o przyszłości, o zwycięstwie czy klęsce, o charakterze przyszłych Niemiec po ewentualnym zwycięstwie (wszak

czy jej brak. Koryguje natomiast w świetle późniejszego już rozeznania schematy, jakim ulegał wówczas zdręczony wprawdzie tragizmem losu żydowski, lecz jednocześnie zaczadzony propagandą. Przypomina sobie, jak przy pisaniu owych wierszy, sam doznawał czegoś w rodzaju szoku wywołując niespodziewanie dla siebie samego własne myślenie spod władzy kłamstw. Jak gdyby błyskawica rozświetliła mu mózg; żydzy to nie „Untermenschen”, nie „wrogowie naszego narodu”, nie „nasze nieszczęście”... „Naszym nieszczęściem byliśmy my sami”.

Von Jordan rejestruje znane sobie wypadki ukrywania Żydów przez Niemców (w tym przez własną żonę, o czym dowiedział się jednak po fakcie znacznie później), lecz poczuwa się do winy za nikłość niemieckiego oporu przeciw ludobójstwu. Zarazem rozprawia się z tymi, co „nie wiedzieli”:

„Mogli wiedzieć. Mogli zatroszczyć się o to, co się stało z rodziną Cohnów w sąsiednim domu. Mogli zadać sobie pytanie, gdzie się podziały gwiazdy żydowskie, widziane niedawno na ulicach. Mogli zastanowić się nad tym, co kryło się za słowem 'wysiedlenie' lub co to znaczyło, gdy jakieś miasto zostało uznane za 'wolne od Żydów'. Nie uczynili tego... W ten sposób stali się winni”.

Podziw i uznanie budzi u autora opór Polaków, indywidualny i zbiorowy. Pochód ewakuowanych mieszkańców Warszawy do Pruszkowa po upadku powstania charakteryzuje jako przemarsz ludzi, którzy tracąc wszystko, nie stracili dumy ani stylu. Z werwą kreśli sylwetkę starej hrabiny, przewodniczącej powstańczego Czerwonego Krzyża, która we wspomnianych już rozmowach, dotyczących „kapitulacji cywilnej”, zdołała wydrzeć Niemcom tyle ustępstw, że — jak pisze autor z przekorą w stosunku do strony niemieckiej, a także, być może, z zamiłowaniem do paradoksu — nie wiadomo było w końcu, kto przed kim kapitulował. O pewien nadmiar idealizacji zatracą również opowieść o liście partyzantów polskich do pozostałej w Niemczech wdowy po zabitym przez jednego z nich funkcjonariuszu niemieckim. W liście wytłumaczenie: zabicie nastąpiło przypadkowo, w rezultacie pomyłkowej wymiany strzałów, po czym następują wyrazy żalu i uznania dla zmarłego, szanowanego i przyzwoitego człowieka. Czy aby z pierwszej ręki pochodziła owa informacja na temat zgoła niewojennych manier wśród wojennego ognia?

W rozjazdach po wsiach i małych miasteczkach wschodniej Polski zdobył sporą wiedzę o stosunkach między grupami etnicznymi — Polakami, Ukraińcami i Żydami — grupami najczęściej zamkniętymi, oddzielonymi od siebie urazami i przesądami, bywało, że aż do nienawiści włącznie. Wkroczenie Niemców dodatkowo oczywiście te stosunki pogmatwało. A jednak pewne fragmenty książki pozwalają uchwycić codzienny nurt życia, który żłobił sobie boczne drogi omijając parokszmy. Tuż obok programowych wzajemnych oskarżeń znajdowało się czasem i miejsce na wzajemne przysługi.

Poprzez wszystkie warstwy książki przewija się wątek stały, opis postaw i zachowań funkcjonariuszy niemieckich. Za ele-

także w łonie SS, przypomina autor, istniały różne prądy) — wszystkie te dalekie sprawy tonęły bowiem w mgłę. Lepiej więc było, jak czytamy, „robić coś rozsądnego tutaj, na miejscu, i nie mędrkować za wiele na temat przyszłości”.

Von Jordan nie usiłuje zatem ani na chwilę wmówić czytelnikowi, że on sam i jego sojusznicy wiedzieli już wtedy czego dokładnie w dalszej perspektywie politycznej chcą czy oczekują. Podziału między optyką ówczesną a dzisiejszą przestrzega wręcz rygorystycznie, przyznając się do wygodnych ucieczek w optymizm, do podwójnego wtedy myślenia. Gdy zdaje sprawę z koncepcji politycznych, panujących ówczesnie w pewnych kołach ukraińskich, oświetla tak oto własną postawę:

„Czy nie było możliwe, by naprawdę powstać miała nowa Europa pod niemieckim wprowadzie kierownictwem, lecz nie pod niemieckim władaniem?... Nie, nie było to możliwe nigdy, wiedzieliśmy o tym również w gruncie rzeczy. A jednak działaliśmy tak, jak gdyby owa możliwość istniała, mniej więcej według słów Lutra, iż zasadziły drzewo jeszcze dziś, wiedząc nawet, że jutro będzie koniec świata. Całkiem dokładnie nie wie się właśnie nigdy, kiedy będzie koniec świata. Ta na wpół nieuczciwa nadzieja wbrew odmiennemu przekonaniu była dla mnie decydująca przez długi czas w ciągu wojny”.

Nie wybiela zatem autor ani swego myślenia, ani działania w sprawach wielkich i małych. Ani np. wtedy, gdy przy pierwszej akcji przeciw Ukraińcom, nie chcąc jeszcze wierzyć w absolutne bezprawie Gestapo, usiłuje przekonać samego siebie, że jakieś przewinienie ze strony Ukraińców musiało chyba mieć miejsce. Ani, gdy zajmując ładne mieszkanie Polaków, zmuszonych do zwolnienia go, tłumii „lekką niepokój sumienia” pocieszeniem się, iż takie są prawidła wojny. Kiedy tuż przed odwróceniem, nie ulegając namowom, rezygnuje z bezpłatnych towarów w fabrykach, poddaje od razu swój odruch niechęci do „niegodnego plądrowania” sceptycznej kontroli: „A może to tylko mój strach był większy niż moja chciwość?”. O nagim strachu pisze zresztą kilkakrotnie: Oto... „siedział przed pustym biurkiem i z drżeniem oczekiwał aresztowania”, gdy zwierzchnik jego padł w konflikt z SS. Kiedy indziej wyznaje: „Nie, nie jestem bohaterem, także wtedy nim nie byłem — bałem się załóżnie...”. Nie chełpi się nieposłuszeństwem i nie kryje beśsiły. Raz jedyny brał udział w obławie zbrojnej na partyzantów AL, którzy zabili we wsi sołtysa związanego z AK (a przecież regulowanie rachunków zastrzegli sobie Niemcy). Ostatni, pozostały na miejscu partyzant poddał się, ranny w kolano, nie wiadomo, czy trafiła go kula autora czy czyjaś inna. Ktoś z policji chciał go dobić, autor nie pozwolił. Lecz wiedział i nie mógł temu zapobiec, że nazajutrz jeniek zostanie rozstrzelany.

Kulminację wstrząsu i odrazy przeżywa von Jordan w obliczu losu Żydów. I w tym, centralnym bodajże rozdziale książki, emocja rozsądza powściągliwy dotąd tok opowiadania. Włącza tu autor swoje wiersze na ten temat, powstałe w Złoczowie i w Krakowie, bez względu, jak powiada, na ich wartość literacką

meńty najgroźniejsze uważane są przez autora i podobnie mu myślących organy Gestapo i SS. Im dalej od nich udaje się usadowić, tym lepiej. W wyższych rejonach rywalizacja, walka podjazdowa, intrygi, podstępny nie ustają ani na chwilę. Przynależność do partii (należał do niej i autor) nie określa jeszcze poglądów. Mianem *Nazi* określa się tylko „naprawdę przekonanych” (o A lub B „wiedzieliśmy, że był *Nazi*, pisze kilka razy autor). I ci zresztą dzielą się na takich, co wyznając ideologię stroną od zbrodni, i na takich, którzy zbrodni dokonują. Ludzie z sumieniem przemykają się chyłkiem obok trybów piekielnego labiryntu, raczej się zwąchują niż skrzykują, raczej wspólnie coś przeprowadzają, niż o tym mówią. Dużo trzeba czasu, zanim wyklada się na stół otwarte karty. I tak z mnogości precyzyjnie przedstawionych faktów i wydarzeń wyłaniają się przed czytelnikiem mechanizmy, właściwe wszelkim dyktatorom.

Relacja zróżnicowana, wielowarstwowa, odważna. Byłoby dobrze, gdyby do takich relacji — niezależnie od innych źródeł — sięgała niemiecka historia okupacji hitlerowskiej w Polsce.

Kamila CHYLIŃSKA

## Jaka prawica jest Polsce niepotrzebna?

Prawica jest w ekspansji. Jak słusznie zauważył autor jednego z prawicowych tekstów, „13 grudnia 1981 kupą gruzów przysypał resztki nadziei Polaków na zreformowany przez 'Solidarność' socjalizm o ludzkim obliczu”. Czuję się człowiekiem lewicy, ale pomimo to (a może jednak dlatego) patrzę na tę prawicową ekspansję życzliwie. Jest ona nie tylko zrozumiałym ludzkim odruchem na zapaść lewicowych nadziei. Jest po prostu potrzebna dla pluralistycznej równowagi niezależnego życia umysłowego dzisiaj, a politycznego jutro lub pojutrze, kiedy stanie się ono w Polsce realnie możliwe. Chciałbym tylko — parafrazując tytuł dyskusji z prawicowej *Polityki Polskiej* — przestrzec moich prawicowych przyjaciół przed zboczeniami, w jakie można popaść na tej jedynie słusznej dla nich drodze. Niektóre już się rysują w dotychczas opublikowanych tekstach umysłowych tuzów rosnącej w siłę polskiej nowej prawicy. Niezależnie od tego, jaka prawica jest Polsce potrzebna, to taka rozmowa potrzebna jest nam wszystkim niezależnie od koloru zapatrywań.

Najpierw jednak kilka słów o lewicy, bowiem moi prawicowi

polemiści skłonni są do widzenia przeciwnika wedle swoich życzeń, obaw, a pewnie i kompleksów, nie zaś wedle realnych faktów. Spór zaś ze sztucznym przeciwnikiem daje takie efekty, na które szkoda papieru. Tak jest właśnie z głośną ostatnio książeczką Piotra Wierzbickiego „Myśli staroświeckiego Polaka” (wydawnictwo „Głos”, Warszawa 1985 r.).

### PRZEGRANI ZWYCIĘZCY

Jest to książeczka sympatyczna i pożyteczna. Jej zasadnicza teza brzmi: „Inteligencjo polska, wyjdź z kruchty, przestań sprowadzać swą aktywność do modłów o nadzieję i obchodów kolejnych klęsk, weź się do roboty, a przede wszystkim zajmij się gospodarką!”. Nic, tylko się podpisać. Ale czy pod całą się podpisać? Nie, nie pod całą (używając stylistyki Wierzbickiego), bowiem pod tymi jej częściami, gdzie Wierzbicki rozprawia się z lewicą podpisać się nie podobna bez wzięcia rozbratu ze zdrowym rozsądkiem i historyczną prawdą. Nawet jeśli jest się pravicowcem.

Prawica jest wedle Wierzbickiego katolicka, swojska, pocziwa, skłonna do autorytaryzmu, mało wykształcona, nacjonalistyczna, niewierząca, chytra, skłonna do anarchii, dobrze sytuowana i ustawiona. Jej bazą są intelektualni. Co więcej, lewica jest nietolerancyjna, krzykliwa i ma Polaków za głupków. Lewica przed Sierpniem rozpuszczała niecne pogłoski, że tylko KOR-owcy to świetlane postacie, a ludzie z ROPCiO to kryptubecy (tu warto dodać, że sami przywódcy ROPCiO byli skłóceni, o czym przypomina nawet pravicowiec Józef Wierny we wspomnianym tu już tekście w 6 numerze *Polityki Polskiej* z 1984 roku). Lewica zwalczała Wałęsę, podważała jego autorytet, uniemożliwiła wprowadzenie w Związku „dyktatury Lecha”, przez co ponosi odpowiedzialność za grudniową klęskę (tu warto dodać, że przeciw Wałęsie występował tacy ludzie, jak Jurczyk czy Rulewski, których trudno nazwać lewicowcami, zaś za burze personalne w regionach też nie lewica ponosi odpowiedzialność: pravicowe i bardzo wtedy krzykliwe KPN — bądź bliskie mu ideowo osoby — powinny się tu mocno uderzyć w piersi). Lewica dążyła do zniszczenia gospodarki, bowiem wyobrażała ją sobie jako samorządową anarchię stowarzyszoną z nieudolnością państwowego dyrektora (tutaj Wierzbicki patrzy na gospodarkę tak jak przywoływany przezeń parokrotnie Mały Jaś z Krakowskiego Przedmieścia, gdyby patrzył choćby z ulicy Żeromskiego albo Stalingradzkiej, skąd bliżej do odnośnych fabryk, może zachwiałby się w tej rozczulającej pewności siebie). Lewica na zebraniu intelektualistów w Kurii krakowskiej zgodnie napada na

jedynego sprawiedliwego — był nim Stefan Kisielewski — za jego poparcie dla prywatnej gospodarki (byłem na tym zebraniu, przysłuchiwałem się dość uważnie, sam zabierałem głos i mam akurat zupełnie odmienne odczucie: nikt nie pastwił się nad Kisielewskim, odbyła się natomiast polemika między Kisielewskim a Gereksem o „etos lewicy”). Lewica prowadzi ohydny na gonkę na Kościół i Prymasa, zarzucając mu zbytnią ugodowość (tu już szlag mnie trafia, bo sam aż nadto dobrze pamiętam żarliwe ataki moich głęboko wierzących przyjaciół na prymasa Wyszyńskiego w sierpniu 1980 i na prymasa Glempa w stanie wojennym, a ostatnio krytyczne w stosunku do Kościoła teksty zamieszczane w paryskiej *Kulturze*. Czy Jerzy Giedroyc to też lewica?).

Pyskówkę z uproszczeniami i kawiarnianym widzeniem lewicy przez Wierzbickiego można by ciągnąć stronicami. Choć Wierzbickiego wyjątkowo poniósł temperament felietonisty, od tego samego skrzywienia nie są wolne i inne napływające z prawa teksty. Jest to jednak spór martwy i jałowy. Rzeczywisty problem lewicy, jej wielkość i tragedia leżą gdzie indziej.

Wierzbicki polemizuje z lewicą intelektualną, kawiarnianą, uniwersytecką, taką jaka jest (ale też nie całkiem) dzisiejsza lewica w USA. Moja droga prawico, która jesteś — jak sama powiadasz — „bardziej narodowa niż kosmopolityczna”, nie udawaj, że nie znasz historii własnego kraju, że twoja wiedza ogranicza się do Krakowskiego Przedmieścia, kawiarni „Czytelnika” i okolic Central Parku na Manhattanie.

A więc trzeba usiąść i trochę sobie poprzyćpomiąć. Przypomnijmy więc, że rzeczywistość XIX-wiecznego kapitalizmu, przeciwko której wystąpiła ówczesna lewica — rzeczywistość slumsów Londynu i Manchesteru, nędzy tkaczy lyońskich, chicagowskich rzeźni i łódzkiej „ziemi obiecanej”, zakrzepłej w biedzie wsi i wydziedziczonych rzesz ludzkich szukających szczęścia w okrutnie niesprawiedliwych miastach — nie jest propagandowym wymysłem „komuny”, ale faktem historycznym w zasięgu pamięci naszych dziadów, a nawet ojców. Przeciwno tej rzeczywistości nie wystąpił Kościół: pierwszy jego nieśmiały głos w obronie ludzi pracy to encyklika „Rerum Novarum” Leona XIII, opublikowana u schyłku stulecia, już po wezbraniu potężnej fali ówczesnego ruchu socjalistycznego. To ten właśnie ruch był jedynym aktem solidarności w świecie bez solidarności, a jego utopie jedyną propozycją innego porządku świata niż ten, w którym zawsze zgodną rację miał wsparty przez kapłana baron lub fabrykant przeciw racji prostego człowieka. To przykre dla wierzących, ale dzisiejsza nauka społeczna Kościoła nie objawiła się w gotowej postaci w czasach Janów i Pawłów, lecz jest wynikiem długiego

procesu stopniowego uznawania przez Kościół także praw pracy obok praw własności; od spóźnionej i wzbraniającej się od uznania nawet związków zawodowych „Rerum Novarum” aż po wychodzącą szeroko naprzeciw dzisiejszemu myśleniu „Laborem Exercens”. To właśnie ewolucja nauki społecznej Kościoła pokazuje, jak ustępował pod naporem potężniejącej plebejskiej lewicy, przejmując od niej to co najlepsze, wzbraniając się jednak (i słusznie) przed akceptacją rewolucyjnej utopii. Pisałem o tym szerzej w 18 numerze kwartalnika *Krytyka* i może właśnie dlatego, że podobne przypomnienia przykre są dla katolików, przygotowywany dla *Tygodnika Powszechnego* tekst „Miejsce spotkania” mógł się ukazać tylko w „II obiegu”. To przykre również dla dzisiejszych prawicowych konserwatystów — niechętnie w swoich pismach przypominających tamte czasy i tamte procesy — ale ten „wilczy” XIX-wieczny kapitalizm nie zreformował się i nie przekształcił w dzisiejsze zachodnie „społeczeństwo dobrobytu” tylko na skutek dobrej woli właścicieli motywowanych chrześcijańską etyką. To właśnie wielki i burzliwy plebejski ruch socjalistyczny, przechodzący od rewolucyjnych zrywów do parlamentarnej gry, a w XX wieku sięgający śmiało po władzę i wyborczy sukces, doprowadził do głębokich i skutecznych reform zabezpieczających prawa pracy obok praw kapitału, umożliwiających poszanowanie interesów różnych warstw i klas społecznych; on sprawił, że system skazany przez Marksa (przed owym procesem reform) na nieuchronny upadek okazał się wciąż żywy, produktywny i zdolny do dalszych zmian. To właśnie socjaldemokracja typu zachodniego, porzucając rewolucyjną utopię na rzecz reformatorskiej presji, nadała współczesnemu kapitalizmowi te cechy, które dzisiejsi konserwatyści uznają za „chrześcijańskie” i godne szczególnej estymy. Ruch socjalistyczny zwyciężył przede wszystkim na Zachodzie, choć zwyciężył zupełnie inaczej niż wyobrażali to sobie jego pełni rewolucyjnego zapału Ojcowie Założyciele. I tak jak wszystkie ruchy, które spełniły swoje zadanie i osiągnęły cel, wszedł w okres kryzysu, a może i rozpadu. Wskazuje na to do wódnie dzisiejszy stan zachodniej socjaldemokracji.

Socjalizm zwyciężył także na Wschodzie. Także inaczej niż wyobrażali sobie to jego Wielcy, choć rewolucyjnie. Skutki w postaci totalitarnej oligarchii partyjnej znamy aż nadto dotkliwie. I tak jak każdy system kosztujący w niepodatnym na reformy, zbiurokratyzowanym kształcie, wszedł w fazę schyłku, pewnie długiego jak polarna noc, lecz nieuchronnego.

Socjalizm zwyciężywszy na Wschodzie i na Zachodzie — choć inaczej — schodzi z historycznej sceny. Przeminał układ klas i stosunków społecznych, z którego wyrastał. Rewolucyjne utopie pokazały swą totalitarną realność, a dobroć zachodniego „społeczeństwa dobrobytu” też ma swoje granice, bo w ostatecz-

nym rachunku hamuje przedsiębiorczość i uczy życia na cudzy koszt. Pozostały tylko wartości, w imię których występowali dawni socjaliści, wartości — jak sądzę — bliskie nie tylko mnie, ale także katolickim prawicowcom, choć inaczej będziemy rozkładać akcenty i o niektóre z nich toczyć będziemy ostry spór. Pozostaje też wiedza o dziejach społeczeństw i ich bolesnych skurczach, wiedza, od której — tak na prawicy, jak na lewicy — nie wolno odwracać oczu, nawet jeśli jest nie w smak naszym dzisiejszym zawierzeniom.

Ale teraz właśnie, w tym schyłkowym i skarykaturowanym „realnym socjalizmie” warto szczególnie pamiętać o hasłach, pod jakimi występowali ci niegdysiejsi socjaliści w okresie świetności i największych sukcesów swego ruchu: było to nie tylko wołanie o prawa związkowe i 8-godzinny dzień pracy, ale o wolność jednostki, powszechne prawo wyborcze, zniesienie cenzury, niepodległość uciemżonych narodów. Trzeba je przypominać zwłaszcza teraz, kiedy „realsocjalistyczne” państwo coraz mocniej sięga w swej obronie po hasła tradycyjnej prawicy: poszanowanie autorytetów, władza dla elity (tu biurokracji partyjnej), siła państwa, ład i porządek, a nawet swoiście pojęty nacjonalizm. Z tej perspektywy anachronicznie błądzi zarówno ten, kto chciałby reanimować dawny, skłócony z Panem Bogiem i wierny swej złudnej utopii socjalizm, jak i dawną sztywną, zhierarchizowaną, elitarną prawicę. Zorientowanie się poniewczasie, iż jest się sługą zupełnie innego pana, byłoby tu chyba nie najbardziej nawet gorzką z możliwych pomyłek.

Wszystko się pomieszało. Został tylko podwójnie oszukany polski plebej, który w ostatecznym rachunku zawsze płacił i płaci za wszystko. Remanentem po pięknych tradycjach i dokonaniach ruchu socjalistycznego w Polsce nie jest bynajmniej uniwersytecki intelektualista ani nawet sympatyk KOR-u z ciepłym jeszcze miejscem po partyjnej legitymacji w kieszeni, ale robotnik, chłop, rzemieślnik, szeregowy inteligent, który krwawił w Legionach i w wojnie 1920 roku, który wyniósł socjalistę Piłsudskiego do władzy, który nic nie skorzystał na pozorowanej przez tamtą Rzeczpospolitą reformie rolnej, padł ofiarą Wielkiego Kryzysu i dopiero trochę pozbierał się w okresie COP-u i gospodarczych dokonań ekipy Eugeniusza Kwiatkowskiego. To do niego strzelano w robotniczych demonstracjach 1923 czy 1937 roku, w chłopskich strajkach na Rzeszowszczyźnie. To on bojkotował sanacyjne wybory (Boże, jak szybko zapominają apologety „Dziadka” o tej fatalnej i antydemokratycznej polityce sanacji, która prowadziła do Berezki Kartuskiej i do BBWR-u czy OZN-u, tych protoplastów dzisiejszego PRON-cia!). On zaciskał bezsilnie pięści we wrześniowej kłęsce, jego rozstrzeliwali hitlerowcy i wywozili na Kołymę „wyzwoliciele” ze wschodu. To jego dzieci zapisywały

się w 1945 roku do ZWM, a potem budowały Nową Hutę i wstępowały do partii, nawet bez jakiegokolwiek znajomości komunistycznej doktryny, ale po prostu dlatego, że nowa władza szeroko otworzyła drzwi do wykształcenia, awansu i stanowisk, że w fabryce (jak u mego ojca) nie było już francuskiego właściciela tylko kreowany z robociarza „ludowy” dyrektor. Do tego samego polskiego plebeja strzelano w Poznaniu, w Gdańsku, Szczecinie, w kopalni „Wujek” wreszcie. To on na własnej skórze poznał całą marność ustroju, który miał być realizacją jego socjalistycznych rojeń. To późne wnuki tamtych z PPS-u i NPR-u tupały na „komunę” w „Solidarności”, same nie wiedząc, że występują pod hasłami sprzed dwu pokoleń. Tak, to ci właśnie ludzie, o których mało kto dziś pamięta w naszych posolidarnościowych dyskusjach rozpolitykowanych inteligentów: po wielekroć wyprowadzeni w pole, sfrustrowani, zmęczeni, pozostawieni samym sobie. A tylko niektórzy z nich okazali się „ludźmi z żelaza”. Przecież zabrano im wszystko, podeptano i opluto ich wszystkie świeckie — by nie powiedzieć już: „socjalistyczne” — zawierzenia, pozostał im tylko powrót do Kościoła. Nawet Lecha opluwa zgodny chór płynący tak z telewizora, jak i z opozycyjnych pogaduszek.

To wobec nich, wobec tej „milczącej większości” narodu, wobec polskiego współczesnego — wykształconego i wyemancypowanego, lecz pogrążonego w ideowej zapaści i ratującego się z niej tylko Kościołem — plebejusza, musi opowiedzieć się każda polska myśl niezależna, obojętnie lewicowa czy prawicowa. I jego surowego, choć nieskwapliwego osądu nie uniknie. Nie wobec Krakowskiego Przedmieścia. Ono sobie zawsze da radę, ono sobie to wszystko najszybciej zrationalizuje i pierwsze wsiądzie do odjeżdżających we właściwą stronę pociągów.

*Teraz jeszcze:*

### DYGRESJA SEMANTYCZNA

Po tym wszystkim co zaszło w świecie, a zwłaszcza w Polsce, podział wywodzący się z XIX-wiecznego parlamentu traci sens. Zawaliło się lub odeszło w przeszłość prawie wszystko, na czym się opierał. Wiem, żeśmy przywiązani do pojęć „lewica” - „prawica”, tak jak ja sam jestem przywiązany do określającego moją osobistą tradycję i moje zawierzenia określenia: „socjalista”. O wiele bardziej odpowiada mi jednak stwierdzenie Władimira Bukowskiego, który zapytany po ekspulsji z ZSSR na Zachód o ideową opcję rzekł: „nie jestem z obozu lewicy ani prawicy,

jestem z obozu koncentracyjnego”. Bowiem wydaje mi się, że coraz bardziej dominuje we współczesnym świecie podział wokół praw i powinności osoby ludzkiej, tak jak w dawniejszym świecie był nim podział wokół pracy i kapitału. Wielkie i niemożliwe do zasypania pęknięcie między totalitaryzmem a demokracją powinno wyznaczać naszą dzisiejszą wspólnotę, nasz front i naszą pracę.

Nie wiem jak będzie jutro, nie wiem co się z tego wykluje. Ale na pewno nie będzie tak jak wczoraj.

### DYGRESJA EKONOMICZNA

O gospodarce trzeba dyskutować ze znajomością gospodarki. Także gospodarki zachodniej i to widzianej nie tylko przez witrinę tamtejszego sklepu albo rzemieślniczego warsztaciku. Zgadzam się z moimi pravicowymi oponentami, że samorząd nie jest jedynym sposobem na uzdrowienie gospodarki polskiej. Ale na pewno nie jest to — jak chce Wierzbicki i szereg innych piszących o tym właśnie z perspektywy Krakowskiego Przedmieścia autorów — nieudolność socjalistycznych dyrektorów plus warcholstwo dopuszczonej do współzrządzenia załogi. Ci autorzy jakby nie wiedzą o preferującej nieudolność nomenklaturze partyjnej. Właśnie samorząd powołujący dyrektora miał być sposobem na częściowe choć tej nomenklatury rozbitcie. Przecież w dzisiejszym kapitalizmie dyrektor jest powoływany zwykle przez radę akcjonariuszy. Henry Ford nie chodzi już ośobiście po hali fabrycznej nadzorując „pańskim okiem” sprawność całej roboty. Koncentruje się na sprawach sztabowych, a nieraz — jak pokazują to niedawno opublikowane pamiętniki najwybitniejszego dziś chyba menadżera USA, niegdyś dyrektora u Forda, Lee Iacoca — przeszkadza i psuje. Chodzi o to, aby stworzyć mechanizm, który na dyrektorskie fotele nad Wisłą wysunie takich ludzi, a nie posłuszne miernoty. Własność w krajach zachodnich jest dziś rozproszona i często anonimowa. Czasy, kiedy właściciel był jednocześnie dyrektorem i sam zarządzał firmą należą do zamierzchłej przeszłości, ma to miejsce tylko w małych przedsiębiorstwach. Dlatego nadzieje Kisiela czy Wierzbickiego na zjednoczenie tych wszystkich funkcji są tylko projekcją na ekran wielkiej gospodarki wiedzy wyniesionej z małego warsztaciku. Problemem polskiej gospodarki nie jest bynajmniej pytanie: jak odbudować tu kapitalizm? Tylko szaleniec będzie wyprzedawał dzisiejszy majątek narodowy i pewnie tylko szaleniec kupiłby Hutę „Katowice” albo Stocznnię Gdańską. Problemem jest przejście od tej gospodarki, która jest, do gospodarki wydajnej, dopuszczającej wszystkie możliwe formy ekonomicznej aktywności bez względu na to

czy są prywatne, państwowe, samorządowe czy jakiegokolwiek inne. Gospodarki odrzuconych dogmatów, wolnego rynku i współzawodnictwa różnych form własności bądź zarządzania. Nie trzeba też straszyć bezrobociem: gospodarka jest tak rozbudowana, ma tyle rezerw i pracuje dziś na tak zwolnionych obrotach, że jakiegokolwiek realny rozruch spowoduje w pierwszej przynajmniej fazie wzrost, a nie spadek zatrudnienia. Bać się mogą zdeprawowane przez „realsojalistyczną” tolerancję obiboki, tych jest rzeczywiście sporo. Prawicowi autorzy, tak realistyczni w politycznych ocenach, w kwestiach gospodarczych wykazują zdumiewającą naiwność i brak wiedzy. Jedynym w tej kwestii kompetentnym artykułem w prawicowej prasie krajowej, jaki mi wpadł w ręce był tekst Wojciecha Wasiutyńskiego we wspomnianym już 6 numerze *Polityki Polskiej*.

*Na koniec powiedzmy sobie nareszcie:*

### JAKA PRAWICA JEST NIEPOTRZEBNA?

#### 1) *Triumfalistyczna*

Prawica święci dziś swój triumf nad lewicą. Nie pierwsza to w dziejach nauka, że wystarczy dość długo poczekać, przeczekać zwycięstwo strony przeciwnej, aby doczekać się własnego. Wynikają stąd dwie uwagi, które niniejszym wpisuję do prawicowego sztambucha. Po pierwsze: polityka jest „wahadłowa”, nastroje przelewają się pomiędzy przeciwnymi biegunami, tym więcej, że żaden z nich nie ma recepty na zbawienie świata i każdy z nich, rozwiązując jedno, zaostrza inne problemy. Tak więc dzisiejsze koncepcje „idącej w górę” prawicy też się wyczerpią i nastroje przeleją się w inną stronę; choć na pewno nie będzie tą stroną tradycyjna XIX-wieczna lewica. Jaka? — nie wiem, zbyt odległa to perspektywa. Po drugie: triumfując niby święty Jerzy nad czerwonym smokiem, najłatwiej popada się w błędy i zac zadzenia. A szkoda by było, bo dzisiejsza „nowa prawica” (nie ta tradycyjna XIX-wieczna) ma przed sobą obiecującą przyszłość i wiele do zrobienia.

I jeszcze jedno. Niegdyś prawica reprezentowała realne interesy posiadaczy, arystokracji pieniężnej i rodowej, związanego z nimi i mającego w owym czasie kleru. Dziś te wszystkie grupy zostały zmiecione z historycznej sceny... Na pewno — choć to może samym pravicowcom niemiłe — dzisiejsza prawica reprezentuje interesy grup inteligencji polskiej blisko związanych z Kościołem. Nazwijmy to po imieniu. A reszta? Czy nowa prawica polska potrafi zaproponować coś sensownego tym, o któ-

rych się tu upomniałem, polskim rzeszom plebejskim, zbrzydonym do „realsojalizmu”? Wystąpić w obronie ich interesów? Przecież dzisiejsza nowa prawica zachodnia jest prawicą populistyczną, prawicą także „prostego człowieka”, oferując mu więcej ładu, więcej miejsc pracy i mniejsze podatki. Obecny wielki — lecz jeszcze nie całkiem uświadomiony — ruch Polaków ku prawicy motywowany jest owym zbrzydzeniem. To za mało, to nie starczy na długo, proszę szanownych pravicowców.

#### 2) *Zakompleksiona*

Przed prymitywną antylewicowością płynącą z kompleksów przestrzega już swych kolegów cytowany Józef Wierny. Tego „paliwa” starczyłoby rzeczywiście na bardzo krótko... Ale nie tylko o tak prymitywne kompleksy chodzi. Stefan Kisielewski w opublikowanym swego czasu w *Kulturze*, a przedrukowanym przez wiele czasopism niezależnych „Szkicu do programu opozycji” proponuje całkiem sensowny program dla partii demokratycznych posiadaczy. Są przecież takie partie w normalnym demokratycznym świecie politycznym. Ale kiedy zarzuca „Solidarności”, że uległa komunijnemu mitowi „klasy robotniczej”, ponieważ na Zachodzie liczba robotników, a wśród nich członków związków zawodowych, od wielu lat maleje — to schodzi na manowce tak oczywiste, że nawet prawica powinna się nad nimi zastanowić. Polska ma taki model gospodarczy i takie społeczeństwo, jakie ma; Zachodem prędko się nie stanie, w istniejącym zaś społeczeństwie robotnicy odgrywają rolę olbrzymią. Trzeba więc mieć im coś sensownego do zaproponowania, nie zaś strościć się i odymać.

#### 3) *Elitarna*

Mówienie o elitach jest ulubionym tematem prawicy. Taka jest zresztą jej tradycja i rodowód. Elity są potrzebne każdemu ruchowi. Tylko, żeby nie było tak, iż elita występuje zamiast ruchu, zamiast społeczeństwa nawet. Taka jest także tradycja prawicy i dzisiejsza nowa polska prawica — jeśli chce mieć coś sensownego społeczeństwu do zaproponowania — powinna być szczególnie uczulona na tę swą wrodzoną skłonność. Zwłaszcza dziś, kiedy nie istnieje normalne życie polityczne, kiedy wolna wymiana myśli odbywa się pokątnie, a partie polityczne miewają rozmiary jednej kanapy z dostępem do powielacza. W takich zwłaszcza warunkach rodzi się skłonność do zasklepiania się we własnej elicie i zawierania ewentualnie z inną elitą politycznych

układów, których i tak nie pojmie tłum niewykształconych prostaków (termin: „motłoch kolejkowy” u Wierzbickiego). Baczcie, drodzy koledzy prawicowcy, byście kiedyś nie powiedzieli sobie „elita się jakoś wyżywi”, bo będzie to znaczyło, że w waszej wysublimowanej elitarności poszybowaliście już tak wysoko, że z „motłochem” nie łączy was już nic, prócz niechęci do komunizmu. Tymczasem właśnie najszersze rzesze ludzkie decydować będą o czekających nas społecznych burzach i o tym, co się z nich wykluje. Pamiętajcie raczej, że nowa prawica zachodnia jest właśnie populistyczna, że to właśnie robotnicy amerykańscy są jedną z ważniejszych sił głosujących na Reagana.

No i ten język! Większość publikacji prawicowych jest pisana tak, jakby nie miały być czytane poza elitą. Chyba, że...

#### 4) *Przyzwalająca*

Wspomniany Józef Wierny w *Polityce Polskiej* skreśla wszystko: strajki, demonstracje, ideę „międzymorza”, przesłanie do krajów Europy Wschodniej ze zjazdu „Solidarności”, „ekscytację” prawami człowieka, społeczeństwo podziemne, a Wierzbicki skreśla nawet samorządy pracownicze. Zarzucają natomiast „Solidarności” i ruchowi posolidarnościowemu brak myśli państwowotwórczej i przerost demokracji. Poniekąd racja. Ja też jestem za rozumnym realizmem i pewnie poskreślałbym co nieco. Ale uderza znamienna zbieżność pomiędzy krytyką niezależnych „realistów” a antysolidarnościowymi napaściami rządowej propagandy, pomiędzy argumentami *Polityki Polskiej* a argumentami PRON-u. Oczywiście, że nie wszystko co mówi Urban to kłamstwo, a nie wszystko, co było w „Solidarności” to świętość. Ale postępując tą likwidatorską ścieżką bardzo łatwo dojść nią tam, gdzie chyba nie chce się być.

To nie jest nawet krytyka. To jest tylko przestroga przed tym, co może stać się jutro. Przed prawicowym przyzwoleniem na zbyt wiele. Tym więcej, że w pogrudniowej Polsce władza tak lekką ręką sięga po tradycyjne argumenty prawicy.

A tytułowe pytanie z *Polityki Polskiej*: JAKA PRAWICA JEST POLSCE POTRZEBNA? Nie jestem jego adresatem. Jak by powiedział Jacek Fedorowicz: nie moja to mała i nie muszę jej mówić „babciu”. Odpowiedzą na nie sami prawicowcy.

Jerzy SURDYKOWSKI

Kraków - Gdańsk, wrzesień 1985 r.

## Kochana prawico

Ktoś przyleciał do mnie w Warszawie z nowiną, że Piotr Wierzbicki wycofał się z plucia na gnidy. „Co to się porobiło — zauważył ów ktoś. — Jak tak dalej pójdzie, to zupełnie człowiek straci orientację, już i tak nie wiadomo dokładnie, kto jest kim”. Ponieważ człowiek z wiadomością należy do młodej generacji i nie należy do ludzi doświadczonych, postanowiłem sam zbadać te zaskakujące doniesienia. Zdobyłem „Myśli staroświeckiego Polaka” i zacząłem czytać. Szło mi dość kiepsko. Po pierwsze — te powielane druki nie są już na moje zmęczone oczy. Po drugie — co kilka zdań chciałem książkę przez okno wywalić, i to nie z irytacji, lecz z powodu pomieszania banału z dziecięcą naiwnością (jak zobaczymy, dla Wierzbickiego wiele rzeczy jest „dziecinnie prostych”). Powstrzymałem się jednak przed złym traktowaniem owego druku podziemnego, gdyż zobligowany do wydania sądu, uznałem, że muszę jednak całość przeczytać. W końcu przeczytałem w życiu wiele makulatury, mogę i to.

Zbadałem najpierw sprawę gnid. Zgadza się, pomyślałem, przestał pluć. Ale i to nie dziwota, gdyż niewiele znam takich, którzy znajdują przyjemność w opluwaniu siebie samych. „Krytykownicy — pisze Wierzbicki — którzy pamiętają, za co krytykowałem inteligentów w „Traktacie o gnidach”, docenią gwałtowność dokonanego przeze mnie skoku”. No i rzeczywiście. Wierzbicki, bez wątpienia bardzo polski inteligent, odkrył po latach życia spędzonego w poszukiwaniu prawdy, że istnieje Roman Dmowski. Więcej — dotarł nawet do Maurycego Mochnackiego. Piłsudskiego nie musiał szukać, gdyż jednak jest to postać dość w Polsce popularna. Jak na polskiego inteligenta — jest to wyczyn nie lada, godzien specjalnej uwagi i pochwały. Chwałę więc: to dobrze, że Wierzbicki się dalej edukuje. Ale zważywszy, że jak dotąd na serio myśl narodowej demokracji przybliżali ostatnio Polakom ludzie, których Wierzbicki zalicza do „lewicy” (Adam Michnik, Barbara Toruńczyk), skok Wierzbickiego, mimo iż oznacza pobicie jego dotychczasowych rekordów życiowych, uznać należy za taki ot sobie, przeciętny. Tyle, że jakby samemu autorowi to w głowie zawróciło. A zawróciło tak oto: Polacy mają zacząć się uczyć polityki, dość już sejmikowania i gładzenia o demokracji, czas najwyższy określić cele polityczne, uznać Wodza i bez szemrania podporządkować się jego decyzjom; potem się zobaczy, co dalej z tymi Polakami. Dobre? Dobre. Znane? Jakby już gdzieś ktoś gadał podobnie...

A *propos* Dmowskiego: warto może przypomnieć, że w czasie, gdy Wierzbicki ganiał po Polsce z proszkiem owadobójczym tępiąc gnidy, gdy Aleksander Hall stawał jeszcze na bacność pod

stołem, Adam Michnik opublikował esej „Cienie zapomnianych przodków”, w którym starał się wyważyć racje prawicy i lewicy. Ciąg dalszy (i bardzo pogłębiony) tych rozważań przyniósł wnikliwy esej tegoż autora „Rozmowa w Cytadeli”. Ale Wierzbicki nie czyta. Wierzbicki z mozołem, samodzielnie i niezawisłe sam do prawdy dochodzi, dokonuje „odkryć” i... polemizuje. Taki charakter, przepraszam: taki temperament.

Cóż odkrywa Wierzbicki? Odpowiedź: Wierzbicki odkrywa różne rzeczy, na ogół znane. Oto co odkrywa: „Polski inteligent przestał służyć złu — i stracił swój dawny rozum”. A dlaczego? Oto dlaczego: „Polski inteligent nie wypruwa z siebie pokładów dawnej chytrkości, nie miota się w szukaniu rozpaczliwym dróg wyjścia, trwa w myślowym uśpieniu produkując patriotyczno-ministranckie gesty, bo mu w tym stanie przyjemnie, wygodnie, dobrze”. Polski inteligent, powtarza Wierzbicki koncept Szpotańskiego, ułożył się na „pluszowym krzyżu”. Pluszowy krzyż stał się zaś zapewne odmianą „czerwonej kanapy” z okresu gnidziego. Autor tego stylu myślenia? Urban, Urban! Mam nadzieję, że władze docenią styl i temperament autora „Traktatu o gnidach”. Oczywiście, nie ta ekipa. Następną. I wydeleguje Wierzbickiego (w randze ambasadora) do rozmów z podziemną prawicą, która tymczasem podniesie swój umysłowy poziom.

Jak to jest jednak z tym „pluszowym krzyżem”? Wielki kwantyfikikator, którym z uporem maniaka postępuje się Wierzbicki w ocenie polskiej inteligencji, jest narzędziem niebezpiecznym i raczej zawodnym. Jeśli bowiem przyjrzeć się postawom w Polsce widocznym, okaże się, iż jest ich spora różnorodność. Oto polski inteligent Adam Michnik już czwarty rok (z krótką pauzą) odsiaduje w więzieniu chyba nie tylko za gesty. Inny polski inteligent — książdz Jerzy Popiełuszko — został zamordowany. To oczywiście przykłady skrajne, ale nie sądzę, by do tych postaw pasowało powiedzonko o „pluszowym krzyżu”. Jeszcze inny polski inteligent, Wiktor Kulerski, rozbudowuje (wraz z wieloma, wieloma innymi) sieć niezależnej oświaty, sieć wcale niemałą, dzięki której udostępnia się Polakom książki Maurycego Mochackiego czy prace o „Przeglądzie Wszeczpolskim”. Inteligent polski Andrzej Micewski jest doradcą inteligenta polskiego Józefa kardynała Glempa, prymasa Polski. Następny polski inteligent, Marcin Król, walczy o wskrzeszenie myśli konserwatywnej, o naukę myślenia politycznego (nie od dziś zresztą). Inteligent polski Stefan Kisielewski wymyśla koncepcje „gry politycznej” i to już od dawna, od czasu, gdy Wierzbicki jeszcze był małą dziewczynką w gazecie *Literatura*. Inteligent Jan Dobraczyński jest szefem organizacji PRON, a inteligent Jerzy Urban rzeczni-kiem rządu PRL. Kolejny inteligent, Aleksander Hall, odbudowuje z mozołem nurt narodowej demokracji. Tyle o inteligencjach działaczach społecznych i politycznych. Poza tym inteligent Andrzej Wajda (filmowiec) zajmuje się robieniem filmów, inteligent Marek Nowakowski (pisarz) zajmuje się pisaniem, inteligent Łukasz Korolkiewicz (malarz) zajmuje się malowaniem obrazów itp. Należy się zastanowić, czy filmy Wajdy, proza Nowakow-

skiego i malarstwo Korolkiewicza są dobre. Jeśli dobre, to w porządku, jeśli nie — trzeba koniecznie o tym napisać (z sensownym uzasadnieniem). Ale mało mnie przy tym obchodzi, czy Wajda, Nowakowski i Korolkiewicz należą do „lewicy”, czy do „prawicy” — niezależnie od tego, jak się te pojęcia definiuje.

Cóż dalej odkrywa Wierzbicki? Odkrywa takie oto nowości: „Polacy są wyznawcami dwóch postaw wobec sił ograniczających ich aspiracje. Pierwsza postawa to ślepe posłuszeństwo. Druga postawa to ślepy protest. (...) Miotanie się między ślepym posłuszeństwem a ślepym protestem to jest typowe zachowanie niewolnika”. Jesteśmy zatem niewolnikami, co nam Wierzbicki uświadamia z całą ostrością i bezkompromisowo. Wierzbicki postuluje postawę trzecią, zupełnie nowatorską, nie używaną dotychczas w PRL-u: „to gra polityczna prowadzona celem uzyskania politycznego skutku”. PAX takiej gry nie prowadzi. PSL oczywiście ślepo protestował. Oj Wierzbicki, Wierzbicki... A jak to było z kołem poselskim „Znak”? Znowu zupełnie ślepy protest (jak wiadomo, głównym specjalistą w tej dziedzinie jest Stefan Kisielewski)? Łojeju! Do szkoły!

Ale oto pojawia się słowo magiczne: skuteczność. Skuteczność polityczna jako efekt gry politycznej. Głupstwo polskiej inteligencji polega na nieumiejętności myślenia w kategoriach politycznych. Skuteczności i myślenia w kategoriach politycznych nauczyć ma nas „prawica”. Jest ona jeszcze intelektualnie niewyrobiona, ale się wyrobi, trzeba tylko poczekać, gdyż Wierzbicki dopiero się wzięł do jej wyrabiania. Rzecz w tym, aby polscy inteligenci to zrozumieli i stali się pravicowi, co wydatnie powiększy potencjał intelektualny „prawicy”. W tym celu trzeba w pierwszym rzędzie rozprawić się z „warszawką” (kawiarnia, pewnie ta w Czytelniku, u prezesa Bębenka), bo „warszawka” (kto? — pewnie Michnik, Kuroń, Woroszyński, Szczypiński, Bratkowski i Giełżyński — ale tego się tylko domyślę, gdyż Wierzbicki pisze „w ogóle” o polskiej inteligencji „jako takiej”) lewicy i ślepo protestuje. Jak się poprawi-cuje, to od razu wywalczy niepodległość i demokrację niewątpliwie narodową. Tylko musi zerwać z miazmatami europejskości i skupić się na swoich polskich problemach.

A oto kolejne odkrycie Wierzbickiego: „Ludzi prawicy pozbawiono możliwości uczestniczenia w życiu publicznym, robienia kariery politycznej, naukowej, artystycznej, podtrzymywania tradycji, pozyskiwania zwolenników”. Zwłaszcza pozbawiono tych wszystkich możliwości i przywilejów Bolesława Piaseckiego, szefa przedwojennej Falangi, superpravicowca — tak dalece go tego pozbawiono, że został członkiem Rady Państwa, założył PAX wraz z wielkim wydawnictwem i wzywał do wykształcenia w Polakach „instynktu państwowego”. Zapewne też profesor Bohdan Suchodolski pozbawiony jest całkowicie możliwości robienia kariery naukowej. Od zawsze katowany był pisarz Jan Dobraczyński, który z rozpaczy stał się szefem PRON-u. Nękania zjadł aktor Ryszard Filipiński musiał się wyrzec kariery artystycz-



nej, zaś poeta Bohdan Drozdowski, redaktor naczelny miesięcznika *Poezja*, załamał się zupełnie. Ale w końcu mniejsza o drobiazgi.

Nie jest natomiast drobiazgiem następujące wyznanie autora „Myśli staroświeckiego Polaka”: oto w trzy lata po powstaniu „Solidarności” ów były nauczyciel szkolny... Cóż zrobił ten nauczyciel? Posłuchajmy, bo to się wprost w pale nie mieści: „Z przeklętym opóźnieniem rzuciłem się na historię. Ujrzałem ją od terazniejszości mądrzejszą”. Mój Boże... Można by właściwie na tym omówienie wydłużonego felietonu Wierzbickiego zakończyć. Bo cóż można powiedzieć o humaniście, człowieku, który kończył szkoły (wyższe), o — jak się sam określa — polskim „literacie”, który dotąd nie wiedział, sierotka, że „*historia vitae magistra*”? Jaki poziom wyznacza postawa, którą Wierzbicki z takim samozadowoleniem odsłania? O czym rozmawiać z człowiekiem, który jako entuzjasta „przez dziesięć lat uczył w szkole języka polskiego” i który nie znał historii własnego kraju, nie słyszał o Mochnackim, nie czytał Dmowskiego i Piłsudskiego? Ludzie!!!

Wróćmy wszelako — by rzecz jednak kończyć — do kluczowych pojęć broszurki. Wróćmy do „gry politycznej” i jej „skuteczności”. Zacytujmy: „Jak odróżnić graczy prawdziwych od graczy fałszywych? (...) Istnieje na to sposób niezawodny absolutnie i wprost dziecinnie prosty. Aby odróżnić gracza prawdziwego od gracza fałszywego, należy ustalić, kto jest jego głównym partnerem w grze. W grze politycznej prawdziwym partnerem (drugą stroną) gracza jest jakaś reprezentacja polityczna: delegacja rządowa, komisja, minister, ambasador, premier, emisariusz. W grze politycznej fałszywej partnerem (drugą stroną) gracza jest jego własne społeczeństwo”. I wreszcie: „Gracz prawdziwy prowadzi swą strategiczno-taktyczną grę wobec innego, reprezentującego odrębne interesy gracza, rozwija repertuar politycznej chytrkości wobec przeciwnika lub partnera, który przyjął zasady gry i rozwija, dla osiągnięcia innych celów, własny repertuar politycznej chytrkości” (podkr. moje — L.S.).

Dość. Wierzbicki, dla którego wszystko i od dawna jest „wprost dziecinnie proste”, nie raczy nam wyjaśnić jednego drobiazgu. Jakże to mianowicie są owe zasady gry? Na czym one polegają? Co zrobić, aby „druga strona gracza” reguł owych przestrzegła lub je co najmniej przyjęła do wiadomości? (Nawiasem mówiąc, za wyjaśnienie tych spraw dostałby Wierzbicki ulgę osobistą w sankcjach, które prezydent Reagan nałożył na Polaków, i to ulgę bardzo dużą). O tych duperelach Wierzbicki nie pisze. Wierzbicki pisze, że „lewica” w Polsce przeżywa kryzys (z którego się może przy pomocy „prawicy” podźwignąć) oraz że „prawica” musi się podciągnąć, aby sprostać stojącym przed nią zadaniom. Prawica się intelektualnie podciągnie, gdy przejmie program Romana Dmowskiego, ale bez antysemityzmu („dziś problem żydowski w Polsce jest problemem fikcyjnym, bo Żydów

jako potężnej mniejszości narodowej w Polsce nie ma” — argument ten przyjmie z pewnością każdy, kto dotąd się mylił i wierzył w istnienie owej „potężnej mniejszości”).

Powodzenia. Ja w tym miejscu odpadam. Przekazuję pałeczkę Grońskiemu w *Polityce*, on chyba gustuje w takich specjałach — wart Pac pałaca.

Leszek SZARUGA

## Bibliofilskie wydanie poezji Miłosza

Wydania bibliofilskie są pasją zbieraczy, ale najczęściej onieśmielają zwykłego zjadacza książek. Są jak odświętna szata, która oddziela dzieło od czytelnika, bo nie wypada jej dotknąć z obawy przed zbrukaniem. Mazanie na marginesach, podkreślanie celniejszych zdań byłoby aktem barbarzyństwa. Intymne obcowanie z taką księgą jest więc wykluczone — trzeba myć ręce przed użyciem. A najlepiej w ogóle nie ruszać, żeby nie uszkodzić.

Szary foliał z czarnym grzbietem, zatytułowany *The View\** (Widok) też budzi zrazu nabożny podziw dla sztuki edytorskiej, jest bowiem najpiękniej wydaną książką Czesława Miłosza. A jednak ciekawość dla jej zawartości każe pokonać lęki czciciela sztuki edytorskiej. Zresztą — co tu dużo mówić — w epoce składów komputerowych, lichych okładek, rozpadających się grzbietów, taniego papieru i blaknącego szybko dziełem — *The View* jest nie tylko wyrafinowanym w prostocie dziełem — jak by się zdawało — wymarłej już sztuki typograficznej. Wykwintna szata jest właściwym tłem dla poezji Miłosza — formy wyrzeźbionej w słowach. A że onieśmiela — jego poezja też czasem onieśmiela. Amerykańscy artyści i rękodzielnicy złożyli więc odpowiedni hołd człowiekowi Księgi.

Pokaźnych rozmiarów tom ukazał się pod koniec ubiegłego roku w nakładzie 120 egzemplarzy, nie numerowanych, natomiast podpisanych przez autora oraz przez ilustratora, Vilję Clementis. Ręcznie czerpany papier, sporządzony do tej tylko edycji, pochodzi z małej manufaktury w stanie Indiana, ręczna oprawa książki jest dziełem artysty-introligatora ze stanu New York, a składano ten tom w małej drukarni w stanie Vermont. Dodam w tym miejscu, że w Ameryce, gdzie gros książek drukuje się

\* Czesław Miłosz, *The View*, przekłady autora we współpracy z Lillian Valee i Robertem Hassem. Library of Fellows, Whitney Museum, Nowy Jork 1985.

masowo i tanimi metodami, istnieje też nurt odwrotny: powrotu do najchwalebniejszych tradycji rzemiosła drukarskiego, do wytwarzania wyrobów, w których widać całe piękno pracy rąk. Propagatorami historycznych technik są na ogół młodzi ludzie, którzy zakładają pracownie i manufaktury z dala od wielkomiejskich ośrodków. Uprawiają swój zawód z pasją i dużą znajomością fachową.

Mezzotinty Vilji Clementis, sporządzone cienką, subtelną kreską, nie starają się konkurować z wizją poetycką, lecz wydobyć ją graficznie. Są dyskretne w wyrazie, ale utrafiąją w samo sedno Miłoszowych antynomii. Te monochromatyczne studia o różnym nasyceniu szarości i czerni przedstawiają na przemian drzewa i wycinki galaktyki (jeśli nie liczyć znanej ryciny Kopernika z jego dzieła *O obrotach ciał niebieskich*). Mezzotinty są najczęściej zestawione po dwie na stronie. Ilustrator świadomie przeciwstawia w ten sposób wizerunek świata konkretnego, namacalnego, nazwanego, wszechświatowi abstraktu, bezimiennej pustki. Sosna i dąb na tych grafikach reprezentują życie na Ziemi w jego konkretnym kształcie, a świetliste punkty i smugi na tle czerni — przestrzeń nie dającą się ogarnąć wyobraźnią wroga i obcą człowiekowi.

Wymiar kosmiczny Miłosa nie interesuje. Natomiast tkliwość do Ziemi jest jednym z motywów przewodnich w jego poezji. Dyktuje mu niechęć do kosmosu nie tylko potrzeba zakreszenia granic. W jednym ze swoich *Zdań* odnotował: „Kosmos to znaczy ból bredził we mnie diabelskim językiem”. Powyższą uwagę mógłby zamieścić w omawianym tomie. W cyklu rozmów ogłoszonych w książce *Podróżny świata* dał do tej myśli, zrazu trudnej do rozszyfrowania, następujący komentarz: „Kosmos jako matematyczna konieczność jest dla istot żywych przeważnie bólem. Język kosmosu jako język ślepej konieczności jest diabelski”.

Przytoczyłam te słowa, bo mogłyby one służyć jako punkt wyjścia i do rozważań nad omawianym tomem. Na *The View* składają się wiersze, noty i epigrafy, które czytelnik polski zna ze zbiorów *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* oraz *Nieobjęta ziemia*. A jednak w nowym układzie i w nowym wyborze powstaje z nich integralna, nowa całość. Zauważmy przy tym, że oba wspomniane tomy wierszy zawierają w tytule słowo „ziemia”, choć w pierwszym (cytat z psalmu) mamy do czynienia z parafrazą. Tytułowy wiersz wydania bibliofilskiego — „Widok” — jest także wierszem o Ziemi, po zapomnianych kataklizmach i katastrofach odziedziczonej przez poetę. Podmiot poetycki jako dziedziec całego świata to nie wyraz pychy lecz miłości, w myśl wskazań XVIII-wiecznego poety Thomasa Traherne'a, który pisał, że Ziemia jest indywidualnym darem Boga dla każdego z nas z osobna.

Wierszy, w sensie zapisu metrycznego, słupkiem, jest w omawianej książce zaledwie kilka: prócz „Widoku” — „Ars Poetica?” i „Wieść”. Natomiast poeta włączył do tego tomu ponad 30 not i epigrafów zaczerpniętych z *Nieobjętej ziemi*. Można się zawa-

hać, czy należy je zaliczyć do poezji czy do prozy. Jeśli jednak istotą poezji jest kondensacja, krystalizacja, a dopiero w dalszej kolejności rozstrzyga o tym rytm, to owe noty są formą pośrednią. Byłaby to, nie pierwsza zresztą, realizacja Miłoszowego pragnienia wyrażonego w „Ars Poetica?": stworzenia „formy bardziej pojemnej”.

W wybranych tu notach i epigrafach, czyli — jak kto woli — cytatach z dzieł innych myślicieli i poetów, głównie Oskara Miłosa, autor zawarł medytacje nad światem który był, jest, i, miejmy nadzieję, będzie. Jego rozmyślenia dotyczą etyki i estetyki, fizjologii i teologii, natury i kultury. Nie kreuje się na parnasite: jest jednym z nas. Wychodzi często od spostrzeżeń o charakterze osobistym. Kontemplacje poety, nasycone zmysłowością, zacierają do tego, aby połączyć to, co ogólne i co szczególne i tak skondensować całe doświadczenie człowieka XX wieku, aby móc je zamknąć w jednym doskonałym zdaniu. Wątpiący i wierzący, stale świadom bólu i cierpienia wszechobecnego na ziemi, Miłosz jest mimo wszystko olśniony światem, wielością i różnorodnością, które są samą istotą życia. Ta książka — *The View* — jest jego pieśnią dziękczynną. „Powiedz, poeto, co robisz? — zapytywał Rainer Maria Rilke. — Chwałę”.

Renata GORCZYŃSKA

## Nadesłane nowości wydawnicze

POPIELUSZKO (Jerzy, ks.). *Zapiski 1980-1984*. Str. 59 + facsimile wszystkich zapisków. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1985).

SIKORA (Grażyna). *Prawda warta życia. Ks. Jerzy Popiełuszko*. Str. 148 i 4 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1985).

TOMASZEWSKI (Adam). *Gdzie jesteś, Itako?* Str. 142 i 2 nlb. (Wyd. Polski Instytut Wydawniczy, Toronto 1985).

JURKŠZUS-TOMASZEWSKA (Jadwiga). *Wczoraj i dzisiaj*. Str. 224. (Wyd. Polski Instytut Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1985).

*Zmierzch komunizmu — Wybić się na niepodległość — Europa przyszłości — Ku wolnej Polsce. Wybór z pierwszych 28 numerów Niepodległości, miesięcznika po-*

*litycznego wydawanego w podziemiu, Warszawa-Kraków. Opr. Józef Darski. Str. 236 i 4 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1985).*

WAT (Aleksander). *Świat na haku i pod kluczem. Eseje. Opr. Krzysztof Rutkowski*. Str. 241 i 3 nlb. („Pisma wybrane”, tom I, wyd. Polonia, Londyn 1985).

ZAGAJEWSKI (Adam). *Jechać do Lwowa. Wiersze z ilustracjami Józefa Czapskiego*. Str. 80. (Wyd. Aneks, Londyn 1985, cena £ 3, \$ US 7,50).

KARPIŃSKI (Jakub). *Ustrój komunistyczny w Polsce*. Str. 228. (Wyd. Aneks, Londyn 1985, cena £ 4, \$ US 10).

STAHL (Zdzisław). *Generał Anders i 2 Korpus*. Str. 40 (Wyd. PFK, Londyn 1985).

- Orędzie Jego Świątobliwości Papieża Jana Pawła II na XIX Światowy Dzień Pokoju 1 stycznia 1986 roku.* Str. 16 i 2 nlb. (Wyd. Libreria Editrice Vaticana, Watykan 1985).
- NOWAKOWSKI (Tadeusz). *Boeing świętego Piotra.* Str. 236 i 4 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1986).
- FRAJLICH (Anna). *Który las.* Wiersze. Str. 37 i 3 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1986).
- Arka. (Wybór z numerów 1-9). (Przedruk polskiego pisma podziemnego, Kraków 1983-1984). Str. 223 i 1 nlb. (Wyd. Towarzystwo Przyjaciół Arki krakowskiej, Paryż 1986).
- Przegląd polityki polskiej.* Str. 197 i 3 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn 1985).
- BANIEWICZ (Olgierd). *Ikar bezskrzydły.* Wiersze. Str. 81 i 1 nlb. (Wyd. nakładem własnym, Oujda, Maroko 1985).
- Wspomnienia byłych żołnierzy Armii Krajowej zamieszkałych w Australii.* Praca zbiorowa. Str. 228. (Wyd. Migrant Resource Centre i Literature Board, Adelaide - Brisbane - Hobart - Melbourne - Sydney, Australia 1984).
- Society and Religion in the Grand Duchy of Lithuania: A Reprint of the 1754 Nieśwież Edition of „Pełnia pięknej jak księżyc, łask promieniami światu przyświecająca”.* Edited with an Introduction by Maciej Siekierski. Str. 118 i 2 nlb. (Wyd. Szwede Slavic Books i Berkeley Slavic Specialities, Palo Alto - Berkeley, 1985).
- ŻYCIŃSKI (Józef). *Teizm i filozofia analityczna* Tom I. Str. 237 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1985, cena zł 320).
- Pasterze wiernych Słowian: święci Cyryl i Metody.* Teksty wybrał, tłumaczył i opracował Aleksander Naumow. Str. 153 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1985, cena zł 200).
- LUSTIGER (Jean-Marie). *Kazania paryskiego proboszcza.* Str. 288 i 4 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1984, cena zł 320).
- MALEWSKA (Hanna). *Panowie Leszczyńscy.* Str. 401 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1985, cena zł 400).
- ROSTWOROWSKI (Emanuel Mateusz). *Popioły i korzenie. Szkice historyczne i rodzinne.* Str. 567 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1985, cena zł 550).
- MAGALA (Sławomir). *John Barth.* Str. 111 i 5 nlb. + fotografie. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1985, cena zł 100).
- KORCZAK (Janusz). *Le Sénat des fous.* Przekład i adaptacja Zofii Bobowicz. Str. 87 i 3 nlb. (Wyd. Librairie Bleue, Troyes 1985).
- MONIUSZKO: *Le manoir hanté.* W: *L'Avant-Scène Opéra*, janvier 1986, nr 83. Str. 146. (Wyd. La Discothèque de l'Avant-Scène Opéra, Paryż 1986, cena Frs 58).
- KHLEBNIKOV (Velimir). *The King of Time. Poems, Fictions, Visions of the Future.* Przeł. Paul Schmidt, opr. Charlotte Douglas. Str. 254 i 4 nlb. (Wyd. Harvard University Press, Cambridge, Mass., USA — Londyn, 1985).
- ANDERMAN (Janusz). *Poland under Black Light.* Przekł. Nima Taylor i Andrew Short. Str. 131 i 13 nlb. (Wyd. Readers International, Londyn - Nowy Jork 1985).
- BAUMAN (Janina). *Winter in the Morning. A Young Girl's Life in the Warsaw Ghetto and Beyond. 1939-1945.* Str. 195 i 1 nlb. (Wyd. Virago Press, Londyn 1986, cena £ 8.95).
- GOLDBERG (Jacob). *Jewish Privileges in the Polish Commonwealth. Charters of Rights Granted to Jewish Communities in Poland-Lithuania in the Sixteenth to Eighteenth Centuries. Critical Edition of Original Latin and Polish Documents with English Introductions and Notes.* Str. 477 i 13 nlb. (Wyd. The Israel Academy of Sciences and Humanities, Jerozolima 1985).
- Kosmas. Journal of Czechoslovak and Central European Studies*, vol. 3 i 4, nry 1-2, zima 1984/lato 1985. Str. 191 i 3 nlb. (Wyd. Czechoslovak Society of Arts and Sciences, Cambridge Mass., USA, 1985).

- Bibliography of Books in Polish or Relating to Poland published outside Poland since September 1st 1939.* Vol. IV: 1964-1967 and supplements to 1939-1963 (nry 1-3344). Opr. Z. Jagodziński, M. E. Cybulska, M. L. Danilewicz Zielińska. (Wyd. The Polish Library, The Polish Social and Cultural Ass., Londyn 1985).
- MILEWSKI (Jerzy). POMIAN (Krzysztof), ZIELONKA (Jan). *Poland: Four Years After.* (Nadbitka z *Foreign Affairs* nr 64209, zima 1985/1986, str. 337-359, wyd. Council on Foreign Relations, USA).
- STANLEY (John D.). *The Birth of a Nation: The January Insurrection and the Belorussian National Movement.* (Nadbitka z *War and Society in East Central Europe*, vol. XIV, wyd. Brooklyn College Press, 1984).
- SIEKIERSKI (Maciej), DWYER (Joseph D.). *Polish Uncensored Serials 1976-1985. Holdings at the Hoover Institution.* Str. 48. (Wyd. Hoover Institution, Stanford, grudzień 1985).
- Harvard Ukrainian Studies*, vol. VIII, nr 3-4, grudzień 1984. Str. 543 i 3 nlb. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge Mass., USA).
- Solidarność żyje.* Katalog wystawy polskich wydawnictw podziemnych, Widener Library, Harvard University, 13 grudnia 1985. Str. 39.
- KOSYK (Włodomyr, opr.). *Das Dritte Reich und die ukrainische Frage. Lebensraum... Dokumente 1939-1944.* Str. 227 i 1 nlb. (Wyd. Ukrainisches Institut, Monachium).
- ANDREJEW (German), BASSE (Ottokar), FILBINGER (Hans), HORNING (Klaus), LOBKOWICZ (Nikolaus), MAXIMOW (Wladimir), ROHRMOSER (Günter), SCHWAN (Alexander), SCHWAN (Gesine), SEIFFERT (Wolfgang), SINOWJEW (Alexander). *Marxismus. Die gescheiterte Philosophie unserer Epoche?* Str. 146 i 2 nlb. (Wyd. V. Hase u. Koehler, Moguncja 1985).
- KOZŁOWSKI (Nina), STASIEW-SKI (Bernhard). *Es geschah vor 40 Jahren. Zum Gedenken an den Aufstand im Warschauer Ghetto (1943) und den Tod Kardinal Bertrams (1945).* Str. 67 i 9 nlb. (Wyd. Hermann Holzbauer, Universitätsbibliothek Eichstätt, Eichstätt 1985).
- Das Ichorlied. Heldenepos der Kyjiver Literatur des 12. Jahrhunderts.* Opr. Sviatoslav Hordynskyj. Str. 94 i 6 nlb. (Wyd. Ukrainische Freie Universität, Monachium 1985).
- NOWAKOWSKI (Tadeusz). *Mehr als Folklore.* (Nadbitka z „Dichtung und Sprache”, tom 3, Carl Hanser Vlg, Monachium 1985).
- JORDAN (von, Gerhard). *Polnische Jahre.* Str. 250. (Wyd. nie podane, Bad Rappenau, RFN).
- POPIELUSZKO (Jerzy). *Il cammino della mia croce. Messe a Varsavia.* Str. 223 i 5 nlb. (Wyd. Queriniana, Brescia, 1986).
- Annali della Fondazione Luigi Einaudi*, vol. XVIII/1984. Str. 626 i 10 nlb. (Wyd. Fondazione Luigi Einaudi, Turyn 1984).
- Catalogo Libreria Editrice Vaticana.* Str. 211 i 1 nlb. (Wyd. Libreria Editrice Vaticana, Watykan 1986).
- Index lectionum. Semestre aestivum 1985.* Str. 100 i 4 nlb. (Wyd. Universitas Libera Ucrainensis, Monachium 1985).
- REYNEK (Bohuslav). *Basnické dilo I.* Str. 342 i 2 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Londyn 1985, cena £ 15).
- KUNCIR (Ladislav). *Zivot pro knihu.* Str. 169 + fotografie. (Wyd. Razmluvy, Londyn 1985).
- Delo*, rok XXXI, nr 12, grudzień 1985. Str. 165 i 3 nlb. (Belgrad 1985).
- Delo*, rok XXXI, nr 10-11, październik-listopad 1985. Str. 229 i 3 nlb. (Belgrad 1985).
- Poljsko pitanje. Clanci, eseji, polemike.* Wybór i przekład Biserka Rajčić. Str. 317 i 3 nlb. (Wyd. Radionica SIC, Belgrad 1985).
- Canadian Institute of Ukrainian Studies. Publications Catalogue 1985-1986.* Str. 30. (Wyd. University of Alberta, Kanada 1986).

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

18-11-85

Została zawiązana Społeczna Rada Funduszu Wydawniczego. Zadaniem Rady jest materialne wspieranie niezależnych działań wydawniczych na terenie Dolnego Śląska. Rada dysponować będzie środkami pochodzącymi z darów ofiarodawców z Kraju i z zagranicy. Oświadczenie Rady ukazało się jednocześnie w piśmie *Solidarność Walcząca* oraz w piśmie RKS Dolnego Śląska — *Z dnia na dzień*.

8-12-85

Poczta Solidarności Walczącej wydała serię wielobarwnych znaczków pocztowych wartości 60, 70 i 90 zł. Znaczek z Matką Boską Ostrobramską ma napis w języku litewskim i w języku polskim „O niepodległość Litwy prosimy Cię Matko Boska Ostrobramska”. Znaczek ze św. Jerzym i trójzębem ma napis w języku ukraińskim i polskim „Św. Jerzy, o niepodległość Ukrainy prosimy Cię Patronie nasz”. Znaczek z Matką Boską Częstochowską ma napis „O niepodległość Ojczyzny prosimy Cię, Królowo Polski”.

26-12-85

Niedobory zaopatrzeniowe ludności w węgiel wynoszą w województwie lubelskim około 128 tys. ton. Wobec tego niedoboru uchwalono, że trzeba będzie położyć nacisk na drewno opałowe. Nadleśnictwa dostały odpowiednie polecenia.

28-12-85

Zmarł w Warszawie w wieku 64 lat Henryk Krzeczkowski, tłumacz, publicysta, członek kolegium redakcji *Tygodnika Powszechnego*. ■ Ogromny wzrost przestępczości w Polsce: w 1980 roku stwierdzono w PRL 338 tys. przestępstw, w 1983 — 466 tys., a w 1984 — 539 tys. ■ Sukcesy polskich konserwatorów zabytków: ekipy Pracowni Konserwacji Zabytków prowadzą prace renowacyjne zabytkowego śródmieścia Tallina i Rygi; w bież. roku będą restaurowały wileńską starówkę; w NRD pracują nad restauracją zespołu pałacowego Sans-Souci w Poczdamie, prowadzą też prace renowacyjne w dawnej stolicy Cesarstwa — Quedlinburgu; w RFN rekonstruują malarstwo m.in. w klasztorze karmelitów we Frankfurcie nad Menem; w Czechosłowacji restaurują katedrę koszycką. Na rynkach pozaeuropejskich kończą się prace nad odnowieniem cytadeli w Algierze i pałacu beya w Constantine.

31-12-85

Zginął w wypadku samochodowym w Iraku w wieku 63 lat ks. Stanisław Ułaszkiwicz, chrystusowiec. W 1984 roku został skierowany przez sekretariat Episkopatu do pracy duszpasterskiej wśród Polaków, pracujących w Iraku.

1-1-86

Dla upamiętnienia szczególnego udziału prof. Benona Miśkiewicza, ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego PRL w niszczeniu samorządności szkół wyższych, Społeczny Komitet Nauki wybił medal z napisem: „Benonowi Miśkiewiczowi ministrowi PRL — *Vilem fieri auso* (temu, który odważył się być podłym) — społeczność akademicka”. Podobnym medalem został wyróżniony Aleksander Apuchtin, carski kurator Warszawskiego Okręgu

Szkolnego w latach 1879-1897. ■ By uniknąć określenia „więzień polityczny”, wprowadzono nowe — więźniowie nie kryminalni. Jest to wynalazek p. Jerzego Urbana, rzecznika prasowego rządu PRL.

9-1-86

Aresztowany został w Gdańsku Bogdan Borusewicz, działacz opozycyjny od 1968 roku, członek KOR-u i „Solidarności”. Po wprowadzeniu stanu wojennego został członkiem podziemnej Regionalnej Komisji Koordynacyjnej regionu gdańskiego, a po aresztowaniu Bogdana Lisa w 1984 roku TKK. Wraz z nim aresztowano Małgorzatę Szwankowską z Przedsiębiorstwa Budownictwa Komunalnego, Wojciecha Mostowicza i Huberta Wojciechowskiego z Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego oraz rencistów Zygmunta Sabatowskiego i Tadeusza Wyganowskiego — wszystkich z Trójmiasta.

12-1-86

Z początkiem bież. roku rozpoczyna działalność Fundusz Ubezpieczeniowy Wydawnictw Niezależnych. Członkami Funduszu mogą być wydawnictwa, które wpłacą swój wkład (w razie wycofania się wkład zostanie zwrócony), a których przedstawiciele stanowią będą Radę Funduszu. Przewiduje się również możliwość korzystania z Funduszu przez wydawnictwa nie będące jego członkami, pod warunkiem opłacania składek ubezpieczeniowych. Zasoby finansowe Funduszu składać się będą z wkładów wydawnictw członkowskich, składek ubezpieczeniowych oraz darowizn z kraju i zza granicy. Celem Funduszu jest pokrywanie strat związanych z represjami politycznymi, konfiskatami książek, sprzętu, materiałów poligraficznych itp. Przewiduje się możliwość ubezpieczenia pozycji wydawniczych w druku lub przeznaczonych do kolportażu, sprzętu i materiałów oraz osób zatrudnionych lub współpracujących z wydawnictwami. Szczegółowe informacje o funkcjonowaniu Funduszu — warunkach ubezpieczenia, wysokości składek, ulgach, warunkach wypłat, wysokości odszkodowań itp. — można otrzymać od NOW-ej, Przedświt-u oraz *Tygodnika Mazowsze* drogą bezpośrednich kontaktów.

20-1-86

Udział ZSSR w obrotach handlowych PRL zwiększył się z 37 % w 1985 do 43 % w 1990 roku.

22-1-86

*Trybuna Ludu* na liczne zapytania wyjaśnia, co się stało z Funduszem Obrony Narodowej, który po wojnie został sprowadzony z Londynu do PRL. Część przedmiotów F.O.N., nie stanowiących wartości zabytkowej, oraz złoty złom zostały przetopione w sztaby i wykorzystane następnie na cele bilansu płatniczego PRL. Pozostała część, mająca wartość zabytkową, została przekazana do Muzeum Narodowego w Warszawie. F.O.N. został ostatecznie zlikwidowany w 1957 roku.

26-1-86

Władze PRL starają się jak mogą, żeby wyciągnąć ze społeczeństwa coraz to nowe pieniądze. *Przegląd Tygodniowy* z 26 stycznia 1986 ogłosił rozporządzenie Rady Ministrów z 16 września 1985 o nowych zasadach „oddania w użytkowanie wieczyste gruntów i sprzedaży nieruchomości państwowych, kosztów i rozliczeń z tym związanych oraz zarządzania sprzedanymi nieruchomościami”. Łamiąc wszelkie zasady prawne, które nigdzie nie działają wstecz, z dnia na dzień podwyższono wielokrotnie opłaty eksploatacyjne za mieszkania niegdyś kwaterekowe, a następnie wykupione na własność przez ich lokatorów czy najemców. Tysiące osób, które uwierzyły w oficjalne zapewnienia i w ramach prowadzonej od 1972 roku akcji sprzedaży miesz-

kań kwaterunkowych kupiły je od państwa, znalazły się w sytuacji finansowej, często bez wyjścia. Ceny nowych kosztów eksploatacyjnych podwyższono z sumy kilkuset złotych do kilku tysięcy (przykładowo z 453 do 2.630 złotych) uderzając przede wszystkim w ludzi starych, często żyjących ze skromnych emerytur.

**1-2-86**

Złoty polski został zdewaluowany w stosunku do dolara o 13,5%. Za jednego dolara obecnie będzie się płacić zł 170,00. Poprzedni kurs wynosił zł 147,11. Min. złoty został zdewaluowany o 15% w stosunku do marki zachodniemieckiej.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

**11-12-85**

Kompozytor Krzysztof Penderecki został doktorem *honoris causa* Uniwersytetu w Belgradzie.

**14-12-85**

„Solidarność” w Wenezueli zorganizowała manifestację w związku z czwartą rocznicą wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. Zwracało uwagę, że w tej manifestacji wzięła udział bardzo duża grupa Kubańczyków. ■ W Atenach ukazał się pierwszy numer pisma *Uchodźca polski* (adres Redakcji: 2A, Kalisperi Street, MAKRIGIANI (GR 117 w 42, ATHENA), organ uchodźców polskich czasowo przebywających w Grecji. Pismo redaguje Jarosław Gąsiorek.

**20-12-85**

Zmarł w Genewie w wieku 79 lat Denis de Rougemont, znany filozof i pisarz szwajcarski, twórca kierunku zwanego personalizmem. ■ Ks. Stanisław Jeż został mianowany rektorem Polskiej Misji Katolickiej we Francji. Ks. Jeż przybył do Francji w 1979 roku i pracował jako dyrektor paryskiego biura L'Aide à l'Eglise en détresse. Poprzednio pracował przez 8 lat na misjach w Kongo-Brazzaville. ■ Synagoga Westminsterka przekazała waszyngtońskiemu Uniwersytetowi Georgetown jedną z pięciu Tor, uratowanych z czeskiego Litomyśla. Dar ten jest zarówno wyrazem uznania dla zasług amerykańskiej uczelni w krzewieniu nauk judaistyczno-hebrajskich, jak i podkreśleniem tego, co uczynił dla mordowanych Żydów Jan Karski. Tor została bowiem imiennie zadedykowana jemu, dzisiaj profesorowi Uniwersytetu Georgetown, a podczas drugiej wojny emisariuszowi podziemia polskiego i żydowskiego.

**27-12-85**

Zmarł w Nowym Jorku w wieku 90 lat płk Kazimierz Buterlewiec, oficer Sztabu Naczelnego Wodza w Warszawie i w Londynie, szef Oddziału Społecznego Drugiego Korpusu. Był przyjacielem *Kultury*, której pomagał w pierwszym okresie powstawania Instytutu Literackiego w Rzymie.

**1-1-86**

Prezydent R.P. na wygnaniu, Edward Raczyński, oznajmił, że w kwietniu bież. roku, po zakończeniu 7-letniej kadencji, złoży swój urząd i przekaże go swemu następcy p. Kazimierzowi Sabbatowi. ■ W 1985 roku wyróżnienia „Poleul Foundation” w Australii otrzymało 61 osób, z czego aktorzy — 3, dziennikarze i publicyści — 7, poeci i pisarze — 4, pracownicy nauki — 6, pracownicy prasy i wydawnictw — 18, pracownicy społeczni i

oświatowi — 14, plastycy — 7, prawnicy — 2. Ogólna ilość dotychczas wyróżnionych (od czasu założenia Fundacji) wynosi 200 osób. ■ W Monachium powstała nowa organizacja polonijna „Klub Solidarność”. Zrzesza ona członków NSZZ „Solidarność” oraz ich rodziny. Przewodniczącym zarządu został Konrad Tatarowski, dziennikarz, a sekretarzem — Anatol Kobylński, aktor. ■ Prezydent RFN, Richard von Weizsäcker, w przemówieniu noworocznym, poświęconym głównie prawom człowieka, wypowiedział się za zwolnieniem Rudolfa Hessa (92 lata), który od 44 lat przebywa w międzyaliamckim więzieniu wojskowym Spandau w Berlinie Zachodnim. Hess jest jedynym więźniem przebywającym w tym więzieniu i jego zwolnieniu kategorycznie sprzeciwia się Związek Sowiecki.

**3-1-86**

Zmarł we Francji w wieku 81 lat Jan Eugeniusz Zumbach, major-pilot Polskich Sił Powietrznych, były dowódca Dywizjonu 303.

**7-1-86**

W Londynie odbył się w wielkiej sali POSK-u uroczysty wieczór w 40-tą rocznicę powstania Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Przemawiali: ks. Jerzy Mirewicz z Londynu, Władysław Bartoszewski z Warszawy i dr Józef Garliński, który przewodniczył. Lena Harrison recytowała teksty Mickiewicza, Norwida, Wierzyńskiego i Barańczaka.

**8-1-86**

Zmarł w Grimsby (Anglia) w wieku 84 lat Stanisław Wyskota-Zakrzewski, pułkownik kawalerii i dowódca pułku ułanów karpaccich w czasie ostatniej wojny.

**10-1-86**

Kongres Polonii Amerykańskiej od szeregu lat prowadzi akcję pomocy finansowej i humanitarnej dla Kraju. Celem spotęgowania tej akcji został powołany do życia Krajowy Komitet Pomocy dla Opozycji Demokratycznej w Polsce. Przewodniczącym Komitetu został mianowany znany działacz, Bonawentura Migala. Komitet apeluje do Polaków i Amerykanów polskiego pochodzenia o poparcie tej akcji. Wpłaty należy kierować bezpośrednio na adres: Polish American Congress, Assistance for the Democratic Opposition in Poland Fund, 1200 N. Ashland Avenue, CHICAGO, IL 60622. ■ Zmarł w Londynie w wieku 89 lat płk Aleksander Karol Kędzior. Przed wojną był *attaché* wojskowym R.P. w Portugalii, a po wrześniu 1939 roku był przez pewien czas szefem Sztabu Głównego w Londynie.

**7-2-86**

Zmarł w Londynie w wieku 83 lat Jan Szukrzyński. Studiował prawo i nauki polityczne na uniwersytetach w Poznaniu, Krakowie i Londynie. Pracował przed wojną w Warszawie w Departamencie Ustawodawczym Ministerstwa Sprawiedliwości jako specjalista prawa rolnego i prawa niemieckiego. W czasie wojny kierownik prasy Jednostek Wojska Polskiego na Środkowym Wschodzie. Po wojnie współpracował z Mid-European Research and Planning Center w Paryżu. W latach 1953-1972 profesor na Uniwersytecie w Addis Abebie, kierownik Departamentu Nauk Społeczno-Politycznych. Ostatnio był profesorem PUNO w Londynie.

**15-2-86**

Ukazał się w Paryżu pierwszy numer kwartalnika społeczno-religijnego pt. *Znaki czasu*. Jest to organ prymasa Glempa. Redaktorem jest Andrzej Micewski. W niedługim czasie ma się ukazać inny kwartalnik pod redakcją Bohdana Cywińskiego.

## KRONIKA FRANCUSKA

W związku z „czystkami” na wyższych uczelniach w Polsce 112 naukowców z Uniwersytetu Lille skierowało list protestacyjny do ambasadora PRL w Paryżu. ■ W podparyskiej miejscowości Guyancourt odbyła się wielka, 24-godzinna impreza poświęcona problematyce przestrzegania praw człowieka, a w szczególności walce z rasizmem. W debacie wzięła udział m.in. Danuta Nowakowska, przedstawicielka Komitetu Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” we Francji. Podczas spotkania dokonano otwarcia nowego stadionu, któremu nadano imię księdza Jerzego Popiełuszki. ■ Działacze stowarzyszeń: „Solidarité France-Pologne” i „Solidarité avec Solidarność” zorganizowali w ostatnich miesiącach szereg projekcji filmu „Polska 1985”, który pokazuje m.in. nieznane dokumenty filmowe na temat działalności Solidarności. ■ W miesięczniku *Video 7* (luty 1986) ukazał się obszerny artykuł pióra Pascala Le Gleut, dotyczący niezależnego obiegu filmów video w Polsce. Znaczna część artykułu poświęcona jest działalności paryskiego „Video-Kontakt”. ■ W Centrum Studiów Polskich przy paryskim Instytucie Katolickim (21, rue d'Assas, 75006 Paris) odbywają się, jak co roku, wykłady w języku francuskim, dotyczące historii, literatury i kultury polskiej. W lutym wykłady prowadzili ks. Józef Tischner i Jean Myciński, a w kwietniu i w maju przewidywane są odczyty: Jerzego Kłoczowskiego, Heleny Zamoyskiej i Ojca Jana Góry. Współorganizatorem działalności paryskiego Centrum jest polskie Towarzystwo Historyczno-Literackie. ■ „Polonia kanadyjska wobec problemów i zadań emigracji” — to tytuł odczytu Jana Kaszuby, prezesa Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata zorganizowanego przez Towarzystwo Historyczno-Literackie w gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu. W innym spotkaniu TH-L wzięła udział Henry Rollet, autor książki „La Pologne au XX siècle”. ■ Paryski teatr „Mauritins” wystawia sztukę Sławomira Mrożka pt. „Alfa” (tytuł francuski: „Rezydent”). ■ W prowadzonej przez Zofię i Kazimierza Romanowiczów galerii „Lambert” miała miejsce wystawa pastelii znanej francuskiej artystki — Souchi. ■ W paryskiej galerii „Bernanos” czynna była przez dwa tygodnie wystawa grafik 44 polskich artystów tworzących w kraju i poza jego granicami. ■ Polska Misja Katolicka we Francji obchodzi w tym roku swoje 150-lecie. ■ Wymiana handlowa między Francją a PRL jest o 46 % niższa niż cztery lata temu; w latach 1981-1984 Polska spadła z 43-go na 51-sze miejsce wśród handlowych partnerów Francji, zaś Francja, która jeszcze w 1981 roku była drugim partnerem Polski jest dziś na piątym miejscu. Po raz pierwszy od czterech lat w dniach od 8 do 10 lutego zebrała się w Warszawie mieszana polsko-francuska komisja ekonomiczna. ■ Francuska Partia Socjalistyczna wydała specjalny komunikat w obronie Czesława Bieleckiego. Socjaliści francuscy protestują również przeciwko uwięzieniu Tadeusza Jedyńaka, Bogdana Borusewicza i innych polskich działaczy. ■ Delegacja francuskiego komitetu architektów przeciwko represjom w Polsce usiłowała złożyć w ambasadzie PRL w Paryżu petycję popierającą żądania Czesława Bieleckiego. Petycji nie przyjęto, po czym pozostawiony list odźwierny wyrzucił na chodnik uliczny. ■ Paryski Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarność” zorganizował w lokalu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów spotkanie poświęcone więźniom politycznym w Polsce. Zebrano ponad 4 tysiące franków. ■ Prasa francuska oceniła negatywnie przedstawienia Teatru Wielkiego z Łodzi. Polski teatr występował w Lyonie z „Halką” i „Strasnym Dworem”.

W. SIKORA

## KRONIKA KANADYJSKA

Stowarzyszenie Kupców i Przemysłowców Polskich w Toronto, organizacja założona ponad 40 lat temu, bardzo aktywna w życiu społecznym w okresie pierwszej powojennej fali migracyjnej, rozwiązała się. Stowarzyszenie zamierza powołać do przeszło 10 lat, starzy członkowie ubywali a nowi nie zgłaszali się. Dla nowych właścicieli różnych zakładów pracy Stowarzyszenie już nie było użyteczne. Majątek w wysokości \$ 5.000 został rozproszony następująco: Harcerstwo Polskie otrzymało \$ 3.000, Fundacja im. Reymonta — \$ 1.000, Copernicus Lodge (dom starców) — \$ 800, Fundusz Jana Pawła II — \$ 200. ■ Badania ankietowe, dyskusja publiczna CBS-TV i prasowa na temat polityki migracyjnej wykazały iż zapowiedź rządowa nieznacznego zwiększenia kwoty migracyjnej spotkała się z niezadowolaniem. Więcej, przy tej okazji ujawniły się bardzo wyraźnie, wręcz dyskryminacyjne nastawienia wobec imigrantów, szczególnie „kolorowych” (*visible minorities*). Formułowano zastrzeżenia w stosunku do działalności politycznej niektórych grup: Ormian, Szków — odpowiedzialnych za zamachy terrorystyczne. Wskazywano na konieczność ścisłego selekcyjonowania imigrantów oraz uchodźców pod kątem interesów Kanady. Pani Flora Macdonald, minister imigracji, broniąc swojej polityki podkreślała, iż Kanada szczyli się tym, że zarówno obywatele jak i mieszkańcy — a więc uchodźcy — korzystają z wszystkich swobód. Dyskryminacja występuje szczególnie ostro w wielkich ośrodkach miejskich jak Vancouver, Edmonton, Montreal, Toronto. Dotyczy ona zarówno wszystkich dziedzin pracy jak i szkolnictwa wszystkich szczebli. Rząd federalny co najmniej od 10 lat prowadzi politykę antydyskryminacyjną ze specjalnym naciskiem na odcinku wielokulturowości, co zresztą spotkało się z zastrzeżeniami rzeczników niektórych grup etnicznych. ■ W ramach akcji odczytowej Polskiego Instytutu Naukowego odbył się w Montrealu 1 grudnia odczyt dr. Jana Fedorowicza pt. „Świadomość historyczna w Polsce. Obrona społeczeństwa przed komunizmem”. ■ W Public Library w Toronto miała miejsce w ciągu stycznia bież. roku wystawa pod hasłem „Polska awangarda: Witkiewicz”. Wystawę zorganizował kierownik sekcji polskiej Tadeusz Uranowski. W gablotkach znajdowały się egzemplarze książek Witkacego, w tym również te, które ukazały się w przekładach na różne języki, oraz reprodukcje niektórych jego obrazów. Ekspozaty pochodziły ze zbiorów Biblioteki Publicznej oraz ze zbiorów prywatnych w tym Louisa Iribarne, profesora literatury polskiej na Uniwersytecie w Toronto, oraz tłumacza dzieł Witkacego, Miłozsa i innych polskich autorów. ■ Dr Karol Krótki, profesor demografii na University of Alberta w Edmontonie, został wybrany na dwuletnią kadencję prezesem Akademii Nauk Humanistycznych i Społecznych w Royal Society of Canada. University of Alberta wyróżniło prof. Krótkiego mianując go „University Professor” — specjalny stopień na uczelniach kanadyjskich i amerykańskich nadawany najwybitniejszym profesorom. ■ W grudniu ub. roku zmarł nagle w Niagara Falls Mikołaj Kolankiowski — założyciel i właściciel wielkiej galerii sztuk pięknych, w której wystawiali m.in. artyści z Polski i Kanady. Kolankiowski był redaktorem i wydawcą miesięcznika ukraińskiego *My i Swit*. ■ Kanada odmówiła rządowi włoskiemu zgody na utworzenie nieokreślonej ilości placówek — komitetów opiekuńczych — w miejscowościach, w których znajduje się ponad 3 tysiące osób pochodzenia włoskiego. Spis ludności z 1981 roku podaje 747.970 osób pochodzenia czysto włoskiego, co stanowi 3 % ludności kraju. 95 % tej ludności żyje w miastach i tak np. w Toronto — 297.205 osób, tj. 10 %

mieszkańców, w Montrealu — 156.535, tj. 6 % mieszkańców. Te dane należałoby podwyższyć o 30 % do 40 %, tj. o liczbę osób mieszanego pochodzenia. Liczba małżeństw mieszanych wśród Włochów jest bardzo wysoka — wynosi ponad 25 %. Ludność pochodzenia włoskiego względnie — jak się najczęściej sami określają — Włosi kanadyjscy w 65 % znajdują się w Ontario, 22 % w Quebecu i 70 % w Brytyjskiej Kolumbii. Jest to grupa dynamiczna, aktywna bodajże na wszystkich odcinkach życia gospodarczego i społecznego. Członkowie tej grupy — oczywiście zintegrowani — zasiadają w radach miejskich, w prowincjonalnych Izbach Ustawodawczych, w Izbie Gmin i w Senacie. Charles Caccia, imigrant powojenny, poseł z okręgu w Toronto, był od 1981 roku członkiem rządu premiera Trudeau, inny Caccia, ale urodzony już w Kanadzie, jest członkiem liberalnego rządu prowincji Quebec. Posłowie pochodzenia włoskiego znajdują się we wszystkich trzech partiach. Rząd włoski postanowił, zapewne w formie legalnej i otwartej „zająć się” tym ludzkim kapitałem. Spotkał się z odmową. Ottawa dyskretnie zakomunikowała, iż włoskie ustawodawstwo nie może być stosowane w Kanadzie, że działalność tych placówek powodowałaby zamieszanie w usługach. Włoskie organizacje społeczne uznały plan rządu włoskiego za wręcz kolonialny, a działania placówek mogłyby powodować rozbiście społeczności, utrudnienie i hamowanie procesu integracji, aktywnego udziału w życiu Kanady. ■ Z dniem 3 lutego weszło w życie zarządzenie o pobieraniu opłat: za wizy stałego pobytu dla rodziny w wysokości \$ 150, za zezwolenia na pracę — \$ 50, tyleż samo za wizy studenckie i ich przedłużanie. Opłata \$ 25 pobierana będzie za potwierdzenie karty lądowania. Opłaty będą pobierane przy składaniu wniosków o wizy i są one bezwzrotne w wypadku odmowy udzielenia wizy. Rząd oczekuje iż roczny wpływ z tych opłat wyniesie \$ 20.000.000. Wysokie koszty opłat spełnią dodatkową rolę w selektywnej polityce imigracyjnej.

B. H.

Toronto, 28 stycznia 1986 r.

## KRONIKA NORWESKA

3 grudnia do portu w Oslo, po kilkuletniej przerwie, wpłynął pierwszy polski statek pasażerski „Rogalin” z wycieczką orbisowską. 8 uczestników wycieczki pozostało w Norwegii. Być może będą jednymi z ostatnich, którym uda się to stosunkowo łatwo. W najbliższym czasie norweskie Ministerstwo Sprawiedliwości zamierza zlikwidować przepisy dające szczególne preferencje Polakom proszącym o azyl lub prawo pobytu. Obecnie praktycznie każdy turysta z Polski może, jeśli tylko zechce, pozostać w Norwegii. Wkrótce, pod pretekstem tak zwanej normalizacji, Polacy będą podlegać podobnym rygorom jak inne narodowości. Może to prowadzić do licznych deportacji. ■ 7 grudnia 1985 przyznano w Oslo trzecią z kolei symboliczną nagrodę: złoty świecznik — przyznawaną poprzednio tym z laureatów pokojowej nagrody, którym do Oslo nie dane było przyjechać (Sacharow — 1975, Wałęsa — 1983). Tym razem nagroda stała się nagrodą alternatywną do kontrowersyjnej tegorocznej pokojowej nagrody Nobla. Otrzymał ją A. Koriagin, rosyjski psychiatra więziony w łagrze za ujawnienie bezzasadnych przetrzymywań. ■ Związek Sowiecki uznał finansowe rozszerezenia Norwegii, dotyczące zwrotu kosztów kabla-echosondy służącego do sporządzenia mapy dna morskiego. Kabel ten został skradziony przez statek sowiecki na oczach Norwegów latem 1985 roku. Jest to nowa forma szpiegostwa przemysłowego. ■ Libia, decyzją swojego przywódcy, postanowiła zapłacić półmilionowe odszkodowanie załodze statku norweskiego, który w 1984 roku został siłą zatrzymany przez władze libijskie. Kilku Norwegów,

członków załogi, torturowano. Jeden z marynarzy zmarł wskutek odniesionych obrażeń. ■ W Oslo każdy przychodzący do Biura pośrednictwa Pracy otrzymuje przeciętnie trzy propozycje zatrudnienia. W połowie grudnia było w stolicy Norwegii ok. 1.000 nieobsadzonych miejsc pracy. Bezrobocie w skali całego kraju wynosi 2,2 %. ■ W dniach 13-15 grudnia ub. roku przebywał w Oslo duszpasterz polskiej emigracji biskup Szczepan Wesoly. Efektem jego wizyty jest obietnica norweskich władz kościelnych przeznaczenia jednego z trzech polskich misjonarzy, mających wkrótce przyjechać do Oslo, wyłącznie do obsługi Polaków. Jeśli zostanie ona wprowadzona w życie, po wielu latach starań ok. 1,5 tysięczna grupa Polaków mieszkających w Oslo i okolicach otrzyma wreszcie swojego duszpasterza. Dotychczas jedyny ksiądz polski, Wiesław Kowal, mieszkający stale w Halden (południowa Norwegia) odprawiał raz w miesiącu polskie msze w Oslo, docierając sporadycznie do innych skupisk Polaków. ■ Związek Pisarzy Norweskich przesłał na ręce W. Jaruzelskiego protest przeciwko aresztowaniu Lothara Herbsta. ■ Solidaritet Norge-Polen oraz Norwesko-Polskie Towarzystwo „Kultura” wydały wspólną ulotkę przedstawiającą sytuację zdrowotną Lothara Herbsta z prośbą do organizacji i ludzi dobrej woli o pomoc w uwolnieniu tego znanego intelektualisty. ■ W Bergen wydano pierwszą polską jednodniówkę. Wśród autorów prezentujących swe poglądy jest również Krystyna Sobierajska, była wiceprzewodnicząca regionu legnickiego NSZZ „Solidarność”. Od chwili osiedlenia się Krystyny Sobierajskiej w Bergen uaktywniło się tu polskie środowisko jak również lokalny oddział Solidaritet Norge-Polen.

Paweł GAJOWNICZEK

## KSIĘGARNIA „POLONIA” 2886 Milwaukee Ave., Chicago, IL 60618.

Tel.: (312) 489-2554.

POLECAMY największy wybór polskich książek i o Polsce po angielsku. Słowniki, książki do nauki angielskiego, historyczne, naukowe, religijne, pamiętniki, powieści sensacyjne, poradniki, książki kucharskie, literaturę dla dzieci i młodzieży, podręczniki. ALBUMY, mapy, nowe nagrania polskich płyt i kaset.

Polskie karty okolicznościowe.

KUPUJEMY stare książki.

Katalog na żądanie bezpłatnie.

## Listy do Redakcji

Cambridge, Mass., 1 lutego 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnąłbym sprostować mylne interpretacje faktu mojej nieobecności na londyńskim Kongresie Kultury Polskiej, zawarte (lub zasugerowane) w sprawozdaniach Obserwatora z Kraju (*Kultura* nr 11/1985) i Reginy Wasiała (nr 12/1985). Po pierwsze, nie odpowiada prawdzie stwierdzenie Obserwatora, jakoby władze angielskie odmówiły mi wizy wjazdowej. Przyczyna, dla której musiałem zrezygnować w ostatniej chwili z przyjazdu, była inna: w końcu roku 1984 utracił ważność mój polski paszport (konsulat PRL zawiadomił mnie uprzednio, że na mocy decyzji władz krajowych paszport nie zostanie przedłużony), zaś amerykańska biurokracja imigracyjna nie zdążyła uporać się do jesieni 1985 z przyznaniem mi prawa stałego pobytu w USA. W momencie rozpoczęcia Kongresu nie posiadałem więc żadnego dokumentu, który pozwoliłby mi wyjechać poza granice Stanów Zjednoczonych, a następnie w obręb tych granic powrócić (bez ważnego paszportu nie otrzymałbym bowiem ani wizy brytyjskiej, ani amerykańskiej *re-entry visa*). O przyczynach mojej nieobecności zawiadomiłem organizatorów Kongresu, prosząc, aby podali je do publicznej wiadomości. Należy wnieść, że prośba nie została spełniona. Po drugie, nie odpowiadają prawdzie sugestie, jakobym Kongres zlekceważył. Odpowiednio wcześniej wysłałem na ręce organizatorów kopię mojego obszernego referatu „Dziedzictwo Awangardy we współczesnej poezji polskiej”, z prośbą o odczytanie go *in absentia*, a przynajmniej rozpowszechnienie wśród uczestników obrad. I znowu: brak jakiegokolwiek wzmianki o tym referacie w sprawozdaniach z Kongresu każe mi powątpiewać, czy prośba została spełniona.

Z wyrazami prawdziwego szacunku

Stanisław BARANCZAK

Monachium, 14 grudnia 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Na odbytym kilka miesięcy temu w londyńskim POSK-u spotkaniu poświęconym zagadnieniom kultury polskiej wygłoszony został przez Zdzisława Najdera referat: „Co kultura polska może dzisiaj dać światu”, prezentowany następnie na początku listopada 1985 w ramach audycji „Polska — jaka może być” na falach rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa.

Ponieważ niektóre tezy autora są nie tyle kontrowersyjne, co kompromitujące, sądzę, że należałoby poświęcić im kilka słów, tym bardziej, iż jako kierownik sekcji polskiej RWE reprezentuje on w jakiś sposób tę tak ważną dla nas instytucję.

Pomijając już sam fakt, iż treść referatu niewiele ma wspólnego z jego tytułem, znaleźć w nim można twierdzenia krzywdzące czy nawet obraźliwe nie tylko dla jednostek, lecz także całych narodów czy społeczeństw, a znane nam skądinąd jako składnik konstruowanej przez komunistyczne środki masowego przekazu „rzeczywistości”, określanej przez Alain Besançoną mianem *surréalité*.

I tak Najder pisze m.in.: „...co zaś do traktowania (przez Polaków — przyp. M.C.) gospodarki własnego kraju jako przedmiotu usprawiedliwionego łupiestwa — jest ono raczej spontaniczne i bezrefleksyjne”, a wyrasta z samej natury systemu: właściciele imperium, *obywatele radzieccy* (podkr. M.C.) „pracują przecież jeszcze mniej wydajnie”. Abstrahując już od tego, czy „łupiestwo” Polaków jest rzeczywiście „spontaniczne i bezrefleksyjne” i czy okradają oni faktycznie „własny kraj”, trzeba stwierdzić, iż Najder posuwa się zdecydowanie za daleko, traktując obywateli radzieckich jako właścicieli imperium. Obraża on w ten sposób za jednym zamachem 250 milionów ludzi, których jedyną „winą” jest, iż urodzili się w totalitarnym państwie, które uciska inne, mniejsze organizmy państwowe. Autor przeoczył najwidoczniej fakt, iż rzeczywistymi właścicielami imperium jest zaledwie 750.000 członków nomenklatury, a więc zaledwie 0,3% „obywateli radzieckich”, którym Najder zarzuca imperializm. (Por.: Michael S. Voslensky: *Nomenklatura*, Wiedeń 1982, str. 141 i następne).

W innym miejscu obraża on samych Rosjan: „Ale to wszystko rosyjskie, czym się poza Rosją zachwycono i ekscytowano, doznało zagłady z rąk samych Rosjan (podkr. M.C.) po Rewolucji Październikowej”. Jak powszechnie wiadomo, nie mieli udziału w tej zagładzie mieli również bolszewicy pochodzenia polskiego (Dzierżyński), gruzińskiego (Stalin, Ordżonikidze), czy żydowskiego (Trocki), zaś niezależna kultura w Rosji radzieckiej zniszczona została definitywnie nie zaraz po przewrocie październikowym, lecz 5 lat później, kiedy to Lenin skazał na banicję najwybitniejszych intelektualistów oraz zlikwidował całkowicie niezależność Cerkwii (szerzej piszę o tym w artykule „Der logische Nachfolger — Die leninistischen Wurzeln des Stalinismus, w: *Die Politische Meinung*, Nr 219, marzec/kwiecień, Bonn 1985, str. 53-61).

Do zaskakujących wniosków dochodzi Najder również, analizując sytuację w Polsce po drugiej wojnie światowej: „I chociaż system ten (komunizm — przyp. M.C.) był i jest przez większość Polaków uznawany za narzucony, to sam skok *cywilizacyjny* (sic!) został przez cały niemal naród zaakceptowany jako zmiana pomyślna. Jednocześnie wszakże trwa w zbiorowej świadomości rozpowszechniona niechęć do systemu, w ramach którego wspiealiśmy się do poziomu kraju *rozwinętego* i *cywilizacyjnie* i *gospodarczo* (sic!). (...) Metaforycznie się wyrażając: aprobowany jest punkt docelowy, nie aprobowany jest podjazd” (podkr. M.C.). Polska — zdaniem Najdera — dzięki systemowi komunistycznemu miała dokonać po 1945 roku „skoku cywilizacyjnego”. Czytając te słowa, można odnieść wrażenie, iż autor w chwili ich pisania był przemęczony nadmiarem obowiązków lub stracił całkowicie poczucie rzeczywistości polskiej. Możliwe, iż za skok cywilizacyjny uważa on upaństwowienie kultury lub powrót do pogańskich zwyczajów starożytnego Rzymu mordowania kapłanów chrześcijańskich, zaś za gospodarczy — np. Hutę Katowice czy inne ekscesy Gierka.

„...wychowane w PRL miliony musiały nasiąknąć nawet bezwiednie oficjalną frazeologią i znaczną jej część w jakiś sposób sobie przyswajając jako własną” — pisze Najder. Po lekturze referatu nie sposób oprzeć się wrażeniu, iż do tych „milionów” należy również jego autor, który uważa, że w Polsce „nie kwestionuje się w zasadzie ani publicznej własności wielkich przedsiębiorstw, ani wszechobecności państwa, ani egalitarnych hasel ekonomicznych. (...) Można powiedzieć, że Polacy życzą sobie zmiany ustroju politycznego — ale nie ustroju społeczno-gospodarczego” (podkr. M.C.).



Większość Polaków — zdaniem Najdera — nie chce powrotu do gospodarki rynkowej. Gdyby autor zadał sobie trud przeanalizowania publikacji podziemnych z ostatnich 2-3 lat lub też wyników niektórych niezależnych ankiet, przeprowadzonych w Polsce, czy przynajmniej słuchał audycji przygotowywanych przez swych redakcyjnych kolegów (np. Gawlikowskiego, 5 grudnia 1985), nie napisałby z pewnością powyższych słów. Na przykład na podstawie przeprowadzonej przez *Paris-Match* jeszcze przed ogłoszeniem stanu wojennego ankiety 34 % Polaków głosowałoby na partię demokratyczno-chrześcijańską, 19 % — na liberalną, a tylko 23 % na socjalistyczną, w wypadku, gdyby odbyły się w Polsce wolne wybory. Hipotetyczna chrześcijańsko-liberalna koalicja rządowa dysponowałaby więc już w 1980 roku 53 % mandatów poselskich. Można przypuszczać, że po ogłoszeniu stanu wojennego popularność idei socjalistycznych zmalała jeszcze bardziej. W tym miejscu wypada autorowi referatu polecić lekturę np. pisma *Niepodległość* (nr 28, Warszawa-Kraków, kwiecień 1984, str. 42), opowiadającego się zdecydowanie za systemem wolno-konkurencyjnym.

Nie wiadomo na jakiej podstawie twierdzi więc Najder, że większość Polaków jest przeciwna temuż systemowi. Odnieść można wrażenie, iż autor stara się przedstawić swe własne sympatie polityczne jako poglądy większości społeczeństwa polskiego.

Kolejnym, osobliwym „odkryciem” Najdera jest, iż program „Solidarności” jest „zasadniczo antytotalitarny” (podkr. M.C.): „Zespolenie w jednym programie postulatów gospodarczych, moralnych i politycznych jest typowe dla ideologii totalitarnych. Ale takie zespolenie występuje również w *zasadniczo* (podkr. M.C.) antytotalitarnym i antydoktrynalnym programie „Solidarności”. Dyrektor sekcji polskiej RWE nie rozumie — jak się wydaje — istoty totalitaryzmu, a zwłaszcza jego najwyższego stadium — komunizmu. Samo zespolenie wymienionych 3 rodzajów postulatów w jednym programie nie jest typowe tylko dla totalitaryzmu. Na przykład encykliki Jana Pawła II stanowią wielopłaszczyznowe programy godnego życia, nie tylko moralnego lecz także gospodarczego i politycznego (patrz: *Laborem Exercens*, str. 18, 25, 26-34, 40-51, wyd. niem.). Istotą systemu totalitarnego jest nie zespolenie różnych postulatów w jednym programie, lecz koncentracja różnego typu władzy (politycznej, ekonomicznej, duchowej) w jednym ręku. Doskonałą analizę tego zjawiska daje np. Leszek Nowak (patrz m.in.: M. Ciesielezyk, „Leszek Nowaks nicht-marxistischer Materialismus” w: *Osteuropa* nr 11/12, Stuttgart, listopad/grudzień 1984, str. 948-954).

Nie wiadomo, co Najder ma na myśli, pisząc, iż program „Solidarności” jest „zasadniczo antytotalitarny”, zwłaszcza, że sugeruje następnie, iż Polacy mieli już wcześniej zaufanie do ideologii totalitarnych: „Przeżycie zaś fałszywemu, a potem realnego socjalizmu *oduczyło* (podkr. M.C.) Polaków zaufania do ideologii totalitarnych”. Nasuwa się w tym miejscu pytanie, kiedy Polacy takowe w ogóle mieli?!

Także spostrzeżenie Najdera, iż Polacy „bronili ludzkiej godności... często wbrew wszelkiej nadziei, aby dać świadectwo. I teraz dzieje się tak samo” — nie wydaje się trafne. Element nadziei odgrywał i odgrywa zwłaszcza obecnie zasadniczą rolę w walce Polaków, tak jak i innych narodów. Negowanie tego faktu dowodzi nieznajomości ludzkiej istoty. Nadzieja, czy to natury ziemskiej, czy metafizycznej, czy też historycznej, zawsze była i jest znaczącym elementem postępowania jednostki, a przez nią zarówno narodu jak i społeczeństwa. Twierdzenie to można oczywiście odrzucić, jeśli analizę działań ludzkich prowadzi się z perspektywy zbiorowości, jak to czynił np. Marks. Wówczas jednak dokonujemy „kolektywizacji osoby”, by posłużyć się określeniem Martina Bubera (*Das dialogische Prinzip*, Heidelberg 1962, str. 263 i następne).

Najder zastrzega się co prawda na początku swego tekstu: „Mogę się

uważać za fachowca tylko w tej ostatniej dziedzinie (filozofii wartości — przyp. M.C.) i zdaje sobie sprawę ze swojego amatorstwa w innych (historii, socjologii kultury, historii gospodarczej, politologii)”, ta rozbrajająca szczerłość nie usprawiedliwia jednakże treści jego referatu.

Łączę wyrazy najgłębszego szacunku

Marek CIESIELCZYK

Brooklyn, New York, 1 lutego 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

W prasie emigracyjnej i międzynarodowej spotyka się wzmianki o fakcie, o którym wspomina też nawiasem w ostatnim fragmencie „Miesiący” (*Kultura*, styczeń-luty 1986) Kazimierz Brandys pisząc: „z *Polityki* ta uczciwa część przeszła do pisma związku niewidomych, w czym kryje się pewnie jakaś alegoria”.

Nikt jednak nie wspomina o człowieku, który przypłacił to życiem. Był nim Jerzy Szczygiel, niewidomy pisarz i dziennikarz, który dziennikarstwo z *Polityki* w swoim piśmie (Związku Spółdzielni Niewidomych) zatrudnił. Gdyby nie Jerzy Szczygiel, żaden z tych dziennikarzy nigdy by tam nie trafił. Niestety szkany ze strony władz spowodowały wylew krwi do mózgu i śmierć w 52-ym roku życia.

Niezłomność, odwaga, szeroki gest Jerzego Szczygła nie wynikały z faktu, że był niewidomym, ale z Jego niezwykłego charakteru, wyobraźni, wrażliwości. Miałam możliwość i zaszczyt przez kilka lat blisko z Nim współpracować, m.in. przy zakładaniu „Niewidomego Spółdzielcy” i za bolesny uważam fakt, że przy wielu relacjach tego fenomenu jakoś zawsze pominięte jest nazwisko głównego bohatera.

Z poważaniem

Anna FRAJLICH-ZAJĄC

Stuttgart, 19 grudnia 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Trudno jest czasem wspierać demokratów w Polsce w ich walce o prawa człowieka. Od grudnia 1981 próbuję mobilizować sympatię dla „Solidarności” w Bundesrepublik. Willy Brandt — co oburzyło wielu Niemców — odmówił spotkania z Lechem Wałęsą, aby się nie narazić swoim gospodarzom — partii PZPR. Był to afront dla całej „Solidarności”. Gdy protestowaliśmy przeciwko tej zdradzie ideałów socjaldemokracji — b. doradcy „Solidarności” zaskoczyli nas brakiem solidarności ze swoim przewodniczącym. Smutne! Ci panowie (kto ich do tego namówił?) nie powinni się byli spotykać z Brandtem, Ehmkem, Bahrem. Czy prymas Glomp też musiał się spotykać z politykiem, który zapał się Wałęsą i stoczniovców? Byli doradcy Wałęsy niepotrzebnie dostarczyli alibi Brandtowi i osłabili znaczenie naszych protestów w RFN. Nie wszystkie oświadczenia i wywiady b. doradców Wałęsy świadczą o ich talentach politycznych. Odnosi się wrażenie, że przebywając na (względnej) wolności przedzej się męczą psychicznie niż działacze „Solidarności”, którzy przebywają w więzieniu lub pozostają swym ideałom wierni w podziemiu.

Z poważaniem

Herbert FREIBERG

Londyn, 22 stycznia 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule Jana Karskiego omawiającego film *Shoah* (Kultura, listopad 1985) znalazło się zdanie: „Przedmiotem filmu są męczarnie i wreszcie zagłada bezbronnych Żydów, w tym ponad trzech milionów obywateli polskich wyznania mojżeszowego lub żydowskiego pochodzenia”.

Jeszcze raz został popełniony błąd dotyczący prawdziwych strat polskich Żydów. Cytuję zdania z mojej dokumentarnej książki *Polska w Drugiej Wojnie Światowej* (właśnie ukazało się wydanie amerykańskie). Moją ocenę oparłem na głośnej książce Geralda Reitlingera, *The Final Solution*, którego o tendencyjność posądzić nie można.

Nieznała jest dokładna liczba Żydów, którzy przeżyli wojnę na terenie okupowanej przez Niemców Polski. Waha się ona od 60 do 100 tysięcy... Ogółem oblicza się, że w Rosji schroniło się 700 tysięcy, że tylko nieliczni z nich wpadli w niemieckie ręce... Pewna ilość Żydów, obliczana na 110 tysięcy, znalazła się w czasie wojny i po wojnie w różnych krajach Europy jak: Szwecja, Włochy i Rumunia. Biorąc te wszystkie liczby pod uwagę i pamiętając, że w Polsce mieszkało przed wojną 3.113.000 Żydów, przyjąć trzeba, że przeżyło wojnę niecałe 900 tysięcy”.

Z wyrazami szacunku i pamięci

Józef GARLIŃSKI

Wausau, WI, 13 stycznia 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o zamieszczenie mego wyjaśnienia odnośnie artykułu p. Renaty Gorczyńskiej pt. „Periodyki polskojęzyczne w USA” (*Kultura*, grudzień 1985).

W artykule tym p. Gorczyńska pisze m.in.: „Chociaż nominalnie jego redaktorem naczelnym jest Alfons Hering, to *de facto* redaguje *Gwiazdę Polarą* Edward Dusza, autor kilku tomików poetyckich. Dusza zapowiadał znaczne zmiany w profilu tygodnika...”

Wyjaśniam, że z trzydziestu trzech lat służby w redakcji *Gwiazdy Polarnej*, ostatnich dziewięć byłem jej redaktorem naczelnym w pełni czynnym do chwili przejścia na emeryturę (14 września 1985). Informacja o redagowaniu *Gwiazdy Polarnej de facto* przez p. Duszę jest wyssana z palca; przypuszczam że z palca rzekomo ją redagującego. Poza tym p. Dusza, jako jeden z współpracowników redakcji, nie był upoważniony do zapowiadania jakiegokolwiek zmian w profilu tygodnika. Przeczy temu również oświadczenie mego następcy, Leszka Zielińskiego, który w swym wstępnym artykule opowiedział się za utrzymaniem dotychczasowej linii pisma.

Z głębokim szacunkiem

Alfons HERING

Szczerna Redakcjo!

Ze szczerym zdumieniem, by nie powiedzieć wstydem, przeczytałam w korespondencji z Londynu Józefa Garlińskiego fragment dotyczący „Shoah”. Cytuję: „... w filmie powiedziano, że ruch podziemny stworzyli Niemcy po to tylko, by łatwiej przeżyć, a jedynym rezultatem była większa ilość Żydów wysyłanych do komór gazowych. Tylko Żydzi cierpieli w

obozie, reszta to 'pasażerowie', którzy mieli wielkie szanse przeżyć, oczywiście kosztem innych”. — Otóż — p. Garliński zechce wybaczyć — jest to kłamstwo. NIC TAKIEGO NIE ZOSTAŁO W FILMIE POWIEDZIANE — może się o tym przekonać każdy, kto go obejrzy.

Nie wiem, jak przebiegało wspomniane przez p. Garlińskiego sympozjum londyńskie, które ten ostatni nazywa „platformą wrzasku i ignorancji” (jak rozumiem, Lanzmanna). Obawiam się jednak, że relacja p. Garlińskiego jest tu równie ściśła co w przypadku filmu.

W tym kontekście pozwolę sobie wyrazić słowa wdzięczności dla p. Jana Karskiego, którego takt, rozum i szlachetność tak jaskrawo odbijają od zawstydzających doprawdy wypowiedzi na temat tego filmu zarówno prasy polskiej jak emigracyjnej. Pan Karski — w przeciwieństwie do p. Garlińskiego i *consortes* — nie zapomniał, że nad grobem sześciu milionów Żydów przystoi powaga i szacunek dla prawdy.

Pozwolę sobie jeszcze — w nadziei, że Redakcja znajdzie miejsce na tak długi list — na kilka słów co do meritum. Należę do tych Polaków, którzy ratowali Żydów. Nie uważam tego za bohaterstwo. Chodziło o rodzinę mego męża, który był Żydem (i którego uratować mi się nie udało). Otóż muszę gwoli prawdy powiedzieć — a potwierdzą to wszyscy, którzy zajmowali się ukrywaniem Żydów — że niemniej niż Niemców baliśmy się Polaków — sąsiadów, dozorców, sklepikarzy — których wprawne oko łatwiej wychwytywało rozmaite odstępstwa od normy: a to nasze zdenerwowanie, a to dodatkowy talerz na stole przyłapany przez niespodziewanie zaglądnącą sąsiadkę, a to jakieś dziecinne ubranko suszące się na sznurze u bezdzietnego małżeństwa... Ja sama znalazłam się w Oświęcimiu przez takie dziecinne spodenki, które akurat prałam, kiedy zaszła sąsiadka. Jej wzrok mnie zaalarmował i udało mi się w ostatniej chwili ukryć dziecko, ale sama poszłam za druty. Tu przechodzę do zdania, które p. Garliński imputuje filmowi Lanzmanna, że mianowicie „wszyscy inni mieli wielkie szanse przeżyć” (pomijam skandaliczny i kłamliwy kontekst, jaki mu przydaje). Otóż tak jest, my nie-Żydzi mieliśmy szanse przeżyć. Mogliśmy naturalnie i zginąć, ale SZANSE mieliśmy. Roczne aryjskie niemowlę mogło zginąć przy stu rozmaitych okazjach — okrucieństwa Niemców nie trzeba przypominać — ale nie było z definicji skazane na zagładę, jak roczny synek mojej szwagierki, który oczywiście z punktu poszedł do gazu, jak wszyscy Żydzi, których Niemcy dostali w swoje łapy. Żydzi nie mieli żadnej szansy, byli skazani wszyscy. Ja przeżyłam Oświęcim, bo tak się złożyło (młoda, zdrowa i z szansą, tzn. nie posłana wprost z rampy do komina), a mój najświętszej pamięci mąż nie przeżył, a NIC SIĘ NIJAK ZŁOŻYĆ NIE MOGŁO. Kto tego nie rozumie, a ściślej kto chce tę zasadniczą różnicę szans zamazać, ten kłamie. A pamięci pomordowanych, pamięci mojego męża, mojej szwagierki, jej synka winna jestem prawdę.

Proszę wybaczyć, że podpisuję ten list pseudonimem. Mieszkam stale w Polsce i z uwagi na rozmaite aktualne sprawy nie chciałabym prawdziwym podpisem spowodować wizyty bezpieki.

Stanisława KOZYR

Londyn, 19 stycznia 1986.

Szanowny Panie Redaktorze!

W sprawozdaniu z Kongresu Kultury Polskiej na Obczyźnie p. Regina Wasiak podała ostrej krytyce włączenie do jego programu mojego referatu, pisząc: „... podczas obrad poruszano sprawy ważne... oraz zagadnienia, które znalazły się na kongresie jakimś niewiarygodnym cudem, np. „Tury i żubry w Puszczy Białowieskiej”. (Podkreślenie moje). Podejrzewam, że autorka reportażu nie zapoznała się z treścią referatu, bo nawet jego tytuł

podała wadliwie, opierając się prawdopodobnie na omyłkowo wydrukowanych zapowiedziach przed rozpoczęciem Kongresu. Właściwy tytuł, określający poruszane zagadnienia, brzmiat: „O turach, żubrach i Puszczy Białowieskiej”. Gdyby, przed zdyskwalifikowaniem referatu, recenzentka zapoznała się z jego treścią, może by zmieniła o nim zdanie.

Referat mój podkreślał wkład dorobku polskich uczonych i hodowców do ogólnoludzkiej skarbnicy. Minęły już czasy, kiedy cywilizację i otaczający nas świat przyrody uważano za pojęcia przeciwstawne. Obecnie stało się aksjomatem, że zagrożenie ekologiczne grozi śmiertelnym niebezpieczeństwem ludzkości. Być cywilizowanym, znaczy umieć współżyć, również z przyrodą.

Tur był pierwszym wielkim ssakiem, wymarłym już w czasach historycznych. Jego dzieje służą jako ostrzeżenie. Żubr, uratowany od wyginięcia, w ogromnej mierze dzięki inicjatywie i wysiłkom polskich przyrodników, stał się symbolem nowoczesnej pojętej ochrony przyrody. Puszcza Białowieska, jedyna pozostałość dawnego pra-boru, uważana jest powszechnie za bezcenne żywe laboratorium dla całego naszego kontynentu.

Na tle tragicznego zanieczyszczenia ekologicznego naszego kraju, osiągnięcia naszych uczonych i hodowców, mające ogólnoludzkie znaczenie, powinny być mocno podkreślone. Taki był cel mojego referatu.

Łączę wyrazy szacunku,

Wacław A. LASOCKI

Berlin, 20 stycznia 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wysoko cenię wkład Pańskiego wydawnictwa dla lepszego zrozumienia przez Polaków nie tylko spraw Litwy, Białorusi i Ukrainy, ale też Warmii i Mazur. Mieszkając już przeszło 20 lat w RFN, czytałem z zadowoleniem w numerze 460/461 *Kultury* „List z RFN” p. Turczyńskiego. Jedno zdanie w tym artykule wymaga jednak sprostowania — mianowicie autor zastanawia się „nad faktem, że dzieci uczestników antyniemieckich powstań śląskich zabiegają teraz często o niemieckie obywatelstwo”, i tłumaczy to lakonicznie „przywilejami ludności granicznej”. Czyżby doświadczenia z administracją PRL dla p. Turczyńskiego się nie liczyły?

Jako Warmiak chciałbym przypomnieć p. Turczyńskiemu losy tych moich rodaków (tzn. mniej lub bardziej znanych w imieniu wielu innych), którzy nie skorzystali z tego „przywileju” i kilku innych, co skorzystali. Ci pierwsi to: p. Pieniężna — poseł do sejmu PRL, p. G. Skok — czołowy działacz ZMP, p. Kruk — pisarz warmiński. Gorzkie perypetie tych ludzi są dobrze znane, z tym że p. Kruk do dnia dzisiejszego trzyma się z honorem (patrz *Kultura* z roku 1983). Ci drudzy to: synowie poety Kajki oraz Adolf Gwostek i Otto Myszkowski. Mój komentarz ograniczę do tych dwóch ostatnich: w szkole partyjnej w Szczytnie stoi od roku 1956 pomnik z popiersiem Dzierżyńskiego. Wykonali go „autochtoni” Gwostek i Myszkowski pod namową i na prośbę „napływowych” — to byli serdeczni koledzy, między innymi uczniowie Dunikowskiego, których jeszcze dzisiaj mile wspominają.

Z poważaniem

Lothar MISCHKOWSKI

Paryż, 16 stycznia 1986.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Właśnie zapoznałem się ze znakomitym numerem styczniowo-lutowym *Kultury* i w związku z tym pragnę prosić o zamieszczenie następującego sprostowania, a raczej uzupełnienia artykułu p. Piekarskiego.

Jedynym Polakiem przybyłym z Warszawy (na moje zaproszenie) na Kongres studiów sowieckich i wschodnioeuropejskich był red. Edmund Jan Osmańczyk (poseł do października 1985). Wziął on udział w obradach sekcji, której przewodniczyłem: *Mass Communication and Propaganda between East and West* (nr 224). W obradach tej sekcji wzięli ponadto udział: Georges Mink (Paryż), Paul Roth (RFN), Robert Cutler (USA) i Alexandra Kwiatkowska-Viatteau (Rzym). W Kongresie uczestniczyłem w imieniu Université de Paris I (ekipa prof. Duverger). Myślę, że warto też zaznaczyć, iż w Kongresie wzięli udział następujący członkowie Towarzystwa Historyczno-Literackiego: Beauvois, Dunajewski, Mink, Kwiatkowska-Viatteau oraz Eugeniusz Zaleski, który przewodniczył panelowi ekonomicznemu.

Łączę pozdrowienia dla Pana osobiście i dla całego Zespołu

Jerzy MOND

Burnaby, Kanada, 26 stycznia 1986.

Szanowny Panie Redaktorze!

W ubiegłorocznym, listopadowym numerze *Kultury* znalazłem długi list pana Zygmunta Przetakiewicza z Toronto, w którym atakuje on ostro kierownika Biura Informacyjnego Solidarności — Wojciecha Gilewskiego (nie wymieniając go z nazwiska). Otóż list p. Z. Przetakiewicza jest jednym z kolejnych ataków na W. Gilewskiego. Wychodzą one z organizacji Polish Canadian Action Group „Solidarność-Niepodległość”. Jej działacze zasłynęli m.in. wykorzystywaniem symboli Solidarności do wewnętrznych, kanadyjskich walk politycznych, stając po stronie partii konserwatywnej.

W swoim liście p. Przetakiewicz sugeruje m.in., że NDP, partia będąca w opozycji, jest agenduralną organizacją z Moskwy razem zresztą ze związkami zawodowymi.

Nie wspominał jednak w swoim liście p. Przetakiewicz, że właśnie kanadyjskie związki zawodowe zawiesiły kontakty z Sowietami jeszcze za życia Breżniewa, w 1978 roku. W specjalnym dokumencie na sześciu stronach wymieniono 38 powodów, m.in. łamanie praw człowieka.

W kanadyjskim parlamencie poseł NDP Mr. Rae przypominał o rocznicy stanu wojennego, więzieniu działaczy Solidarności, pokojowej nagrodzie Nobla przyznanej Wałęsie. Jakoś nie miałem szczęścia, by trafić na podobne wystąpienia posłów konserwatywnych, których adoruje p. Przetakiewicz. Pan Z. Przetakiewicz był również poprzednikiem W. Gilewskiego w Toronto, ale został z posady usunięty. Sądzę więc, że nie powinien on być wypisywać skarg na swego następcę i mącić w i tak wystarczająco skłóconej Polsce kanadyjskiej.

Łączę wyrazy należnego szacunku

Tomasz PIOTROWSKI

Glen Spey, N.Y., 28 stycznia 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

Do informacji o nieudanej próbie ucieczki marynarza Myrosława Medweda z sowieckiego statku „Marszałek Koniew” (Kronika Amerykańska, *Kultura*, grudzień 1985) chcę dodać, że społeczeństwo ukraińskie Ameryki i Kanady odczuwa bardzo boleśnie tragiczny los swego rodaka. Okazało się, że amerykańscy urzędnicy imigracyjni „nie mogli pojąć” dlaczego wspomniany marynarz aż dwa razy skakał do wody w kierunku łądu amerykańskiego ani nawet „nie mogli zrozumieć” tego, co usłyszeli w telefonicznej rozmowie z oficjalną ukraińsko-angielską tłumaczką Ireną Padoch.

Oddanie Medweda w ręce sowieckie odbiło się głośnym echem w prasie i opinii amerykańskiej. Odezwały się liczne głosy krytyczne w odniesieniu do władz amerykańskich.

Kongresman Fred Eckert napisał w *Wall Street Journal* (21 listopada 1985): „gdzieś tam na morzach 'Marszałek Koniew' wiezie ukraińskiego marynarza Myrosława Medweda do piekła, które oczekuje go tam w Związku Sowieckim. Statek wiezie także sporo amerykańskiego zboża. Oraz część reputacji, godności i honoru Ameryki”.

Z głębokim poważaniem

Wasył WYTWYČKYJ

Monachium, 16 grudnia 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

W „Kronice niemieckiej” grudniowego wydania *Kultury* została zamieszczona informacja o sesji poświęconej polskim rewolucjom 1944-1985, zorganizowanej przez monachijski oddział Związku Zawodowego DGB. Jako jeden z prelegentów na tej sesji pragnę sprostować dane dotyczące mojej osoby:

Nie byłem — tak jak to zamieszczono — członkiem Komitetu Strajkowego Stoczni Gdańskiej, natomiast — jako stoczniowiec z dziesięcioletnim stażem pracy — brałem czynny udział w osiemnastodniowym strajku. Po „Sierpniu” pełniłem funkcję przewodniczącego Komitetu Więzionych i Represjonowanych za Przekonania, działającego przy Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” Stoczni Gdańskiej. Internowany od 13 grudnia 1981 do 24 lipca 1982, trzy dni później opuszczałem Polskę udając się do RFN.

Będąc jednym z laureatów konkursu zorganizowanego przez *Kulturę* i Rozgłoszenie Polską RWE (Pamiętnik z okresu ostatnich siedmiu lat w PRL) — „wyrośłem” na Zachodzie na jednego z przywódców strajku w sierpniu 1980 w Stoczni Gdańskiej. Nie jest to prawdą. Prawdziwi przywódcy pozostali w Kraju! — a my tutaj — jeżeli chcemy — możemy w stosunku do nich spełniać tylko rolę służebną.

W związku z nie pierwszym już przypadkiem dopisywania do mojego nazwiska nie pełnionych przez mnie funkcji uprzejmie proszę o zamieszczenie powyższego sprostowania.

Z głębokim poważaniem

Bogdan ŻUREK

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

J.J., Szczecin. — Opowiadania „Siew Drogi Mlecznej” nie zamieścimy — bardzo słabe.

B.Sz., Lublin. — Pantomimy i sztuki teatralnej nie zamieścimy, gdyż ten dział w *Kulturze* nie istnieje.

J. Karczewski, Boston, MA (USA). — Protestuje przeciwko zamieszczeniu fraszki Tuwima w artykule Adama Wrzeszcza (*Kultura* nr 6/453), uważając Tuwima za żydowskiego poetę, piszącego po polsku. P. Karczewski wyraża przypuszczenie, że redakcja *Kultury* jest obowiązana do tuszowania świństw Tuwima w ramach masońskiego braterstwa.

Karol Skórski, Saint-Etienne (Francja). — Protestuje przeciwko zbyt naukowym sformułowaniom apelów „Solidarności” do społeczeństwa, a ponadto apeluje do Prezydenta R.P., Edwarda Raczyńskiego i Premiera — Kazimierza Sabbata o ukrócenie szerszącego się kultu Lecha Wałęsy.

W. Kazańczuk, Toronto, Ont. (Kanada). — Nie zamieścimy, gdyż drukujemy już list do Redakcji na ten sam temat.

A. Kowalski, K. Nowak i M. Zielińska (Australia). — Rozsyłają w imieniu „polskich czytelników w Australii i Nowej Zelandii” teksty wyliczające w sposób zarówno przesadny jak i niecisły zbrodnie „ukraińskich bandytów” popełniane w stosunku do ludności polskiej w czasie ostatniej wojny. Tego rodzaju akcja jest szkodliwa i zasługuje na surowe potępienie. Odzyskanie niepodległości przez Polskę w wielkim stopniu zależy od wspólnego wysiłku i normalizacji stosunków wszystkich narodów Europy Wschodniej, znajdujących się pod okupacją sowiecką. Ponury okres stosunków polsko-ukraińskich wymaga rzeczowego i obiektywnego naświetlenia bez pomijania naszych przewinień, tym większych, że państwo polskie było odpowiedzialne za politykę wobec mniejszości narodowych w okresie międzywojennym. Działalność p. Kowalskiego i towarzyszy służy wyłącznie interesom Związku Sowieckiego.

W niezamieszczonym „liście do Redakcji” p. Joachim Kupfer chwali formalnie niemiecki numer *Kultury*, lecz równocześnie zarzuca jej „polrealizm”. Tajemnicze to słowo oznacza prawdopodobnie uznanie Odry i Nysy za definitywną granicę polsko-niemiecką, pod czym podpisuje się *Kultura*, a czemu przeciwstawia się kategorycznie autor listu. Występuje przy tym własnowolnie jako reprezentant narodu niemieckiego, a co dziwniejsze... i polskiego, do czego nie uprawnia go w najmniejszym stopniu ani stan świadomości politycznej w obu krajach, ani w ogóle sytuacja na świecie. Jeśli idzie o Niemców, to z oficjalnych oświadczeń najmiarodajniejszych osobistości, a przede wszystkim z badań opinii publicznej wynika jasno, że definitywny charakter tej granicy uznaje przeważająca większość niemieckiego społeczeństwa, a tzw. argument prawny, akcentowany co prawda przez niektórych polityków, zdobywa posłuch jedynie w krańcowych, niewielkich grupach. Jeśli zaś z kolei p. Kupfer dowodzi, iż robotnik polski wolałby żyć w wolnym Niemczech Stettin czy Breslau, niż przymierać głodem w polskim Szczecinie czy Wrocławiu — to zdaje się zapominać o wrośnięciu w te tereny (niezależnie od ustroju) kilku już pokoleń Polaków. Ponadto pomija fakt, że nie ma dziś takiego państwa na świecie, które zgodziłoby się na jakiegokolwiek przesuwanie granic w traktacie pokojowym z Niemcami. Stąd

logiczny wniosek, że Szczecin czy Wrocław mógłby stać się ponownie niemieckim wyłącznie w rezultacie niemieckiej agresji, tj. wojny. Byłoby więc lepiej, gdyby autor listu zamiast atakować *Kulturę* za „polrealizm”, nauczył się sam rozumować w kategoriach realizmu.

Wskazana byłaby również ostrożność w szermowaniu nazwiskami oraz epitetami. Wypada bowiem wątpić, czy np. prof. Gotthold Rhode byłby zachwycony faktem figurowania w rejestrze autorytetów, cytowanych przez p. Kupferę, co zresztą dotyczy i innych wymienionych przezeń osób. Z drugiej strony Bölla i Grassa, Brandta i Genschera zalicza p. Kupfer do szumowin. Widocznie dzieli i sądzi ludzi według ich stosunku do granicy na Odrze i Nysie. Skoro tak, to uwaga!: Czy Weizsäcker, Kohl, Biedenkopf — to także szumowiny?

## KONTAKT

Pismo członków i współpracowników Solidarności. Miesięcznik społeczno-polityczny wydawany w Paryżu od kwietnia 1982 roku.

Pismo udostępnia czytelnikowi możliwie pełny obraz sytuacji w kraju, przedstawia miejsce Polski na tle wydarzeń międzynarodowych, informuje o przebiegu walki z totalitaryzmem w całym bloku wschodnim.

Pismo zawiera ponadto działy:

Analizy i propozycje; Relacje i reportaże; dział „Z obozu”, ukazujący sytuację na obszarze imperium sowieckiego; Kościół i polityka; Kultura; Emigracja; Ze świata i inne.

Do nabycia w Redakcji i w polskich księgarniach na Zachodzie.

Cena: F.28,00 lub \$ US 5,00.

Prenumerata roczna — F. 300,00; półroczna — F. 155,00.

Adres Redakcji:

**152, rue Saint-Maur, 75011 Paris**

Cena przesyłki lotniczej — F. 55,00 (pół roku) lub równowartość w innej walucie; F. 110,00 (rocznie).

## Dokumenty

### INFORMACJE BIURA REKTORA POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ

#### SPRAWY OSOBOWE

Senat PW na posiedzeniu w dniu 12 czerwca br. pozytywnie zaopiniował wnioski rad wydziałów o nadanie tytułu profesora nadzwyczajnego doc. drowi hab. Zdobysławowi Flisowskiemu (Wydział Elektryczny), doc. drowi hab. Bogdanowi Galwasowi (Wydział Elektroniki) i doc. drowi hab. Janowi Misiakowi (Wydział Mechaniczno-Technologiczny) oraz wniosek o mianowanie na stanowisko profesora w PW doc. dra hab. Zdobysława Flisowskiego a także wniosek o mianowanie na stanowisko docenta dra hab. Stefana Wrone (Wydział Architektury).

Centralna Komisja Kwalifikacyjna d/s. Kadr Naukowych zatwierdziła uchwałę Rady Wydziału Elektroniki o nadaniu stopnia naukowego doktora habilitowanego drowi Mieczysławowi Muraskiewiczowi (Instytut Informacji Naukowej, Technicznej i Ekonomicznej).

Rady wydziałów PW nadały stopnie naukowe doktora habilitowanego drowi Jerzemu Rogowskiemu (Wydział Geodezji i Kartografii) i drowi Edwardowi Kandlarskiemu (Wydział Mechaniczny i Technologiczny).

#### NOWELIZACJA USTAWY

W dniu 7 czerwca br. odbyło się spotkanie wicepremiera Mieczysława Rakowskiego z rektorami państwowych szkół wyższych. Miało ono charakter informacyjny. Rektorem przekazano treść rządowego projektu nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym. Udostępniony został na piśmie tekst tego projektu. Różni się on od przedstawionego ustnie na majowym spotkaniu rektorów uczelni technicznych z wicemin. prof. Czesławem Królikowskim. Projekt przesłany został do Sejmu, gdzie stanie się przedmiotem rozważań odpowiedniej komisji.

Informację powyższą wraz z treścią projektu przekazał JM Rektor na posiedzeniu Senatu PW w dniu 12 czerwca br. Rektor poinformował rów-

niez, że komisja sejmowa analizować będzie projekt łącznie z przygotowawanymi opiniami Rady Głównej, Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej i naczelnych organów organizacji młodzieżowych działających w szkołach wyższych. Przewidywane jest też zaproszenie na posiedzenie komisji sejmowej niektórych rektorów jako ekspertów.

Podana informacja wywołała ożywioną dyskusję, w której szczególne miejsce zajęło przedstawione przez prof. Macieja Grabskiego stanowisko komisji senackiej wybranej na majowym posiedzeniu Senatu PW wobec rządowego projektu nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym.

Przypominamy, że zadaniem tej komisji senackiej jest przygotowanie projektu stanowiska Senatu PW wobec projektowanych zmian ustawowych. Prof. Grabski zapowiedział przygotowanie tego projektu na posiedzenie Senatu w dniu 26 czerwca br., na razie dzieląc się z Senatem przemyśleniami komisji na ten temat.

Stanowisko komisji przesłane zostało dziekanom celem zapoznania z nim rad wydziałów. Można je również otrzymać w Biurze Rektora.

#### UCHWAŁA NR 37

Senat PW na posiedzeniu w dniu 12 czerwca br. podjął następującą uchwałę:

„Senat Politechniki Warszawskiej z zaniepokojeniem i ubolewaniem przyjął wiadomość o aresztowaniu członka naszego gremium mgr inż. Zofii Floriańczyk.

Mgr Zofia Floriańczyk, pracownik Instytutu Fizyki PW, cieszy się bardzo dobrą opinią i dużym autorytetem wśród kolegów i przełożonych. Wyrazem tego jest jej powtórny wybór do Senatu uczelni, a także do Senackiej Komisji Pracy, Płac i Polityki Socjalnej.

Senat Politechniki Warszawskiej zobowiązuje JM Rektora do stałego uzyskiwania pełnej informacji o aktualnej sytuacji mgr Zofii Floriańczyk oraz do przekazywania tej informacji środowisku. Ponadto Senat czuje się zobowiązany do roztoczenia opieki nad aresztowaną.

Jednocześnie Senat wyraża poparcie staraniom podjętym w celu uzyskania zwolnienia z aresztu tymczasowego za poręczeniem. Uważamy, że osoba ciesząca się takim zaufaniem w środowisku może odierać zarzuty odpowiadając z wolnej stopy”.

#### REGULAMIN EGZAMINÓW WSTĘPNYCH

Senat PW na posiedzeniu w dniu 12 czerwca br. uchwalił regulamin przeprowadzania egzaminów wstępnych. Obok postanowień ogólnych określających egzamin jako w pełni anonimowy i realizowany z wykorzystaniem systemu informatycznego oraz formułujących główne zadania Uczelnianej Komisji Rekrutacyjnej i komisji wydziałowych, regulamin zawiera szczegółowo określone zadania tych komisji oraz zadania Sekretariatu Uczelnianej Komisji Rekrutacyjnej.

#### STANOWISKO SENATU PW WOBEC WPROWADZANYCH ZMIAN USTAWODAWCZYCH DOTYCZĄCYCH SZKOLNICTWA WYŻSZEGO

Na posiedzeniu w dniu 26 czerwca 1985 roku Senat PW określił swe stanowisko wobec wprowadzanych zmian ustawodawczych dotyczących szkolnictwa wyższego w sposób następujący:

„Senat Politechniki Warszawskiej kierując się głęboką troską o polskie

szkolnictwo wyższe, w poczuciu odpowiedzialności za kształcenie i wychowanie pokoleń decydujących o przyszłości nie tylko nauki i techniki, ale również naszego narodu i państwa, uważa za swą powinność przedstawienie niniejszego stanowiska.

W uchwale z dnia 27 lutego br. Senat wypowiedział się w sprawie zamierzonej zmiany ustawy o szkolnictwie wyższym podnosząc zagadnienia nadrzędne: rolę społeczną szkół wyższych oraz niezbędne warunki dla ich prawidłowego działania. Senat podzielił głęboki niepokój i troskę, jakie w środowisku akademickim wzbudziła podjęta przez władze próba zahamowania procesu samorządowej odnowy szkół i wprowadzenia administracyjnego systemu zarządzania.

Wbrew niemal jednomyślnej opinii szkół wyższych oraz stanowisku Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego władze podjęły ostatnio decyzję o skierowaniu do Sejmu PRL projektu ustawy o zmianie ustawy o szkolnictwie wyższym, który niemal całkowicie likwiduje samorządność uczelni i niezależność jej życia. Drastyczność zmian pogłębiają regulacje zawarte w projektach ustaw: o urzędzie Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz o zmianie ustawy o stopniach naukowych i tytułach naukowych. Szczególnie zdecydowany sprzeciw budzi podporządkowanie kryteriom politycznym wszystkich decyzji kadrowych wraz z bezprecedensowym w naszym ustawodawstwie uzależnieniem decyzji o otwieraniu przewodów doktorskich i habilitacyjnych od arbitralnych ocen prawomysłności.

Zlekceważenie głosu środowisk akademickich oraz represyjny charakter wprowadzanych zmian przyniosą dotkliwe szkody szkolnictwu wyższemu, nauce i kulturze narodowej. Uważamy, że działania te są kolejnym etapem procesu podporządkowywania ustawodawstwa doraźnym interesom władzy i następną próbą ubezwłasnowolnienia społeczeństwa.

Spółeczności naszej zapewne niełatwo będzie oprzeć się uczuciom rozgryczenia i zniechęcenia. Nie mogą one jednak, nawet chwilowo, przesłonić nam celu głównego, jakim jest kształcenie i formowanie pokoleń młodzieży, które kiedyś będą decydowały o losach naszego kraju. Zmiany ustawowe zwiastują nadejście okresu, w którym realizacja tego celu stanie się utrudniona i może wymagać poświęceń. Nie zwalnia to jednak nikogo z nas z obowiązku ofiarnego wypełniania powinności wynikających z godności nauczyciela akademickiego i dobrego imienia Politechniki Warszawskiej oraz jej patriotycznych, obywatelskich i naukowych tradycji, zgodnie z tekstem ślubowania zawartym w uchwalonym niedawno przez Senat statucie. Wszyscy musimy sumiennie i z największą dbałością powinności te wykonywać, mając stale w pamięci słowa Jana Zamoyskiego wyryte w Wielkiej Auli:

„Zawsze takie Rzeczypospolite będą, jakie ich młodzieży chowanie”.

Senat zwraca się z apelem do całego środowiska uczelni, by zachowując mądrość i rozwagę uchroniło nasz wspólny dorobek ostatnich lat.

Senat wyraża nadzieję, że Politechnika Warszawska solidarnie obroni wszystkie te nadrzędne wartości, które są niezbędne do właściwego wypełniania jej społecznej roli”.

#### JM REKTOR NA POSIEDZENIU KOMISJI SEJMOWYCH

JM Rektor PW zaproszony został na wspólne posiedzenie dwóch komisji sejmowych: Oświaty, Wychowania, Nauki i Postępu Technicznego oraz Ustawodawstwa, które odbyło się w dniu 21 bm. i poświęcone było dyskusji nad rządowymi projektami zmian ustawodawczych dotyczących szkolnictwa nad rządowymi projektami zmian ustawodawczych dotyczących szkolnictwa nad rządowymi projektami zmian ustawodawczych dotyczących szkolnictwa. Na posiedzenie to zaproszeni byli także: prof. Ciesielski — przewodniczący Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, prof. Gierowski — rektor UJ, prof. Bosiakowski — rektor SGPiS oraz dr Drożdżiel — I sekretarz KZ PZPR w PW.

Wypowiedź JM Rektora na posiedzeniu komisji sejmowych dotyczyła:

- organów kolegialnych uczelni,
- spraw studentów,
- sytuacji w dydaktyce,
- kompetencji ministra,
- stopni i tytułów naukowych.

Operując konkretnymi przykładami Rektor PW wskazał na fundamentalne znaczenie wychowawcze pełnoprawnego udziału studentów i młodszych nauczycieli akademickich w radach wydziału i senatach, gdy tymczasem „sformułowania projektu ustawy są nierealizowalne i zmiana ich jest konieczna”.

Za niewłaściwe uznał Jego Magnificencja dawanie rektorom prawa wymierzania kary studentom, zwłaszcza tak dotkliwej jak wydalenie ze szkoły oraz zbyt lakoniczne potraktowanie problemów samorządu studenckiego poprzez odesłanie wszystkich zasad i szczegółów do zarządzenia ministra.

Reagując na wcześniejsze wypowiedzi posłów Rektor scharakteryzował sytuację w dydaktyce. Potwierdził niepokojące objawy związane z brakiem motywacji do dobrego studiowania, a przede wszystkim — kończenia studiów, ale ani przyczyn nie upatrywał w obowiązującym ustawodawstwie, ani środków zaradczych w zmianie ustawy.

Odnosząc się do projektu ustawy o urzędzie Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego Rektor określił niektóre przewidywane kompetencje decyzyjne jako niepotrzebne, albo nieprecyzyjne, albo kłopotliwe. Za takie uznał m.in. prawo mianowania profesorów i docentów... z inicjatywy własnej ministra.

W projekcie ustawy o stopniach i tytułach naukowych Rektor zakwestionował wymaganie od kandydatów do stopni naukowych zaświadczeń o „postawie przejawiającej się w czynnej i pełnej akceptacji konstytucyjnych zasad ustrojowych PRL”.

Propozycje zmian w projektach ustaw odniesione do odpowiednich artykułów, a wynikające z wypowiedzi przekazał JM Rektor przewodniczącemu Sejmowej Komisji Oświaty, Wychowania, Nauki i Postępu Technicznego.

13 i 26 czerwca 1985

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG  
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22  
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii — \$ US 20,00	....	F. 146,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, IL (USA), po raz 26-ty — \$ 52,00	.....	F. 375,00
Dr Anna Szetle, Winnipeg, Man. (Kanada)	.....	F.1.000,00
Tadeusz Walendowski, Bethesda, MD (USA), po raz 3-ci — \$ 60,00	.....	F. 432,00
Wacław Winnicki, Cincinnati, OH (USA), po raz 8-my — \$ 50,00	.....	F. 360,00
Krzysztof Zachariasiewicz, San Mateo, CA (USA) — \$ 10,00	.....	F. 72,00
Kazimierz Zamorski, Monachium (RFA), po raz 2-gi	.....	F. 150,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja), po raz 46-ty — dla uczczenia pamięci nieodżałowanego przyjaciela śp. Leona Epszteina	.....	F. 200,00
Zjednoczenie Polskie w Afryce Południowej, Johannesburg — sumy F.302,55 i F.845,00 — razem:	.....	F.1.147,55
Wł. i A. Żeleńscy, Paryż, po raz 14-ty — zamiast kwiatów na grób Leona Epszteina, zmarłego w Paryżu dn. 18.1.1986	.....	F. 200,00
Beziemiennie z Abidżanu (Wybrzeże Kości Słoniowej) — CFA 50.000	.....	F.1.000,00
Beziemiennie z Lugano (Szwajcaria), po raz 17-ty	.....	F. 160,00
Beziemiennie z Milwaukee (USA), po raz 21-szy — \$ 12,00	..	F. 86,00
Beziemiennie z Baden (Szwajcaria), po raz 10-ty — Frs. 100,00	.....	F. 362,00

DZIĘKUJEMY!

**WPŁATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”**

B.B. z N.Y.C. (USA) — \$ 30,00	.....	F. 216,00
Alicja Iwańska, Londyn w imieniu życzliwej Francuzki z Pau — \$ 20,00	.....	F. 144,00
Waldemar Kawalko, Vellmar (RFN) — na pomoc dla działaczy „Solidarności” za miesiące październik-grudzień 1985 i styczeń 1986 — po DM 10,00 miesięcznie — DM 40,00	....	F. 122,00
Marek, Bryan, TX (USA) — \$ 20,00	.....	F. 144,00
Na Sylwestra u rodziny P., Essen (RFN) przy noworocznym toaście pomyślawszy o losie rodzin uwieczonych działaczy „Solidarności” — zebrane DM 160,00	.....	F. 488,00
Grażyna i Krzysztof Pomianowie, Paryż	.....	F.1.500,00
„Pomost” — Grupa pomocy „Solidarności” w Cleveland, OH (USA):		
— na prasę podziemną „Solidarności” w Polsce — \$ 100,00	.....	F. 720,00
— na pomoc dla rodzin aresztowanych członków „Solidarności” — \$ 32,00	.....	F. 230,00
Przyjaciele „Solidarności” — Friends of Solidarity — w Kitchener, Ont. (Kanada) — na pomoc niezależnej działalności politycznej i związkowej w Polsce — \$ c. 500,00 (nadesłał sekretarz M. Paszczyński)	.....	F.2.525,00

Solidarność w Cleveland, OH (USA) — na „Solidarność” w Polsce (nadesłał ks. Józef Nowak) — \$ 135,00 .....	F. 972,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” (Friends of Solidarity), Winnipeg, Man. (Kanada) — sumę zebraną na mszy św. za Ojczyznę 16. 12. 1985 r. w kościele św. Andrzeja Boboli w Winnipegu (nadesłała Anna Howiecka) — \$ c. 283,00	F. 1.457,00
Szczupak .....	F. 230,00
Winyłowcy z Toronto — \$ c. 60,00 .....	F. 309,00
<i>Sprostowanie: W Kulturze ze stycznia/lutego bież. roku we Wpłatach na NSZZ „Solidarność” odnotowaliśmy anonimowy dar ze Szwajcarii w wysokości F. 717,36 — przez niedopatrzenie nie dodaliśmy, że ta wpłata była na „Solidarność Walcząca” — za co ofiarodawców przepraszamy. (Red.).</i>	

### WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Anonimowo ze Strasburga (Francja) .....	F. 160,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — DM 100,00 .....	F. 305,00
Dla uczczenia pamięci b. żołnierza A.K., twórcy ogrodów, architekta i humanisty, prof. dr. Gerarda Ciołka w 20-tą rocznicę Jego śmierci — przyjaciele w Kraju i za granicą — \$ 200,00 .....	F. 1.440,00
L.P., W.M., A.M., z Warszawy i Paryża — dla uczczenia pamięci Henryka Krzeczkowskiego, tłumacza, publicysty — zmarłego 28 grudnia 1985 r. w Warszawie .....	F. 200,00
J.N.W. Thiel, Ann Arbor, MI (USA) — zamiast kwiatów na gród śp. Barbary Zatorskiej, zmarłej 25 stycznia 1986 w Ann Arbor — \$ 30,00 .....	F. 216,00

### WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Dr Wiesław Demski, Bad Driburg (RFN) — na pomoc dla polskich więźniów .....	F. 270,22
E.M., Paryż — na rzecz „prześladowanych w PRL” .....	F. 200,00
Maria Halstead, Santa Barbara, CA (USA) — na odzież i leki dla osób pozbawionych wolności lub pracy oraz dla ich rodzin — \$ 326,00 .....	F. 2.347,00
Komitet Polskiej „Solidarności” w Södertälje (Szwecja) — sumę Krs 620,00 uzyskaną ze sprzedaży kartek świątecznych przez Polski Związek b. Więźniów Politycznych w Szwecji oraz sumę Krs 175,00 uzyskaną ze sprzedaży na rynku chleba upieczonego i podarowanego przez członków Komitetu — na fundusz pomocy uwięzionym i ich rodzinom w Polsce — ogółem: 795,00 .....	F. 795,00
Komitet Pomocy „Solidarności” w Wiedniu .....	F. 865,80

Komitet „Solidarności” Rodzin Polskich — Dudley, Webster, Worcester, Webster, MA (USA) — sumę zebraną podczas spotkania zorganizowanego w Dniu Emigranta — na pomoc dla rodzin więźniów politycznych w Polsce (nadesłał Sławomir G. Kowalski) — \$ 130,00 .....	F. 936,00
„Pomost”, New York, N.Y. — sumę uzyskaną ze sprzedaży „biuletów” stuzłotowych, wydawanych przez region Wielkopolska — na fundusz niezależnej prasy w Polsce: TZR Wielkopolska (nadesłał Dariusz Szczepańczyk) — \$ 450,00 .....	F. 3.240,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — dwa razy po Krs 300,00 = Krs 600,00 .....	F. 600,00
Kazimierz Styś, Ottawa — na pomoc więźniom politycznym i ich rodzinom w Polsce .....	F. 110,00
C. Waluk, Kitchener, Ont. (Kanada) — na pomoc dla najbardziej potrzebujących — \$ c. 20,00 .....	F. 103,00
W 5-tą rocznicę śmierci — zamiast kwiatów na grób mgr. inż. Władysława Lewandowskiego-Hausmanna — dla rodzin najbardziej potrzebujących pomocy w Polsce — przesyła żona z Malmö (Szwecja) — Krs 1.000,00 .....	F. 1.000,00
S. J. Zaremba, Bordentown, N.J. (USA) — \$ 10,00 .....	F. 72,00
Zamiast kwiatów na grób Edmunda Löwenthala (Lewandowski-go) — przyjaciele ze Szwecji — Krs 300,00 .....	F. 300,00

Dawid i Jennifer Elkington, Londyn — do dyspozycji krajowe go kierownictwa wydawnictwa CDN — £ 150,00 .....	F. 1.539,00
---	-------------

Towarzystwo Przyjaciół Kultury i Sztuki Polskiej „Zachęta”, Winnipeg, Man. (Kanada) — przekazuje zebraną sumę Komitetowi Kultury Niezależnej dla niezależnych artystów plastyków w Polsce — \$ c. 193,63 .....	F. 997,20
--	-----------

Anonimowo z Toronto, Ont. (Kanada):	
— na „Solidarność” w Kraju — \$ c. 125,00 .....	F. 644,00
— na pomoc dla walczących w Polsce — \$ c. 125,00 .....	F. 644,00

Bezimiennie z Berlina Zachodniego:	
— na Fundusz „Kultury” — DM 100,00 .....	F. 305,00
— na Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego — DM 100,00 .....	F. 305,00

Bezimiennie z Calgary, Alberta (Kanada):	
— na NSZZ „Solidarność” — \$ c. 100,00 .....	F. 515,00
— na pomoc dla walczących w Kraju — \$ c. 100,00 .....	F. 515,00
(obydwie sumy z przeznaczeniem na ośrodki prowincjonalne)	



Bezimiennie z Santa Barbara, CA (USA):	
— na Fundusz „Kultury” — \$ 100,00 .....	F. 720,00
— na NSZZ „Solidarność” — \$ 100,00 .....	F. 720,00
— na Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ 100,00	F. 720,00



Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada):	
— na Fundusz „Kultury”, po raz 8-my .....	F. 250,00
— na pomoc dla walczących w Kraju, po raz 3-ci .....	F. 250,00



Zbigniew Czachor, Saltsjö Boo (Szwecja):	
— na Fundusz „Kultury” .....	F. 100,00
— na pomoc dla walczących w Kraju .....	F. 100,00



Karol Jabłoński, Miami, FL (USA) — \$ 100,00 (F. 720,00)	
w równych częściach na:	
— Fundusz „Kultury”, po raz 17-ty .....	F. 240,00
— pomoc rodzinom więźniów politycznych w Kraju ....	F. 240,00
— dla umacniania „Solidarności” w Kraju .....	F. 240,00



Jan Kisiel, Dariusz Niworowski, Paweł K. Piechura, M. Cyrski, Mike, Z. Kirenczuk — na pomoc podziemnym strukturom NSZZ „Solidarność” we Wrocławiu tj. dla pisma MKK „Solidarność” Grabiszynek „Victoria”; dla zarządów uczelnianych NZS i dla Redakcji pisma <i>Wyrostek</i> — \$ 50,00 i \$ 40,00 — razem: \$ 90,00 .....	F. 648,00
oraz dochód z wyświetlania filmu Video-Kontakt na fundusz wydawniczy „Solidarności” wrocławskiej — \$ 30,00	F. 216,00



Józef Masiewicz, Toronto, Ont. (Kanada) na:	
— Fundusz „Kultury” .....	F. 180,00
— Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego .....	F. 180,00



Andrzej i Irena Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA):	
— na Fundusz „Kultury”, po raz 12-ty — \$ 50,00 .....	F. 360,00
— na pomoc dla p. C. B. — \$ 50,00 .....	F. 360,00



Na Apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston na rzecz „Solidarności” Podziemnej złożyli: W. Ostrowski — dwa razy po \$ 10,00; członkowie „Solidarności” z Polski: W. Szypszak — dwa razy po \$ 10,00; Z. Padzik — dwa razy po \$ 10,00; M. Butkiewicz — \$ 10,00 i \$ 5,00; A. Kruczyński, A. Butkiewicz, T. Wojdakowski, W. Wierzbowski, S. Borucki, P. Janik, C. Rybak, W. Micherda, A. Biedak, Z. Wallek, C. Pokorski, W.C. z Cambridge, Z. Łabejsza — wszyscy dwa razy po \$ 5,00 oraz I. Bielak i C. Daniszewski po \$ 5,00 — razem: \$ 215,00 .....	F.1.548,00
--	------------

Bezimiennie z Massachusetts Institute of Technology — na pomoc więźniom politycznym i ich rodzinom — \$ 100,00 ..	F. 720,00
W Redakcji <i>Listów do Polaków</i> złożyli:	
— na rzecz „Solidarności” Podziemnej J. Gnat — \$ 20,00 oraz R. Figurniak, A. Nowicki, J. Harasiuk i S. Aron po \$ 10,00 — razem: \$ 60,00 .....	F. 432,00
— na ruch oporu w Polsce M. Orłowski — \$ 20,00, S. Hyjek i dwaj turyści z Polski — po \$ 10,00 — razem: \$ 50,00 .....	F. 360,00
— na więźniów politycznych — <i>Czytelnik Listów z New Britain</i> — \$ 10,00 .....	F. 72,00
— na dzieci więźniów politycznych G. Kliszewska i jej goście — \$ 300,00 i J. Królikowski — \$ 5,00 — razem: \$ 305,00 .....	F.2.196,00
— na pomoc więźniom politycznym i ich rodzinom Koło b. żołnierzy A.K. w Detroit — \$ 250,00 .....	F.1.800,00

POD AUSPICJAMI  
TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO W PARYŻU  
z KOMITETEM WYDAWNICZYM w składzie:

Czesław Miłosz z University of California — Berkeley, Piotr Wandycz z Yale University, Henryk Wereszycki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Jacek Woźniakowski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Czesław Zgorzelski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — ukazała się nowa książka w serii „HISTORIA I TERAŻNIEJSZOŚĆ” a mianowicie:

Krystyna Kersten  
NARODZINY SYSTEMU WŁADZY  
Polska 1943—1948

Stron 393.

Cena F. 120,00.

Książki do nabycia we wszystkich polskich księgarniach na Emigracji u Przedstawicieli Pism, lub bezpośrednio u Wydawcy:

„LIBELLA”  
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris.

Métro: Pont Marie lub Saint-Paul.

Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTÉRAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 1<sup>er</sup> trimestre 1986.

Imprimé en France  
N° d'imprimeur 7469.

## NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 404 — ADAM MICHNIK

### Z DZIEJÓW HONORU W POLSCE

Wypisy więzienne

Próba analizy problemu honoru we współczesnej literaturze polskiej ilustrowana fragmentami utworów Zbigniewa Herberta, Hanny Malewskiej, Czesława Miłosa, Jana Józefa Szczepańskiego oraz Henryka Elzenberga i Witolda Kuli.

Str. 288.

Cena F. 95,00.

TOM 408 — CZESŁAW MIŁOSZ

### ZACZYNAJĄC OD MOICH ULIC

Tom 12 „Dzieł Zbiorowych” zawiera następujące eseje: *Dykcyonarz wileńskich ulic; Do Tomasa Venclovy; Noty o wygnaniu; List prywatny o poezji; Dialog o poezji* (z Witoldem Gombrowiczem); Portrety: *Dwight Macdonald, Teodor Bujnicki, Józef Czechowicz, La Combe (Stanisław Vincenz), Jeffers, Szestow albo czystość rozpaczy; Swedenborg i Dostojewski; Dostojewski i Sartre; Pożegnania: Podzwonne, Był raz..., Śmierć Józefa Sazdika, Sukiennicki, Andrzejewski.*

Str. 366.

Cena F. 120,00.

W BIBLIOTECE « KULTURY »

TOM 409 — WIKTORIA KRAŚNIEWSKA

### „PO WYZWOLENIU”... (1944-1956)

Wspomnienia młodej Polki, która po „wyzwoleniu” została zaaresztowana wraz z innymi Akowcami i następnie wywieziona do Związku Sowieckiego gdzie w więzieniu i łagrach przeżyła 12 lat. O cierpieniach Polaków wywiezionych do ZSSR po klęsce wrześniowej ukazały się setki książek i wspomnień, ale nie mieliśmy dotąd świadectwa tych których wywieźli „wyzwoliciele”. Wstrząsające wspomnienia Wiktorii Kraśniewskiej wypełniają tę lukę.

Str. 272.

Cena F. 95,00.

TOM 410 — WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

### BUDOWANIE NIEPODLEGŁEJ

Treść tej książki określają tytuły jej trzech głównych części: I. „Walczyć nawet bez nadziei” to opis technik konspiracyjnych w latach między Powstaniem Styczniowym a pierwszą wojną światową; II. „Myśleć jak walczyć skutecznie” — to analiza różnych nurtów myśli politycznej, ulegających zmianie pod wpływem zmiennych sytuacji; III. „Iść kiedy pora” — to opis sytuacji narodu u progu Niepodległości i postawa Polaków w obliczu śmiertelnego zagrożenia sowieckiego.

Str. 336.

Cena F. 100,00.

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDRÓY  
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Prenumerata		
	Egz. poj.	1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1986</b>			
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 .....	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
ARGENTYNA : « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
AUSTRALIA : Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248 .....	\$ A. 7,50	\$ A. 40,00	\$ A. 77,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Tür 14. Tel.: 52-60-175 .....	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BELGIA : prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury » .....	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BRAZYLIA : prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury » .....	\$ US 6,00	\$ US 30,00	\$ US 58,00
DANIA : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
HOLANDIA : Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL : Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311 .....	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel.: 339-5577; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Związkowiec »), 1638 Bloor St. West. Toronto, Ont. M6P 4A8 .....	\$ can. 7,50 DM 14,00 F. 41,00	\$ can. 42,00 DM 80,00 F. 230,00	\$ can. 82,00 DM 150,00 F. 440,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.	K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.			
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.			
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492 .....	\$ US 6,00 F. 41,00 F. 41,00	\$ US 30,00 F. 230,00 F. 230,00	\$ US 58,00 F. 440,00 F. 440,00
WIELKA BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 .....			
WŁOCHY : Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241 .....			

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

# Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 411 — EWA MARIA ŚLASKA

## DOCHODZENIE

Polska tuż po ogłoszeniu stanu wojennego. W dużym mieście w domu, w którym mieszka kilkudziesięciu lokatorów, jeden z nich młody podoficer wojska polskiego znalazł w noc sylwestrową w zsypie na śmieci trupa młodej dziewczyny. Nikt nie wie kim jest dziewczyna, czy ktoś ją zabił, czy popełniła samobójstwo. Milicja prowadzi dochodzenie przesłuchując wszystkich lokatorów domu. Daje to w rezultacie świetny przekrój społeczeństwa polskiego kilkanaście dni po policyjno-wojskowym ataku na „Solidarność”. Ten swego rodzaju dreszczowiec czyta się jak najlepszy „kryminał”.

Str. 128.

Cena F. 50,00.



TOM 413 — PIOTR WANDYCZ

## POLSKA A ZAGRANICA

Opracowania, dokumenty, polemiki, eseje pisane na przestrzeni ostatnich dwudziestu pięciu lat, dotyczące najnowszej historii Polski.

Str. 296.

Cena F. 100,00.



TOM 414 — ZESZYTY HISTORYCZNE

## ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Zawiera m.in. opracowania: K. Pomian: *Przestrzeń i czas historii*; A. Sulima Kamiński: *Ludzie „zniewolonego umysłu” a emigracja*; M. Budny: *Jak to było z Zaolziem*; M. Heller: *Wczoraj i dziś w „Czerwonym kole” Sołżenicyna*; Zb. Brzeziński: *Cztery lata w Białym Domu*; B. Krzyżanowski „Bałtruk”: *Wileński Matecznik*, cz. II; A. M. Cienciąła: *Polska w polityce brytyjskiej i francuskiej w 1939 roku: wola walki czy próba uniknięcia wojny?* oraz obszernie działy: DOKUMENTY, RECENZJE, OKRUCHY HISTORII, KRONIKA.

Str. 240.

Cena F. 70,00.